

SIECI

**UJAWNIAMY
SCENARIUSZ
KOLEJNEGO
BEZPRAWNEGO
ATAKU WŁADZY
NA PiS**

PiS

**STASIA I NEL
TEŻ PRZESŁADUJĄ**

**BIDEN
CHWIEJE SIĘ
PO KLĘSCIE
W DEBACIE
Z TRUMPEM**

**NA WAKACJE.
WYSPA
SŁONCA
ODWIEDZAMY
SYCYLIĘ**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

28 (606) 2024
8-14 lipca 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287593 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 15 VII 2024 r.

**KŁAMSTWA NA TEMAT
REPARACJI OD NIEMIEC,
FAŁSZOWANIE PRAWDY
O II WOJNIE ŚWIATOWEJ.
W CZYM IMIENIU
MÓWI OBECNY
PREMIER?**

JAK SIĘ ZDRADZA POLSKĘ



Światłowód + Telewizja

19 zł
/mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Światłowód S – do 300 Mb/s, Telewizja Pakiet S – 57 kanałów



Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona” na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat” nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu smartDOM**, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtel Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” na polsatbox.pl i plus.pl

Tak umiera III RP

W huku i zgiełku prutych sejfów, przy dźwiękach wyważanych drzwi, w otoczeniu policyjnych kordonów torujących drogę uzurpatorom, w akompaniamencie cynicznych komentarzy byłego Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara umiera III Rzeczpospolita.

Umiera państwo często dramatycznie słabe, często niezdolne do działania, obojętne wobec krzywd i niesprawiedliwości, politycznie kolonizowane przez swoich sąsiadów, ale jednak udające, że jest demokracją parlamentarną i przynajmniej starające się działać w ramach konstytucji, w oparciu o stanowione w określony sposób prawo. Umiera w sposób nieodwołalny, ostateczny.

Uśmiercają je Donald Tusk, Adam Bodnar, Bartłomiej Sienkiewicz, ale także neoprokuratorzy oraz policjanci sankcjonujący jawne bezprawie. Uśmiercają je ci wszyscy, którzy godzą się na rządy oparte na nagiej, fizycznej sile. Uśmiercają je także media, które wiedzą, co się dzieje, ale zamiast alarmować i protestować, produkują tematy zastępcze, sprawy zasadnicze chowając pod dywan milczenia.

Właściwie już ją uśmiercili. Tego państwa – powołanego przy okrągłym stole, umocnionego konstytucją z 1997 r. – już nie ma i już nigdy nie będzie. Przeszło do historii po 34 latach istnienia.

Przed nami coś nowego. W pierwszym etapie, możliwe, że dość długim i bolesnym, twardy Tuskiowy reżim z więźniami politycznymi, prześladowaną i ściganą opozycją, niszczoną tkanką niezależnych organizacji społecznych, włącznie z Kościołem. A wszystko przy milczeniu Europy, już nie ukrywającej, że zasady demokratyczne nie obowiązują, gdy narody wybierają niezgodnie ze wskazaniami i sugestiami.

Ale później z tego właśnie uśmiercenia III RP wyrośnie szansa na nowe państwo, zbudowane na zupełnie nowym fundamencie, działające według innych reguł, sprawne, skuteczne. Nie będzie już powrotu do tego, co było. Bo III RP leży w solidnej trumnie, a niemal każdy dzień to nowy gwóźdź.

Gdy zaś zapytają, kto to wszystko umożliwił, to nie zapomnijcie wskazać konkretnych postaci: Tuska, Bodnara, Sienkiewicza, neoprokuratorów o mało znanych nazwiskach i również zupełnie anonimowych policjantów, ignorujących w swoich działaniach immunitety, uprawnienia, legalne władze, rzeczywisty stan prawny. To będzie ich zasługa, ta nowiutka IV Rzeczpospolita.

Jacek Karnowski



Tuskowa „skala Polski”

Tлумacząc się z wykreślenia szprychy kolejowej łączącej lotnisko w Baranowie z Rzeszowem, premier Donald Tusk stwierdził, że „zrezygnowali z tego pomysłu, który nie był racjonalny, czyli kolei dużych prędkości, szprych, które wykraczały poza skalę Polski”.

Gdy Tusk wypowiada te słowa, zawiesza głos, potem próbuje zagadać odbiorców. Już wie, że powiedziało za dużo. Ma świadomość, że użył określenia z jakichś wewnętrznych rozmów, może odbytych w Berlinie, gdzie tak określono ramy tego, co w Polsce może zostać zbudowane. Powiedział coś, czego mieliśmy nie usłyszeć.

Dowiadujemy się, że jest jakaś tajemna, nieznana opinii publicznej „skala Polski”, która precyzyjnie rozstrzyga o tym, że nie należy budować kolei dużych prędkości z Rzeszowa do CPK. Serio? Serio. Tak mówi rzekomo polski premier Ale po pół roku koalicji 13 grudnia wiemy już, że ta tajemnicza, gdzieś tam wyrysowana „skala Polski” definiuje wiele innych spraw i tematów. Skreślone obwodnice miast, elektrownie atomowe, kontrakty zbrojeniowe, porty, skreślona konkurencyjność gospodarki i ogólnie: wszelka polska ambicja.

Na placówki dyplomatyczne jadą dziadki po moskiewskich szkołach. Polski kod kulturowy jest eliminowany z kultury i edukacji. Skalują nas na prymitywów, szczęśliwych, jeśli dostaną robotę u Niemca. Mają niemieckie i brukselskie przyzwolenia na stosowanie metod znanych ze stanu wojennego, „wszystkich narzędzi państwa policyjnego”, jak to ujął niemiecki publicysta. W tej sferze skalują nas chwilami okupacyjnie.

Każdy tydzień przynosi nowe skreślenia, nowe elementy dostosowania naszego życia do tej tajnej „skali”, podobno właściwej Polsce. Teraz biorą się za reparacje: mamy być jednym z niewielu narodów, którym niemieckie „imperium moralne” nie zapłaci za nieznane w historii zbrodnie i zniszczenia.

Gdzie nakreślono tę „skalę Polski”? Bez wątpliwości w Berlinie. Jeśli spojrzymy na politykę ekipy Tuska z tej perspektywy, wszystko jest jasne i przewidywalne. Zobaczmy, co się opłaca Niemcom, czego chcą, a to zrobi rząd Tuska. Ta zasada sprawdza się zawsze.

Jaka to ma być skala? Sądzę, że celem jest zredukowanie nas do poziomu niemieckiego landu.

Premier się wyspał. To ważny moment. Obraz się rozjaśnia.

Michał Karnowski





23

Powrót pedagogiki wstydu
Konrad Kołodziejski



36

Wojna śniadaniówek
Maciej Walaszczyk



52

Dbaj o planetę, nie miej dzieci
Dorota Łosiewicz

NA POCZĄTEK

- 5 PRZEMOC W SŁUŻBIE OLIGARCHII**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 SĄSIEDZI**
Krzysztof Feusette
- 9 HARCERZYK HOŁOWNIA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 ŻYCIE DEPCZE WYOBRAŹNIĘ**
Samuel Pereira
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 WYBÓR FRANCUZÓW**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA NATALII RAK**
Michał Korsun
- 17 KANCLERZ DOBROCZYŃCA**
Ryszard Makowski
- 18 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

TEMAT TYGODNIA

- 19 JAK SIĘ ZDRADZA POLSKĘ**
Marek Pyza
- 23 POWRÓT PEDAGOGIKI WSTYDU**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

- 26 KURS NA DELEGALIZACJĘ PIS**
Piotr Gursztyn
- 29 Z LÁSZLÓ KÖVÉREM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski
- 32 ZJAZD HOŁOWNI**
Stanisław Janecki
- 34 STA I NEL PRZETRWALI W AFRYKAŃSKIEJ PUSZCZY, ALE DOPADLI ICH EDUKACYJNI REFORMATORZY**
Stanisław Płużański
- 36 WOJNA ŚNIADANIÓWEK**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

- 39 UWIAŁ STARCZY, CZYLI SEDNO AMERYKAŃSKICH WYBORÓW**
Jan Rokita
- 42 NOWE SZATY BIDENA**
Dariusz Matuszak
- 44 WŁAŚCIWY CZŁOWIEK NA TRUDNE CZASY?**
Marek Budzisz

46 KONIEC MACRONIZMU

Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 49 CICHY TRIUMF MASONERII**
Rozmowa Małgorzaty Wołczyk
- 52 DBAJ O PLANETĘ, NIE MIEJ DZIECI**
Dorota Łosiewicz
- 54 PRAWDZIWA MUZYKA WEDŁUG SCRUTONA**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

- 57 GWIAZDY POZA CZASEM**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 60 BUDDYZM W NASZEJ SZKOLE**
Robert Tekieli
- 61 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 62 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

- 64 MOJE SZLAKI: PAWEŁ KOCZUR**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 65 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NATURA DLA LUDZI

- 66 OBROTOWA GŁOWA SOWY**
Przemysław Barszcz

NA WAKACJE

- 68 I BÓG STWORZYŁ WYSPĘ SŁOŃCA**
Piotr Ostrowski

NA KONIEC

- 71 GAULEITER MUSI**
Wojciech Reszczyński
- 72 LEPROZORIUM**
Aleksander Nalaskowski
- 73 POLITYCZNE GESTY Z PIŁKĄ W TLE**
Ryszard Czarnecki
- 74 DWIE WYOBRAŹNIE**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

BRONISŁAW WILDSTEIN

Przemoc w służbie oligarchii

Dręczenie ks. Olszewskiego to nie eksces służb Tu-ska. To element strategii. Nieliczące się z prawem i wyjątkowo brutalne traktowanie właśnie księdza ma zastraszyć i pokazać, że nawet taka instytucja jak Kościół jest w Polsce bezbronna wobec przemocy liberalnej oligarchii.

Księdzu został przedłużony areszt o kolejne trzy miesiące w sprawie, w której samo oskarżenie go wydaje się nadużyciem, a decyzję wydał sędzia, który był wiceministrem PO. Podobno fundacja Olszewskiego nie spełniała warunków konkursu, który wygrała. Tyle że brak kwalifikacji (co w tym przypadku jest wątpliwe) nie jest przestępstwem.

Wcześniej rano do prywatnych mieszkań dyrektorów 30 organizacji pozarządowych o prawicowej orientacji wkroczyła policja, w niektórych (może wszystkich) wypadkach były to jednostki antyterrorystyczne, zachowujące się jak w przypadku obezwładniania groźnych przestępców. Bez poważniejszego uzasadnienia, choć pod pretekstem podejrzenia o popełnienie przestępstwa dokonały gruntownych i demonstracyjnych rewizji.

Działacze poddani politycznym represjom, bo taki charakter miała ta akcja, nie zdobyli się na publiczny protest, a jedynie niektórzy zgłosili zażalenie do prokuratury. Uznali, że w warunkach obecnych, przy presji propagandowego aparatu, w jaki przekształciła się ogromna większość dominujących mediów, skarżenie się na szykany ze strony państwowych służb miałoby charakter autodonusu. Organizacje i ich szefowie zostaliby skarżeni z przestępstwem, co uderzałoby w ich reputację.

Ostatnio prokuratura poinformowała, że w związku z podejrzeniem korupcji w ministerstwie kultury za rządów PiS aresztowane zostały cztery osoby. Usłużne media uzupełniły, że znajduje się między nimi Ryszard S., brat wiceministra PiS Jarosława Selina. Jest on „podejrzany o wywieranie wpływu na decyzje i działania wiceministra kultury w zamian za otrzymywane obietnice łapówek i nieodpłatnych noclegów w hotelu”.

Zgodnie z normami prawnymi areszt jest środkiem wyjątkowym i stosować się go powinno w poważnych sprawach wyłącznie w celu uniemożliwienia matactw. Okazuje się, że jeśli chodzi o krewnych polityków PiS wystarczy „podejrzenie nieodpłatnych noclegów”.

Nie chodzi tylko o niszczenie dobrego imienia, a nawet życia konkretnych ludzi, co samo w sobie wystarczyłoby, aby bić na alarm. Chodzi o wymierzoną w opozycję przemoc, a więc likwidację demokracji.

Posel, były wiceminister sprawiedliwości Michał Woś utracił immunitet. Koalicja zapowiada uchylene go wobec kolejnych posłów PiS. W ten sposób immunitet traci sens, bo rządząca większość pod byle pretekstem może go unieważnić. Zwłaszcza gdy ogromna większość mediów pełni rolę propagandy rządu.

Przykład dał PE, zdejmując immunitet w sprawie zarzutu o „polubienie niewłaściwych treści” czwórce posłów PiS. Politycy PO uwalniani są z więzienia, aby zasiąść na parlamentarnych ławach w Warszawie i Brukseli, a politycy opozycji mogą trafić tam za opozycyjną działalność.

Obecna strategia przygotowywana była jeszcze w opozycji. Wspierany przez establishment prawniczy układ polityczno-medialny prowadził kampanię insynuacji wobec obozu prawnicy, aby po zmianie władzy przekształcić ją w represję.

Jej warunkiem jest terror wymierzony w niezależnych sędziów, prokuratorów oraz główne instytucje wymiaru sprawiedliwości pod hasłem powołania ich przez pisowskie władze, co ma dezawuować najbardziej legalne instytucje państwa.

Redukcja zła politycznego do faszyzmu jest absurdem i oznacza, że tylko on grozi nam we współczesnym świecie. Powoduje to m.in. relatywizację i przemilczanie komunistycznych zbrodni. Niemniej postawy dominującego dziś liberalnego establishmentu wykazują wiele podobieństwa do nazistowskiej czy faszystowskiej mentalności. Polityczni konkurenci są odczłowieczani i oskarżani o wszystko, co złe w tym oczywiście o faszyzm. Z kimś naznaczonym takim stemplem można zrobić wszystko. Dokładnie tak jak w totalitarnym ustroju, chodzi o eliminację opozycji i „kryminalizację” jej reprezentantów oraz stronników. Dziś w tej roli osadzeni są przeciwnicy lewicowo-liberalnej ideologii, katolicy, konserwatyści. Formalnie mogą funkcjonować, ale faktycznie pozbawiani są praw publicznych. Do tego zmierza np. hasło redukcji religii do sfery prywatnej.

Ustawodawstwo penalizujące „mowę nienawiści” pozwala skazać każdego krytyka dogmatów obowiązującej ideologii: przeciwnika aborcji na życzenie, obrońcy naturalnego porządku płciowego czy tradycji kulturowej. Wydarzenia w Polsce pokazują zresztą, że nikt specjalnie nie bawi się pretekstami. Usłużni wyrobnicy medialni będą bronić każdej decyzji władzy i odsądzać od czci i wiary jej przeciwników. Przemoc symboliczną zastępuje przemoc realna.

Establishment unijny traktuje Polskę jak poletko doświadczalne budowy monopartyjnego systemu. Tak wygląda „demokracja liberalna”, która zastępuje demokrację realną.



Sygnalista nadaje

Premier **Donald Tusk** pojechał do Rzeszowa i odważnie zmierzył się z pytaniem, dlaczego projekty jego rządu dotyczące CPK zakładają rezygnację ze szprychy kolejowej łączącej centrum Polski ze stolicą Podkarpacia. „Decyzja dotycząca kolei w żaden sposób nie może wykluczać żadnego miasta, natomiast zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, który nie był racjonalny, czyli kolei dużych prędkości, szprych, które wykraczały poza skalę Polski”. Sens tej wypowiedzi jest jasny: Polska nie będzie budowała osi komunikacyjnych północ–południe. Berlin ich sobie nie życzy.

A dziś Berlin sprawuje nieformalne zwierzchnictwo nad Warszawą, co potwierdzał każdy szczegół wizyty kanclerza **Scholza** w stolicy, łącznie z mową ciała zarówno jego, jak i jego rozmówców. A premier Tusk błysnął m.in. taką wypowiedzą: „Premier Scholz mówi też otwarcie, i to jest zaleta tego spotkania, że w sensie formalnym i prawnym reparację z punktu widzenia Niemiec są zamknięte”. Tak więc kanclerz Niemiec prezentował niemiecki punkt widzenia, a premier Polski powtarzał po nim to stanowisko. Na prezentację polskiego punktu widzenia nie starczyło czasu. I odwagi.

Ze strony niemieckiej mieliśmy klasyczny pokaz rytualnego kania się, ale bez wyciągania wniosków. „Aby kształtować dobrą przyszłość, potrzebne jest jasne spojrzenie na przeszłość. My – Niemcy – podczas II wojny światowej przysporzyliśmy Polsce niezmiernych cierpień, jesteśmy świadomi swojej winy i odpowie-

dzialności za miliony ofiar niemieckiej okupacji” – mówił. Następnie zadeklarował: „Dlatego Niemcy będą starały się realizować wsparcie na rzecz osób ocalałych z okupacji”. Słyszą to państwo? Gospodarcze mocarstwo będzie się „starało”, i to raczej nieśpiesznie, wręcz leniwie, zapewne czekając, aż umrą ostatnie żyjące ofiary. Niemcy są dziś moralnym karłem, delikatnie mówiąc.

Scholz czuje się tak pewnie w relacji z Tuskiem, że nie zdobył się nawet na jakiś konkretny gest, który mógłby przesłonić kapitulację Warszawy. Naszemu premierowi pozostają więc słowne harce, takie jak poniższy cytat: „Nie jestem w żadnym stopniu rozczarowany propozycją i dobrym gestem ze strony kanclerza Niemiec i niemieckiego rządu, bo nie ma takich gestów, które by usatysfakcjonowały Polaków, i takiej sumy pieniędzy, która by zrównoważyła to, co się stało w trakcie II wojny światowej”. Przyjmując taką logikę, nie należy wypłacać żadnych odszkodowań np. ofiarom wypadków i ich rodzinom, bo przecież żadne pieniądze nie zwrócą zdrowia ani życia.

A w kraju represje. Po ujawnieniu przez tygodnik „Sieci”, że ks. Michał Olszewski był w istocie torturowany, premier Tusk komentował: „Wydaje się zasadne skierowanie sprawy do sądu tych, którzy oskarżają rząd o torturowanie księdza, to jest taki absurd, że nie chce mi się tego nawet komentować. Konkretnie działania Służby Więziennej wobec aresztowanego księdza są w tej chwili badane na

Dominika Wielowieyska z „GW” oburzyła się na lekceważące, jej zdaniem, traktowanie Tuska przez prawicowe media. „Oni są tak zaślepieni, że nie widzą tego, iż poniżają polskie państwo i polski naród, choć mają gęby pełne frazesów o patriotyzmie i dumie narodowej. Donald Tusk jest premierem POLSKIEGO rządu, wyłonionego w wyniku demokratycznych wyborów” – podkreśliła. Mocne. Po tym, co zrobili w ostatnich latach, odmawiając legitymizacji każdej instytucji, tego typu apele mogą jedynie śmieszyć. A demolka państwa prawa po 13 grudnia 2023 r. ostatecznie zamknęła pewne drzwi. Dziś można iść tylko do przodu, ku całkowicie nowemu państwu.

moją prośbę przez Prokuratora Generalnego i najdrobniejszy szczegół tej sprawy będzie wyjaśniony, czy rzeczywiście traktowany był w sposób urągający jego godności, niezgodny z przepisami”. Premier nie powinien się dziwić: skoro zdecydował, że ideologią państwa jest nienawiść wobec opozycji, to będą też ofiary.

🔊 Zdaniem prezesa PiS sprawa ks. Olszewskiego „jest elementem polityki i socjotechniki”. „Władza, która całkowicie podporządkowuje się obcemu państwu, musi zastraszać i terroryzować społeczeństwo, zwłaszcza te organizacje, jak Kościół, które z jej punktu widzenia mogą być niebezpieczne” – ocenił **Jarosław Kaczyński**. Im gorzej rządzą, im bardziej widać, że nie realizują podstawowych polskich interesów, tym mocniej będą dokręcali śrubę. I tak będzie aż do momentu, gdy społeczeństwo dostrzeże, że zamiast dbać o Polaków, skupiają się na zemście i budują zamordyzm. Wtedy upadną.

🔊 Władza posuwa się coraz dalej. Bodnarrowcy w asyście policji wdarli się do siedziby Krajowej Rady Sądownictwa, a więc organu konstytucyjnego. Zmusili dziennikarzy do wyjścia z głównych pomieszczeń, po czym zaczęli pruć kasy pancerne w biurze sędziego Piotra Schaba, prowadzącego sprawy dyscyplinarne sędziów. Wszystko w czasie, gdy kierownictwo KRS było poza budynkiem. Czego szukali neoprokuratorzy? Akt dotyczących sędziów Piotra Gąciarka i Waldemara Żurka, zapewne po to, by wycofać z sądów wnioski dyscyplinarne dotyczące obydwu panów. A więc nielegalna prokuratura depcze konstytucję i ustawy, żeby ukręcić leb sprawom, które zaważają „ich” sędziom. Takiej akcji nie powstydziliby się putinowska Rosja.

🔊 Niektórzy zwolennicy rządu już dostrzegają czarne chmury na horyzoncie. Mateusz Janicki, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Polityka”, przestrzega Tuska: „Koalicji 15 października bardzo brakuje »miejscowych« pomysłów, rozmachu, wspólnych, nagłośnionych przedsięwzięć. Od wielu tygodni nic się większego nie wydarzyło, widać marazm i zagubienie, czyli paliwo dla tęsknoty za »sprawczym PiS«”. Jak podkreśla, to „PiS wciąż pozostaje jedyną alternatywą w sytuacji, kiedy rodzi się niechęć do aktualnie rządzących, tak było również w 2015 r., a teraz dzieje się to szybciej”. I dalej: „Widać pierwsze ślady pełzającej nostalgii za rządami partii Kaczyńskiego, kiedy »o coś chodziło«, pojawiały się »aspiracje«, a Polska była »wielkim projek-

tem«. Tusk jest taki, jaki był. To Polacy się zmienili. I wkrótce wybrzmi to bardzo mocno.

🔊 Gdy Donald Tusk przed kamerami kreuje się na obrońcę granic, jego partia działa starym trybem. Elżbieta Polak, była marszałek województwa lubuskiego, obecnie poseł Platformy, poinformowała: „Złote Grono dla »Zielonej Granicy« Agnieszki Holland na 53. Lubuskim Lecie Filmowym”. Jak dodała, „nagrodę wręczyła Małgorzata Kidawa-Błońska”. A więc szcucie na obrońców naszych granic trwa, a politycy Platformy autoryzują i wspierają ten proceder. Nadal działa też powołany przez Adama Bodnara specjalny zespół prokuratorski, który ściga żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej. Nigdy nie zapominajmy: w państwie Tuska hucpa jest regułą, nie wyjątkiem.

🔊 Prof. Rafał Wnuk, p.o. dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, najpierw usunął z wystawy stałej muzeum elementy związane ze św. Maksymilianem Kolbą, bł. rodziną Ulmów i rtm. Witoldem Pileckim, a później, broniąc swojej decyzji, użył takiego oto porównania: „Wyobraźmy sobie bitwę pod Grunwaldem, gdzie miłośnik jakichś kreskówek wrzuca Supermana albo hold pruski, gdzie ktoś maluje Myszke Miki, bo uważa, że Myszka Miki powinna pasować. Tego typu działania mamy na tejże wystawie i tak, potwierdzam, tego rodzaju Myszkę Miki, tego rodzaju Supermana będziemy starali się z całej opowieści wyczyścić”. Straszne słowa, straszni ludzie. Może to i dobrze, że będą się trzymali z dala od bohaterów? Świętości nie wolno brukać w żaden sposób.

🔊 Przewodniczący Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce ks. Dariusz Wilk zwrócił się z apelem do prezydenta Andrzeja Dudy o nadanie Orderu Orła Białego bohaterom II wojny światowej, tj. o Maksymilianowi Kolbemu i rodzinie Ulmów. Ks. Wilk ocenia, że decyzja dyrekcji muzeum wywołała „w internecie lawinę tekstów zarzucających św. Maksymilianowi antysemityzm i szkalujących jego dobre imię”. To, jak ocenił zakonnik, „boleśnie uderza swym brakiem rzetelności i obiektywizmu w społeczność katolicką”. Dodał, że „narusza to także poczucie wspólnoty narodowej w stopniu przekraczającym poczynania władzy komunistycznej, która przecież uszanowała oświęcimski czyn św. Maksymiliana, nadając mu w 1972 r. Krzyż Złoty Orderu Virtuti Militari”. Pomysł warty wsparcia. A ta władza w wielu obszarach rzeczywiście przebija komunistów.



Sąsiedzi



KRZYSZTOF FEUSETTE

Olaf: Co nie odbierasz? Po to ci komórkę kupilem?

Donald: Ojejciu! Guten morden, herr bundeskanzler!

Olaf: Morgen, cymbale. Przyjeżdżam.

Donald: Cudownie! A po co?

Olaf: Chcę o reparacjach pogadać.

Donald: Ależ nie trzeba! To PiS wymyśliło, ten Mularczyk gdzieś lata, ja nawet nie wiem, jak oni to wyliczyli, że aż 6 mln, to znaczy w euro, mld zł, bln...

Olaf: Ale ja nic nie przywożę.

Donald: No i fajnie. Nie jestem rozczarowany.

Olaf: Bo sprawa jest zamknięta.

Donald: Super. To będzie wielka zaleta tego spotkania, herr bundeskanzler...

Olaf: Wiem, bundeskellner. Ten wasz Sikorski dyplomacji też to wie. Ile my się śmialiśmy, jak on powiedział, że wy chcecie tylko uzyskać zapewnienie, że my żalujemy tego, co tu robiliśmy podczas wojny. To my pytamy: której wojny?

Donald: No, drugiej.

Olaf: A czy wam się wydaje, że Niemcy nie ponieśli żadnych ofiar? Naziści nas pierwszych najechali!

Donald: Niby fakt.

Olaf: Nie „niby”. Niby to jesteś premierem. A Hitler był Austriakiem.

Donald: No, tak. Tylko kto by o tym pamiętał?

Olaf: My pamiętamy.

Donald: No, ja wiem. Miałem dziadka w Wehrmachcie.

Olaf: Naprawdę? Która kompania?

Donald: Wcielonych przymusowo.

Olaf: I bardzo dobrze, bo mamy dla was pewną propozycję. Oczywiście do odrzucenia. Jak granica na Odrze. W końcu jesteśmy sąsiadami, prawda? Chcemy zrobić ekspozycję.

Donald: W Gdańsku?

Olaf: Co wy z tym Gdańskiem? I mówi się: „Dancing”.

Donald: Chyba „Danzig”?

Olaf: Kamaraden dojcze republik, jak ja bym pamiętał każdą waszą nazwę naszego miasta, to by mi włosy jeszcze stawały.

Donald: Ja, ja, ja wiem. Myślałem, że w Dancing, bo mamy tam takie muzeum. Akurat właśnie II wojny światowej. I już jest wystawa. Poprawiona, żeby nie jętrzyć. Ściągnęliśmy Pileckiego...

Olaf: Na otwarcie?

Donald: Nie, z wystawy. Jakoś tak kłuło w oczy autorów, że za duże zdjęcie. A on i żydowski ruch oporu w Auschwitz zakładał, i na ochotnika się zgłosił, potem wam uciekł...

Olaf: Was ist das „wam”? Wy historii nie znacie?

Donald: I Kolbego ściągnęliśmy. Tego, co poszedł na śmierć za współwięźnia.

Olaf: A czemu?

Donald: Bo chcieliście rozstrzelać 10 więźniów za jednego uciekiniera. To znaczy, naziści. Te sk... wysyny.

Olaf: Nie rozpędzajcie się tak, bo mówicie w końcu o ludziach, którzy mogli być przodkami osób obecnie żyjących. A nawet utrzymujących się z działalności babci czy dziadka.

Donald: Nie, no jasne. Tamten miał dzieci.

Olaf: Który?

Donald: Ten, za którego Kolbe oddał życie. A Ulmów też wywaliliśmy. Kto to widział, żeby zdjęcie dwumiesięcznego dziecka wykorzystywać do antyniemieckiej nagonki.

Olaf: Co to za jedni?

Donald: Żydów ratowali.

Olaf: Od czego?

Donald: Przed tymi... no... szmalcownikami.

Olaf: Czyli przed Polakami?

Donald: E tam, tacy Polacy...

Olaf: A co, ty lepszy jesteś?

Donald: Ja Żydów nie wydawałem. Więc co to za propozycja?

Olaf: Dom. Polsko-niemiecki. To znaczy, odwrotnie, ale to chyba wiadomo. I mogłaby się tam znaleźć wystawa poświęcona waszemu dziadkowi.

Donald: Nie, nie trzeba. Myśmy wszystko zapomnieli. „Mego ojca piłą różnili, myśmy wszystko zapomnieli” – pisał nasz narodowy wieszcz...

Olaf: Kopernik? A to on nie był nazistowskim, tfu, niemieckim pisarzem? Wasza kandidaten na prezydenten mówiła, że pisał „O obrotach stref niemieckich”.

Donald: Małgosia? Mogła tak powiedzieć. A co będzie w tym domu

niemiecko-polskim?

Olaf: Pojednanie.

Donald: Poje... co? Przepraszam, bo nie dosłyszałem.

Olaf: Przyjaźń. A oprócz domu przekazemy wam także pewną kwotę.

Donald: Ojej, jednak? Ale mnie osobiście?

Olaf: Ofiarom. Oczywiście tym, co przeżyły, a nie bliskim ofiar, bo to były reparacje indywidualne, a tego nie potrzebujemy w dość już i tak napiętym świecie globalnym.

Donald: To ile to będzie na ofiarę?

Olaf: Symbolicznie. Powtarzam: dla tych, co przeżyli wojnę. I wasze rządy, he, he.

Donald: Ale ich to nie ma już za dużo...

Olaf: I o to chodzi. O gest. Wy się przyczepiliście, to znaczy nie wy konkretnie, ale Polacy, do słowa „zadośćuczynienie”. Nie dość już wam uczyniliśmy?

Donald: Może bony do Lidla? Przynajmniej prawnukom rozdadzą.

Olaf: Myśmy raczej myśleli, żeby pracę. Praca, jak wiadomo, czyni wolnym. A jakby w naszej fabryce trochę porobili, to i młodość im się przypomni, i rodzina. A do Lidla, czemu nie? 50 proc. na żelki to możemy już dzisiaj podpisać.

Ekipa 13 grudnia zdążyła nas już przyzwyczaić do akcji typu „wejście”, „włam”, „przejęcie”. Tak było z TVP czy prokuraturą. Najnowsza odsłona wyżej wymienionych akcji miała miejsce w Krajowej Radzie Sądownictwa, do której wtargnął prokurator w asyście policji. Najazd na KRS nastąpił w momencie, gdy w siedzibie Rady nie było jej kierownictwa. Interwencja prokuratury skończyła się rozpruciem sejfów. Celem akcji było przejęcie dokumentacji z postępowań dyscyplinarnych wobec niektórych sędziów, m.in. Waldemara Żurka czy Piotra Gaciarka.

Sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka, przewodnicząca KRS, komentowała, że prokuratura nawet nie próbowała skorzystać z legalnej i cywilizowanej drogi, którą mogłaby zwrócić się z prośbą o udostępnienie akt, ale wybrała wariant siłowy. „W związku z tym postanowiła sobie prokuratura wszcząć śledztwo, by w ten sposób uzyskać akta spraw dyscyplinarnych do dyspozycji prokuratury czy też rzecznika *ad hoc*. Jest organ uprawniony do prowadzenia postępowania dyscyplinarnego, a prokuratura zamiast zwrócić się uprzejmie o wypożyczenie tych akt czy zapoznanie się z nimi na miejscu, wydaje postanowienie o przeszukaniu siedziby konstytucyjnego organu” – mówiła szefowa KRS.

A co w czasie tego kolejnego już zamachu na demokrację porabiał marszałek Sejmu Szymon Hołownia? Tym razem nie było go na dachu parlamentu, nie stał w lesie zablokowany przez śmieciarkę ani nie gościł w Sejmie imigrantów. Teraz dla odmiany poczuł się harcerzem i odwiedził druhów odpoczywających na obozie nad Zalewem Sulejowskim. Marszałek Sejmu przekazał harcerzom flagi państwowe, które mają symbolizować pojednanie i współpracę. I oczywiście wzruszał się przy tym, jak niegdyś nad polską konstytucją.

„Kompletnie różne od siebie kolory, ale stanowią jedną flagę i to jest znak, który w momentach, gdy jest nam ciężko, chcemy się pokłócić, podzielić, poróżnić i iść w zu-

Harcerzyk Hołownia

I najpiękniej by było, gdyby marszałek w końcu zaczął służyć Białą-Czerwoną, a nie wyłącznie Donaldowi Tuskowi



pełnie dwie strony, pokazuje nam, że będziemy silni tylko wtedy, jeśli będziemy razem. Tak jak ta flaga, jak biała i czerwony na tej fladze, zszyte razem, chociaż bardzo różne” – mówił harcerzom marszałek Hołownia.

Idealny moment na taki gest, bo w Polsce współpraca i pojednanie kwitną. Prokuratura atakuje KRS, władza ściga opozycję, lewica ściga swoją posłankę Paulinę Matysiak za to, że próbowała współpracować na rzecz rozwoju kraju z posłem PiS Marcinem Horałą, Polska 2050 kłóci się z PSL o wynik wyborów do europarlamentu, o to samo Nowa Lewica z partią Razem, a koalicjanci

z Platformą Obywatelską. Do tego wszyscy kłócą się o CPK, atom, przekop Mierzei, finansowanie armii, dziurę w budżecie, pakt migracyjny, Zielony Ład, reparacje od Niemiec, aborcję, ustawę o związkach partnerskich i inne.

„Dzisiaj każdemu z waszych obozów chciałbym podarować flagę RP. Taką flagę, którą rozdaje w całej Polsce jako marszałek Sejmu harcerzom, harcerkom, ale też ratownikom, żołnierzom, strażakom – wszystkim tym, którzy służą nam wszystkim. Ponieważ wy też służycie nam wszystkim, naszej wspólnotce, jesteście częścią tej wielkiej rodziny ludzi służby, więc i wam chciałbym tę flagę przekazać” – mówił Hołownia.

I najpiękniej by było, gdyby marszałek wziął sobie sam swoje słowa do serca i w końcu zaczął służyć Białą-Czerwoną, a nie wyłącznie Donaldowi Tuskowi. Wówczas mógłby powiedzieć premierowi, że Polska nigdy nie rzekła się reparacji wojennych ze strony Niemiec, a działania prowadzące do tego, by zachodni sąsiad nie musiał Polsce nic wypłacać, jest wbrew racji stanu. Podobnie jak usuwanie z Muzeum II Wojny Światowej polskich bohaterów, takich jak rodzina Ulmów, rtm. Pilecki czy św. Maksymilian Kolbe, albo ograniczanie polskich ambicji, czym jest odrzucenie projektu CPK.

To wszystko marszałek Hołownia mógłby powiedzieć, ale musiałby przestać być harcerzykiem, zdjąć krótkie spodenki i dorosnąć do roli, którą pełni. A na to się nie zanosz. **✚**

Dorota Losiewicz



Izraelski Sąd Najwyższy uznał, że „w szczytowym okresie trudnej wojny ciężar nierówności jest bardziej dotkliwy niż kiedykolwiek” i nakazał objęcie ortodoksyjnych Żydów powszechną służbą wojskową.

Wcielanie do armii przedstawicieli tradycyjnych społeczności religijnych ma przebiegać stopniowo, w pierwszym roku planuje się powołać do służby 3 tys. osób i przyjąć wyłącznie ochotników, mimo to decyzja wywołała masowe protesty ortodoksyjnych Żydów i może zachwiać koalicją rządową. Ortodoksi są zwolnieni z obowiązku odbycia służby w siłach zbrojnych od 1948 r., czyli od momentu powstania Państwa Izrael. Wszyscy inni prócz Arabów muszą służyć w wojsku – mężczyźni 36 miesięcy, kobiety 24.

W reakcji na decyzję Sądu Najwyższego ortodoksi zaczęli protestować – blokowali drogi, wystawili pikety pod izraelskim parlamentem, a w Jerozoli-

mie odbyła się wielotysięczna demonstracja, która zakończyła się starciami z policją. Tradycjonalistycznie nastawieni Żydzi postrzegają pobór w kategoriach śmiertelnego zagrożenia dla ich pobożnego stylu życia również z tego powodu, że kobiety i mężczyźni służą razem, a ortodoksi opowiadają się za segregacją płci.

Uważa się, że objęcie tradycjonalistycznych Żydów służbą wojskową jest wynikiem narastających problemów kadrowych w izraelskich siłach zbrojnych. Jak informował dziennik „Ha-aretz”, w związku z przedłużającą się wojną z Hamasem wielu rezerwistów wyjechało z kraju lub zadeklarowało, że nie zareagują na wezwanie do służby, nawet jeśli mieliby zostać ukarani więzieniem. W efekcie dowództwo sił zbrojnych przygotowało propozycję utworzenia nowej Dywizji Dawida, która miałaby się składać wyłącznie

ze zwolnionych dotychczas ze służby ortodoksów.

Postanowienie izraelskiego Sądu Najwyższego ma również wymiar polityczny, ponieważ partia Likud premiera Netanjahu utworzyła koalicję z niewielkimi ugrupowaniami religijnymi i nacjonalistycznymi, których liderzy stanowczo opowiadają się przeciwko poborowi ortodoksów. Teraz gniew protestujących obraca się przeciw nim. W czasie jerozolimskiej demonstracji zaatakowano samochód przywódcy partii Zjednoczonej Tory Judaizmu Me'ira Porusza, który deklarował wcześniej, że „nie ma takiej siły na świecie, która byłaby w stanie zmusić osobę o duszy zajętej studioowaniem Tory, aby porzuciła to zajęcie”. Okazało się to jednak nieprawdą. Bunt wyborców partii ortodoksyjnych może więc doprowadzić do zerwania koalicji i kryzysu rządowego.

Marek Budzisz

Od kiedy w 2002 r. zalegalizowano eutanazję w Holandii, stale rośnie liczba zgonów legalnie spowodowanych przez personel medyczny. Według dostępnych danych, w ub.r. 9068 osób w tym kraju zmarło nie z przyczyn naturalnych, lecz na skutek mordu lekarskiego. To 5 proc. wszystkich zgonów.

W rzeczywistości liczba ta powinna być znacznie większa, ponieważ statystyki nie obejmują przypadków tzw. sedacji terminalnej, które nie są wliczane do oficjalnych raportów (chodzi o pacjentów, których najpierw oślepia się opioidami, a następnie powoduje ich śmierć, nie podając im posiłków i napojów).

W ostatnich latach w Niderlandach wzrosła także liczba par, które zdecydowały się poddać tzw. bieutanazji, czyli umrzeć razem. W 2020 r. było ich 13, w 2021 – 16, w 2022 – 29, a w 2023 – już 33. Większość z nich wcale nie stanowią ludzie nieuleczalnie chorzy i cierpiący ból nie do zniesienia. W czerwcu np. dali się zabić wspólnie Jan Faber i Els van Leeningen. On skarżył się na ból pleców, ona na zbyt rozmazany wzrok.

Bieutanazja, czyli Eros i Tanatos



Co znamienne, wśród osób proszących o eutanazję nie ma muzułmanów, dominują natomiast ludzie, dla których religia nie odgrywa większej roli w życiu. To pokazuje, że główną przyczyną prośby o śmierć nie są problemy fizyczne, lecz duchowe i światopoglądowe, np. brak sensu życia czy odrzucenie możliwości cierpienia.

Holenderskie państwo ochoczo wspiera śmiertelny proceder, ponieważ widzi w nim rozwiązanie kłopotów z niewydolnością systemów emerytalnego i zdrowotnego. Koszty opieki nad osobami starszymi i schorowanymi pochłaniają bowiem zbyt wiele pieniędzy z budżetu. Zimna kalkulacja finansowa skrywana jest jednak za wzniosłymi słowami o niesieniu miłości. W przypadku bieutanazji pojawia się też romantyczna retoryka, wskrzeszająca topos miłości i śmierci (Eros i Tanatos) w postaciach np. Romea i Julii. Niewykluczone, że następnym krokiem będzie multieutanazja, czyli zbiorowy mord medyczny w świetle prawa, a może nawet w świetle reflektorów.

Grzegorz Górny



Kolumbia

Banany warte krwi

Chiquita to największy amerykański producent bananów. Koncern, znany początkowo pod nazwą United Fruits, zbił fortunę na uprawach owoców rozsianych po całej Ameryce Południowej. W przeszłości firmie zarzucano praktyki korupcyjne oraz współpracę z krwawymi dyktatorami. Teraz wyrokiem amerykańskiego sądu Chiquita musi wypłacić 38,3 mln dol. odszkodowania rodzinom ofiar kolumbijskiej wojny domowej.

Wojna domowa w Kolumbii wybuchła w 1964 r. i trwała 52 lata. Ówczesne władze kraju zmagaly się z komunistyczną rebelią, w której główną rolę odgrywały Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii (FARC). Konflikt, w którym zginęło łącznie 220 tys. osób, miał partyzancki charakter. Nie było tu wielkich operacji wojskowych ani ofensyw, dominowały akty terrorystyczne, skrytobójcze mordy, porwania i wymuszenia. Do walki z rebeliantami ruszyły regionalne milicje, które połączyły się i utworzyły Zjednoczone Siły Samoobrony Kolumbii (AUC).

Rebelia była finansowana m.in. z handlu narkotykami, dlatego AUC próbowały uderzyć w ten sektor. Szybko jednak doszło do porozumienia z kartelami i siły samoobrony podjęły współpracę z bossami narkotykowymi. Doprowadziło to do przekształcenia AUC w liczący kilkadziesiąt tysięcy członków gang przestępczy handlujący narkotykami i wymuszający haracze. Stany Zjednoczone

wpisały wówczas siły samoobrony – oprócz komunistów z FARC i innych kolumbijskich organizacji paramilitarnych – na listę organizacji terrorystycznych.

W tym burzliwym czasie Chiquita posiadała w Kolumbii wiele plantacji bananów należących do lokalnej filii koncernu działającej pod nazwą Banadex. Jej szefostwo twierdzi, że bojówkarze z AUC terroryzowali i zastraszali pracowników plantacji, próbując wymusić haracz. Zdecydowano się więc na wykupienie w AUC „usług ochroniarskich” za kwotę 1,7 mln dol. W myśl amerykańskiego prawa Chiquita popełniła tym samym przestępstwo, ponieważ dopuściła się finansowania organizacji terrorystycznej. Koncern został za to ukarany grzywną w wysokości 25 mln dol.

Teraz do tych zarzutów doszły kolejne. 16 rodzin ofiar kolumbijskiej wojny domowej oskarżyło koncern, że za pośrednictwem swojej lokalnej filii wynajmował bojówkarzy z AUC do zastraszania lokalnych farmerów, aby przejąć ich ziemie pod uprawę bananów. Niektórzy z nich zostali zamordowani. Mimo że Chiquita zaprzęczała zarzutom, amerykański sąd uznał jej odpowiedzialność i nakazał wypłatę odszkodowań dla rodzin ofiar.

Długotrwała wojna w Kolumbii przekształciła ten kraj w arenę działań przestępców gotowych zabijać dla zysku. Nawet banany okazały się warte przelewu krwi.

Konrad Kołodziejewski



Irlandia

Wieżenie sumienia

Irlandzki nauczyciel Enoch Burke kilkanaście dni temu opuścił dublińskie więzienie Mountjoy, gdzie spędził łącznie 400 dni. Wszystko zaczęło się w czerwcu 2022 r., gdy jako nauczyciel języka niemieckiego odmówił używania neutralnych płciowo zaimków w stosunku do jednego z uczniów.

Chłopak był wspierany w swoim żądaniu przez rodziców, na co zgodę wyraziły także władze Wilson's Hospital School. Opór postawiony przez nauczyciela doprowadził jednak do tego, że do czasu rozstrzygnięcia sprawy został on zawieszony, zakazano mu prowadzenia lekcji i przebywania na terenie szkoły. Ten jednak pojawiał się w pracy i siadał w pustej klasie, mówiąc, że przyszedł prowadzić zajęcia. „Kocham moją szkołę, jej motto to »Czyni, nie słowa«, a ja jestem tu dzisiaj, bo powiedziałem, że nie nazwałbym chłopca dziewczynką” – oświadczył, zaznaczając, że jest to dla niego sprawa przekonań religijnych i sumienia.

Szkoła postanowiła skierować sprawę do sądu, wnioskując o umieszczenie upartego nauczyciela w więzieniu na trzy miesiące. Tak się stało, jednak po wyjściu na wolność Burke znów zaczął przychodzić do pracy. Wobec tego sąd ponownie wsadził go za kraty, dokładając sankcję za łamanie wydanego wcześniej zakazu. Teraz, po zakończeniu roku szkolnego, nauczyciela zwolniono do domu. Nakaz pozostaje jednak w mocy i sędzia już zadeklarował, że jeśli znów dojdzie do jego naruszenia, to bez wahania rozpatrzy każdy nowy wniosek o ponowny areszt.

Tymczasem Burke domaga się rewizji wyroku, który – jak podkreśla – złamał jego konstytucyjne prawo do wolności sumienia, swobodnego wykonywania zawodu i praktykowania religii. Charakterystyczne, że w relacjach mediów na ten temat nikt nie dyskutuje o absurdalności genderowego terroru i łamaniu praw obywatelskich. Dominuje nieukrywana irytacja, że nauczyciel sam jest sobie winien kłopotów, w które popadł.

Maciej Walaszczyk

Życie depcze wyobraźnię

Czy sędziowie Rzeczypospolitej sugerują, że organy władzy wykonawczej powinny sięgnąć po metody przemocowe? – pytał dwa tygodnie temu Adam Bodnar w głównej stacji rządowej, TVN24. W ten sposób minister sprawiedliwości odnosił się do prorządowych pomysłów sędziów z Iustitii, którzy od miesiąca wzywają rząd do siłowego rozprawienia się z Krajową Radą Sądownictwa, ponieważ w ich przekonaniu należy zablokować jej pracę. Jakże wymownie brzmią dziś te słowa, gdy zobaczyliśmy obrazki, jak dzień po wizycie kanclerza Niemiec prokurator nasłany przez Bodnara wszedł do KRS i w towarzystwie policji rozpruwał sejfy, żeby zabrać niewygodne akta. „W jaki sposób zablokować [KRS] inaczej? [...] Ma pójść policja do KRS, wymienić zamki, zablokować wejście? W stosunku do jednego z organów państwa?” – pytał 24 czerwca br. w studiu TVN minister Bodnar, twierdząc, że on sobie „nie wyobraża takiego scenariusza”, żeby „w taki sposób rozwiązywać problemy” w Polsce. Rozkoszna była uwaga prowadzącej rozmowę Katarzyny Kolendy-Zaleskiej, która z uśmiechem odparła: „W TVP tak było”.

Rozpruwanie państwa to nie jest coś, co miałyby oburzać rządowych dziennikarzy. Ich to bawi, a przynajmniej wywołuje satysfakcję, bo przecież to nie konstytucja RP i praworządność im leżą nasercu, tylko interesy własne i partyjne.

Naszą uwagę powinno jednak przykuć coś dodatkowego. Wystarczyła wizyta kanclerza Scholza i wyobraźnia Bodnara już objęła siłowe przejęcie KRS. Jak słusznie zwróciła uwagę szefowa portalu wPolityce.pl Marzena Nykiel, to niejedyny taki zbieg okoliczności: zamach na TVP też miał miejsce w dniu wizyty Jourovej, a przejęcie prokuratury na oczach Reyndersa. Tak, każdy akt bezprawia koalicji 13 grudnia ma swojego patrona, przyzwolenie i namaszczenie, a twarzą rozpruwania Polski jest sam Donald Tusk, który później wychodzi do mediów i prosi, żeby „mu wierzyć”, że jego minister sprawiedliwości jest do szpiku kości praworządny. Jasne – minister Bodnar i jego siepacze są tak samo praworządni jak premier Tusk prawdomówny. 



Samuel Pereira

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Dekolonizacja futbolu

Każde kolejne futbolowe mistrzostwa Europy budzą we mnie smutną refleksję, że są one publicznym chępieniem się poszczególnych krajów ich kolonialną przeszłością. W drużynach takich państw, jak Holandia czy Francja, aż roi się od graczy, którzy albo sami urodzili się w dawnych koloniach, albo pochodzą stamtąd ich rodzice.

Przypomina mi to ekspozowanie w wielkich europejskich muzeach artefaktów wywiezionych niegdyś z terytoriów zależnych. Reprezentacje dawnych państw kolonialnych są jak Muzeum Brytyjskie, Muzeum Wiktorii i Alberta, Forum Humboldta czy Musée du quai Branly – chlubią się przeświatnymi eksponatami, które pozyskały dzięki temu, że kiedyś anektowały i okupowały terytoria zamorskie.

Na Zachodzie coraz częściej mówi się, że bezcenne artefakty będą oddawane do dawnych kolonii – Francja już zaczęła zwracać eksponaty wywiezione z obecnych Beninu, Czadu, Tanzanii, Burkina Faso. Prezydent Emmanuel Macron z dumą nazywa to dekolonizacją i repatriacją.

A gdyby tak samo postąpić z futbolistami? Zwrócić ich krajom pochodzenia? Nagle reprezentacje dawnych ofiar kolonializmu stałyby się znacznie mocniejsze. To dopiero



Dominik Zdort

byłaby symboliczna dekolonizacja i oddanie dziejowej sprawiedliwości! Już sama pierwsza drużyna Francji mogłaby wzmocnić wybitnymi piłkarzami kadrę Kamerunu (Kylian Mbappé i Aurélien Tchouaméni), Mali (Moussa Diaby), Gwinei Bissau (Dayot Upamecano), Beninu (Jules Koundé), Mali (Ibrahima Konaté), Wybrzeża Kości Słoniowej (Youssef Fofana), Gwadelupy (Khéphren Thuram i Kingsley Coman), a Kongo miałoby szansę powalczyć na mundialu z najlepszymi (Brice Samba, Axel Dissai, Eduardo Camavinga i Randal Kolo Muani).

Ktoś może stwierdzić, że ci sportowcy (lub ich rodzice) sami wybrali Francję i nie chcieliby grać dla ojczyzn swoich przodków. Problem w tym, że egipskich czy tanzańskich eksponatów, które przyciągają turystów do europejskich muzeów, nie da się zapytać, kogo i gdzie chcą reprezentować. A można domniemywać, że gdyby umiały mówić, to wybrałyby raczej świetne warunki w doskonale przygotowanych muzeach w Paryżu czy Londynie, gdzie jest odpowiednia temperatura i wilgotność, oglądają je miliony ludzi, niż niepewny los w Ndżamenie i Kotonu, bo tam nie odwiedzi ich pies z kulawą nogą.

Tak, wiem, absurdalizuję, ironizuję. Ale w szczytnym celu, aby wskazać na poważny problem. 

Wybór Francuzów

Po przegranej w wyborach do europarlamentu prezydent Francji Emmanuel Macron zdecydował się zagrać *à banque* – rozpiścić przedterminową elekcję do Zgromadzenia Narodowego. W pierwszej turze zaskoczyła ponad 60-proc. frekwencja, znacznie przewyższająca tę z ostatnich lat, a wynik potwierdził przewidywania o sukcesie Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen. Francuzi pokazali, że to, co wydarzyło się w wyborach do europarlamentu 9 czerwca, nie było incydentem, ale wyrazem trendu istniejącego w społeczeństwie. Woli powrotu do wartości konserwatywnych i racjonalnej polityki rozumianej jako działanie na rzecz dobra wspólnego, a nie narzucanie szkodliwych ideologicznych wizji, których realizacja przyniosła Francji oplakane skutki.

Widmo porażki w drugiej turze wyborów i utraty władzy przez obóz Macrona skłoniło jego zwolenników do podjęcia inicjatywy zjednoczenia wszystkich partii politycznych przeciwko ugrupowaniu Le Pen, co budzi jednoznaczne skojarzenia ze sklejoną wulgarnym hasłem kryjącym się za ośmioma gwiazdkami koalicją 13 grudnia albo jak kto woli koalicją październikową. Podobieństwo do polskiej kampanii widać także w strategii Macrona, który usiłował prezentować swój obóz polityczny jako posiadającą jasną wizję kraju i Europy trzecią drogę pomiędzy sojuszami na lewicy i prawicy.

W kampanijnej rzeczywistości politycznej (oby nie później), zawierając niespisaną koalicję z lewicowym sojuszem Nowego Frontu Ludowego, zdobywającym w pierwszej turze drugi wynik, prezydent Francji stał się zakładnikiem także tej najskrajniejszej lewicy. Według Alaina Finkielkrauta, francuskiego filozofa, pisarza i eseisty, ostatnią deską ratunku służącą utrzymaniu realnej władzy przez Macron może być właśnie partia *La France insoumise*, która podczas kampanii przed wyborami do europarlamentu „zamieniła flagę europejską na flagę palestyńską”, otwarcie prezentując swoje antysemickie hasła.

Niewątpliwie jesteśmy świadkami erozji dotychczasowego systemu politycznego we Francji. Nie wiadomo, czy dojdzie do przełamania, jednak z punktu widzenia Polski – kraju, w którym wielu ludzi wciąż bezkrytycznie spogląda na wyidealizowany Zachód – warto pochylić się nad przyczynami coraz głośniejszego sprzeciwu Francuzów wobec rządów, które określają się mianem liberalnych. Być może irytuje ich rosnąca liczba przestępstw, duża liczba migrantów, spadek poziomu życia, zapaść w systemie edukacji, wzrastające rachunki za prąd czy gaz, ale najtrudniej przyjąć do wiadomości, że skutkiem wymienionych tu problemów jest kulturowa degradacja międzynarodowej pozycji Francji. Państwa, które przez kilka wieków było liderem *soft power*: światowa elita mówiła po francusku, czytała francuskich pisarzy, podziwiała francuską sztukę, naśladowała francuską modę, piła francuskie wino i jadła francuskie dania. Wskutek działalności rządzących elit Francja z pozycji jednego ze światowych mocarstw spadła w chaotycznie rysującą



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

się przyszłość. Głosowanie na Marine Le Pen nie jest głosowaniem za rasizmem czy ksenofobią, jak chciałoby to wmówić opinii publicznej mainstreamowe media, ale za ratowaniem tego, co pozostało z Francji.

Jeśli spojrzeć na to, co dzieje się np. z Marsylią, która stała się jednym z najbardziej niebezpiecznych miast, można się przekonać, jak degradująca państwo i jego obywateli jest polityka liberalnych ugrupowań: otwierających granice zorganizowanym grupom przestępczym szmuglującym migrantów, ulegającym niemieckim naciskom i pseudoekologicznym aktywistom nawołującym do zamykania elektrowni jądrowych, praktycznie nieemitujących gazów cieplarnianych. Do czego prowadzi odwracanie się od chrześcijańskiego dziedzictwa, dzięki któremu Europa i cała zachodnia cywilizacja chroniła godność każdego człowieka od poczęcia aż do śmierci, zapewniała poczucie bezpieczeństwa i możliwości rozwoju. W tym kontekście głosowanie na Marine Le Pen jest wyrazem pragnienia zatrzymania tego, co zostało z pięknej Francji, aby zapobiec jej ruinie, którą Francuzi widzą w wielu płaszczyznach codzienności.

REKLAMA



"Podróże po Włoszech"
ks. prof. Witold Kawecki
sobota i niedziela
godz. 16.40

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

16/0524/F



Walizka Natalii Rak

autorki monumentalnych murali



Przez ponad dekadę maluję murale w najbardziej egzotycznych zakątkach świata. Od hawajskiej dżungli po malownicze zatoki Nowej Zelandii – moje podróże pełne są kolorów i inspiracji. Teraz zatrzymałam się na dłużej w słonecznej Kampali, gdzie urządzam pracownię malarską. Życie na walizkach nauczyło mnie sztuki minimalizmu i cieszenia się chwilą w każdym miejscu. Każdy mural,

który tworzę, to nie tylko wyraz mojej artystycznej wizji, lecz także mały kawałek mojego serca, który tam zostaje.



HERBATA

Oburzonych uspokajam – to tylko herbata, która doda więcej wigoru niż niejedna kawa. Mieszkając w centralnej Afryce, często przywożę rodzinie kenijską herbatę o bogatym smaku, idealną na każdą okazję.

KOSTIUM

Po 20 latach postanowiłam nauczyć się pływać. Pod opieką troskliwych misiów czuję się bezpiecznie. Nawet na strzelnicę w Miami dodały pewności moim strzałom.





NASIONKA

W przedszkolnym przedstawieniu
Brzechwy grałam pietruszkę.
Teraz za granicą ciężko ją zdobyć.
Dlatego przywiozłam nasionka, by
zacząć tworzenie własnego
warzywnego
imperium.



RZUTNIK

Ten rzutnik podróżował po kilku kontynentach i widział niejednego mural. Po pracy staje się

gwiazdą kina w naszym ogrodzie. Wystarczy popcorn i mamy seans filmowy pod gołym niebem.



TATUAŽE

Po wielkich muralach
chciałam tworzyć coś
dyskretniejszego. Gdy kupiłam
najlepszy sprzęt do tatuażu, moim
płótnem stała się skóra. Liczę na
to, że moje nowe prace będą główną
atrakcją w muzeum tatuażu.

PORCELANA

Pamiętka po ostatnim muralu w Opolu to urocza ceramika z Bolesławca. Ta solidna kamionka to idealne tło dla moich kulinarnych popisów.



TAROT

Symbolika kart
tarota zawsze mnie
kusila. Gdy rozložylaam je
po raz pierwszy, od razu do
mnie przemówily. Od tamtej
chwili zgłębiaam ich tajemnice,
licząc na to, że zdradzą mi
numery totka.



PIELEGNACJA

Gdy twoje plecy strzelają jak stara wersalka, zaczynasz inaczej patrzeć na swoje ciało. Chcesz być w formie jak najdłużej, a te instrumenty pozwalają zachować młodość, walcząc z grawitacją i jednocześnie relaksując twoje ciało.

DŽOKEJKI

Imponujące czoło to coś, co odziedziczyłam razem z inteligencją. Grzywka szybko stała się moją ulubioną fryzurą, a kolekcja dżokejek nieustannie rośnie.



KOTKA SEVEN

Kto nie śledzi na Instagramie ekscentrycznego Bunny'ego (@whataboutbunny) i szalonego Bastiana (@bastianandbrews), jest poza psim obiegiem.

A teraz na ulicach Kampali pojawiła się kolejna gwiazda – kotka Seven. Z niepozornego szczura awansowała na kota półkrwi, trenując swój angielski. To jak prawdziwa opowieść o sukcesie, ale z miękkim futrzanym zakończeniem.



Wystuchał i zapisał
Michał Korsun



Autentycznie i prawdziwie

Z Kamilem Padlikowskim, aktorem Teatru Exit, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kim jest dla pana prorok Eliasze?

Kamil Padlikowski:

Postacią z jednej strony biblijną, z drugiej bardzo nam bliską. Kimś, kto uosabia też współczesnych ludzi. Myślę, że w Eliaszu jest częśćka każdego z nas. I całkiem spora częśćka mnie. Nie tylko dlatego, że mam zagrać tę postać w pełnometrażowym filmie pt. „Eliasze”.

Czy droga, w którą wyruszył pan z Pawłem Koczurem, swoim rowerowym przewodnikiem, włączając się w ten sposób do zbiórki na realizację filmu, pozwoliła inaczej spojrzeć na bohatera, lepiej go zrozumieć?

Tak, ponieważ podczas tej drogi doświadczałem wzlotów i upadków. Uczyłem się wsłuchiwać w swoje serce i w to, co

przekazuje mi Bóg. Poznawałem, co znaczy być otwartym na jego wolę.

W zapowiedzi projektu czytamy, że „Eliasze” to coś więcej niż film – to „kampania społeczna mająca na celu aktywizację środowisk chrześcijańskich”. Jak w takim kontekście będzie pan budował rolę?

Autentycznie i prawdziwie. Kiedy przyszła propozycja (od twórcy i reżysera Teatru Exit Macieja Sikorskiego) poczułem, że to szansa na katharsis, oczyszczenie. Na zakończenie złego czasu związanego z pandemią i izolacją. Czulem, że podczas przygotowań do roli będą się działy rzeczy prowokujące do mierzenia się z przeszłością, zamykania różnych ciężkich etapów, co finalnie, kiedy ten proces się zakończy, sprawi, że stanę się innym człowiekiem. Ale jedno się nie zmieni – grając Eliasza, nie chcę emanować moją niepełnosprawnością. Nie ona ma przyciągać uwagę. To jest powierchowność. Ja jestem o wiele głębszy od mojej choroby. **///**

Czytaj też: „Moje szlaki” str. 64

AUTOPROMOCJA

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)



POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



TRENDY I OWĘDY

Kancelarz dobroczyńca

Wraz z wizytą Olafa Scholza powrócił temat reparacji. „Kancelarz Scholz mówi otwarcie i to zaleta tego spotkania, że w sensie formalnym i prawnym reparacje z punktu widzenia Niemiec są zamknięte i ma argumenty na rzecz tej tezy” – cieszył się premier Donald Tusk.

Wizytacja kanclerza odbyła się w ramach polsko-niemieckich konsultacji międzyrządowych. Jednak jej przebieg i wydźwięk był taki, jakby to były konsultacje niemiecko-niemieckie. Postawę premiera Tuska można zrozumieć – dostał od Niemców surowe reparacje. Za zniszczenie naszego przemysłu stoczniowego został przez kanclerza Merkel nagrodzony wyśmienicie płatnymi funkcjami w Unii Europejskiej, zapewniającymi dostatnie dożycie. Ile uciulał, trudno się dowiedzieć, bo w 2017 r. zdecydował się na rozdział majątku z małżonką.

Jednak największym paradoksem jest fakt, że nie dość, że Niemcy nie wypłacają nam reparacji, to w pewnym sensie my płacimy im. Nasi zachodni sąsiedzi zdominowali naszą gospodarkę i ciągną z tego krociowe korzyści. W zamian utracą naszą inicjatywę. Ostatnio CPK (chyba nikt nie wierzy, że za tej władzy to lotnisko powstanie), sieć kolei i parę innych przedsięwzięć.

Olaf Scholz potraktował Polaków ironicznie, proponując rekompensaty dla żyjących jeszcze ofiar wojny. Podkreślił tę hojność – „dla żyjących”. Ale czego się spodziewać od duchowego spadkobiercy tych, którzy w Generalnym Gubernatorstwie kazali podpisywać mojej rodzinie oświadczenia, że nie są „żydowskimi mieszkańcami”?

Według najnowszej doktryny Niemcy mają nam gwarantować bezpieczeństwo i nas bronić. Ale jak to? Będą nas bronić przed Niemcami?



Ryszard Makowski

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA,
GRZEGÓRZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWAŁSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: W. OLUKSINKEAST NEWS, TLUJOSGETTY IMAGES, E.GOSKA,
SHUTTERSTOCK 3X, WIKIPEDIA 2X

OGNIEM NA WPROST

Dziki element

Do tej pory Moskałe ponosili na Ukrainie duże straty w ludziach, których dowództwo przepuszczało przez maszynkę do mielenia mięsa zwaną atakami. Jednak to, co w ostatnim czasie dzieje się na odcinku wołczańskim, przeszło wszelkie pojęcie. Portalowi Verstka opowiada Anton, dezertier z armii Federacji Moskiewskiej. To, że nikt z dowódców w Kacapii nie liczy się z życiem bojów, nie jest żadną prawdą objawioną, tylko już doktryną wojenną i truizmem – jak to, że krowie mleko jest koloru białego. Anton dał dyla z oddziału, trasa jego ucieczki wiodła przez Mińsk, Erywań aż do Unii Europejskiej. Z jego oddziału, który liczył 600 osób, po zaledwie dwóch miesiącach zostało raptem 40 żołnierzy. Straty w jednostkach szturmowych sięgają 90 proc. I tak dziw bierze, że rzeczony Anton tak późno zdecydował się na dezercję. „Prawie każdy, kto był na linii frontu, myśli o ucieczce. Jeśli jesteś bardzo ostrożny, ucieczka z armii jest całkowicie wykonalna. Najważniejsze jest posiadanie jakiegoś dokumentu tożsamości innego niż dokumenty wojskowe” – doradza. Nawet sprzęt do walki nie jest w pełni wydawany żołnierzom: „Jeśli chce się dostać go w komplecie, należy zapłacić specjalny haracz”. Dowództwo chleje na umór i zatacza się, mamrocząc: „Jesteśmy pieprzonymi orkami! Naprawdę jesteśmy pieprzonymi orkami” – przyznają oficerowie, kiedy się doprowadzą do stanu totalnego upojenia. Wtedy są szczerzy. Dlatego piją – żeby się móc bezkarnie wygadać. „Nie mam już żadnych pozytywnych uczuć co do rosyjskiej państwowości. To nie jest wojna, to po prostu agonia” – konkluduje Anton. I tak trzymać, Moskałe. Może to wszystko wreszcie rozleci się na kawałki.

Skończyła się labia na Krymie i wakacyjne wygrzewanie na tamtejszych plażach. 1 lipca

półwysep miał być zaatakowany aż dwukrotnie. Nazajutrz dowódca Sił Powietrznych Ukrainy gen. Mykoła Oleszczuk potwierdził, że ukraińskie lotnictwo rozwalilo skład amunicji pełen irańskich dronów Shahed. Teraz bezałogowe statki morskie Tryzubów sięgnęły Noworosijska, gdzie schroniły się pozostałości Floty Czarnomorskiej, z której Moskwa straciła już jedną trzecią okrętów. „Uwaga Noworosijsk. Atak bezałogowych łodzi” – takie komunikaty powoli stają się codziennością. Nad ranem władze ogłosiły, że dostęp do plaż został ograniczony. „Woda w zatoce będzie monitorowana. Prosimy nie odwiedzać okolic plaż, nabrzeża i terenów rekreacyjnych wzdłuż wody podczas działań operacyjnych” – napisał burmistrz miasta Andriej Krawczenko.

Walce sprawdzają się amerykańskie bojowe wozy piechoty Bradley. Jak podaje portal Defence24, ich ostatnim, nieszałobowym wyczynem było zestrzelenie rosyjskiego drona za pomocą armaty kalibru 25 mm. Jednak najbardziej spektakularne działania bradleyów zarejestrowano podczas użycia uzbrojenia lufowego, w tym przede wszystkim armaty M242 Bushmaster. Amerykanie dostarczyli ją wraz z nowoczesną amunicją, pozwalającą na przebicie pancerza o grubości ok. 100 mm. Ufając swoim maszynom, Ukraińcy porywają się nawet na artyleryjską walkę z najnowszymi rosyjskimi czołgami T-90M. Jak się okazało w tym przypadku, armata kal. 25 mm dzięki swojej celności, skupieniu i szybkostrzelności potrafiła tak zaszkodzić Rosjanom, że nie byli w stanie podjąć równorzędnej walki. Dlatego bradleye dostały od Tryzubów ksywę „szwajcarski scyzoryk”.



Andrzej Rafał Potocki

Wiadomość dla fanów jazdy terenowej zwanej off-roadem. 72. Brygada Zmechanizowana Ukrainy opublikowała nagranie przedstawiające zniszczenie rosyjskiej kolumny szturmowej pod Wuhledarem na Ukrainie. Tym razem do ataku szykowało się 24 motocyklistów na crossówkach. Jak pisze „The New York Times”, który powołuje się na ukraińskich wojskowych, Moskałe aktywnie wykorzystują w atakach motocykle, SUV-y, quady, a nawet terenowe odkryte pojazdy plażowe buggy. „To dziki element do już gwałtownych, chaotycznych walk” – mówi jeden z ukraińskich wojskowych. Taktyka jest prosta. Chodzi o to, żeby szybkością i zwrotnością uniknąć ostrzału, dojechać do wrażliwych okopów, zeskokczyć i zaatakować przeciwnika. Pędząc po śladach innych pojazdów opancerzonych, można ominąć zakopane miny. Wykorzystanie tanich motocykli terenowych czy buggy pomaga oszczędzać Kacapom pojazdy pancerne. Czasami off-roadowcy przebijają się, jeśli rosyjskie bombardowania artyleryjskie skutecznie uniemożliwiają ukraińskim żołnierzom wystawienie głów ponad okopy. Na ogół kończy się to jednak rzezią atakujących. Motocykliści są narażeni na ostrzał z karabinów maszynowych czy drony FPV, które wlatują im w plecy. „Jak znajdują ludzi chętnych do zrobienia tego – nie wiem” – mówi Wołodimir, żołnierz 72. Brygady Zmechanizowanej. A mało to fanatyków jazdy terenowej połączonej z trenowaniem sportów walki? Tylko u Kacapów powstał nowy rodzaj tego typu „zabawy” – aż do grobowej deski.

Współpraca: „Skipper”

Jak się zdradza Polskę

Gdzie są granice uległości polskiego rządu wobec Niemiec? Dla Donalda Tuska nie istnieją. Premier jest w stanie upodlić się przed kanclerzem nawet w świętej sprawie polskich krzywd z okresu II wojny światowej

O jak wspaniale! Nareszcie!" – cieszyły się polskie media, wspierające obóz władzy, gdy kanclerz Olaf Scholz przywiózł do Warszawy pół swojego gabinetu na pierwsze od sześciu lat konsultacje międzyrządowe. Szybko się okazało, że ta wizyta to policzek wymierzony Polsce przy pełnej akceptacji naszego premiera.

Z zadośćuczynienia należnego naszemu państwu za krzywdy doznane w czasie II wojny światowej zostają nic nieznaczące zapowiedzi Berlina „sta-



MAREK PYZA

rań" wsparcia dla ofiar inwazji sprzed 80 lat i budowy jakiegoś miejsca pamięci (a może raczej: niepamięci) w niemieckiej stolicy.

Co na to szef polskiego rządu? Okazał pełne zrozumienie i autoryzował haniebną postawę kanclerza.

Tusk zdradził tym samym polską rację stanu, pogwałcił naszą politykę historyczną (bo wraz z machnięciem ręką na reparacje otworzył Niemcom bramę do relatywizowania historii i umniejszania ich win), wyrzucił do kosza lata pracy armii historyków i urzędników, którzy wykonali tytaniczne zadanie udokumentowania niemieckich zbrodni i oszacowania bilansu polskich strat wojennych.

Fot. Krystian Maj/KCPM



Pozwolił Scholzowi upokorzyć Polskę w sposób, w jaki nie czyniła tego nawet Angela Merkel.

GIERMEK ZBUDOWANY

„Niemcy są świadome swojej wielkiej winy, swojej odpowiedzialności za miliony ofiar niemieckiej okupacji. I są też świadome zadań, jakie z tego wynikają. Dlatego Niemcy będą starały się realizować wsparcie na rzecz osób ocalałych z okupacji. Niemcy chcą wspierać upamiętnianie naszej wspólnej historii. W tym celu gabinet federalny podjął decyzję o utworzeniu miejsca upamiętnienia ofiar II wojny światowej i nazistowskiej okupacji. Dom polsko-niemiecki ma być widocznym znakiem przeciwko zapomnieniu i ma być przestrogą na przyszłość” – mówił Scholz w Warszawie.

Tylko tą jedną wypowiedzią dowiódł, że nie może być mowy o żadnym poczuciu odpowiedzialności, o żadnej wynikającej zeń świadomości zadań. To nawet nie są paciorki ani zapowiedzi paciorków. To jakieś ochłapy. Zamiast jakkolwiek sensownej odpowiedzi na rachunek wysłany Niemcom przez poprzedni rząd, opiewający na ponad 6,2 bln zł zadośćuczynienia, mamy zapowiedź „starania się” o wspieranie osób ocalałych z okupacji. Kto by przypuszczał, że Niemcy to tak cierpliwy naród? Wyczekali 80 lat od wojny, aż wymrą niemal wszystkie ofiary ich bandytyzmu. A tych najtwardszych, najbardziej długowiecznych i tak chcą wodzić za nos pustymi obietnicami.

„Nie jestem w żadnym stopniu rozczarowany tym dobrym gestem ze strony kanclerza i rządu niemieckiego, ponieważ nie ma takich gestów, które by usatysfakcjonowały Polki i Polaków. Nie ma takiej sumy pieniędzy, która by zrównoważyła to wszystko, co stało się w czasie II wojny światowej”. Tych kapitulacyjnych słów Tuska nie da się w żaden sposób usprawiedliwić. Premier stosuje tu logikę, według której nie ma sensu dochodzenie odszkodowań za śmierć np. w wyniku wypadku, bo przecież żadne pieniądze nie zwrócą życia i nie usatysfakcjonują bliskich ofiar.

Lider Platformy mówił też, że jest „zbudowany gotowością do poważnej rozmowy na ten temat”. Ale żadnej jaskółki

powagi tu nie ma. Niemcy chcą się wykipić od odpowiedzialności, rzucić parę centów jałmużny, a Tusk im za to klaszcze.

Nie ma co się oburzać na Niemcy – od wieków znamy ich stałą politykę dążącą do dominacji nad innymi państwami i bezwzględności realizowania swoich interesów. Skoro przez pierwsze 50 lat rzekomo demokratycznej RFN tak skutecznie chronili nazistowskich zbrodniarzy, a nawet wynosili ich do władzy (lokalnej, ale zawsze), to nic

Nie ma żadnego dokumentu stwierdzającego, że Polska skutecznie zrzekła się zadośćuczynienia od Niemiec. Gdyby istniał, władze w Berlinie już od dawna by nim wymachiwały

carskich kontaktach – a rżnącym głupa, że niczego nie jest nikomu winien?

TUSK JAK KOMUNISCI

Jednak tym, co w wygłoszonej w obecności kanclerza przemowie szefa polskiego rządu było najgorsze, to posługiwanie się kłamstwami, byle tylko usprawiedliwić



ucieczkę Niemców od konsekwencji ich zbrodni.

„Dla mnie jest ważne, że dzisiaj usłyszałem słowa i deklaracje, które potwierdzają powszechne przekonanie w Polsce, że wymuszone historią zrzeczenie się reparacji nie zmienia faktu, [...] ile tragicznych strat w ludziach, w majątku, terytoriach Polska poniosła wskutek napaści Niemiec na Polskę. [...] Jedno to jest to formalne zrzeczenie się w czasach komunizmu, a drugie to jest to, co tak naprawdę Polsce wskutek tych strat należałoby się od Niemiec. To są dwie zupełnie różne kwestie. I kanclerz Scholz mówi też otwarcie – i to jest zaleta tego spotkania – że w sensie formalnym i prawnym reparacje z punktu widzenia Niemiec są zamknięte. I ma argumenty na rzecz tej tezy”.

To piramidalna bzdura. Scholz nie ma na to żadnego argumentu. Jakoś nikt dotychczas nie pokazał ani umowy międzynarodowej o rezygnacji Polski z zadośćuczynienia, ani nawet noty dyplomatycznej rządu w Warszawie z takim stanowiskiem.

W czasach komunizmu też nie było żadnego „formalnego zrzeczenia się”, jak twierdzi Tusk. Albo premier nic nie

dziwnego, że również po zjednoczeniu i znacznym poszerzeniu Unii Europejskiej nie zmienili kursu.

Ale nie wolno nam zaakceptować, że polski premier wpisuje się w tę politykę i realizuje niemieckie interesy. A w takiej sytuacji się znaleźliśmy. Berlin nie byłby w stanie wyhodować sobie lepszego giermka nad Wisłą niż Donald Tusk.

2 lipca premier opowiadał też, jak to wiele czasu ministrowie obu rządów poświęcili sprawom kultury, wartości i praworządności. Jak jednak mogła wyglądać rozmowa o wartościach i praworządności z przedstawicielami państwa, które chroni paserów zrabowanych dzieł sztuki? Które wydoiło ekonomicznie swojego sąsiada, kradnąc mu obrazy, rzeźby, starodruki, setki tysięcy innych eksponatów i po 80 latach odmawia jakiegokolwiek rozmowy o ich zwrocie? Czy możemy mówić o praworządności w przypadku kraju, który jest bezpośrednim spadkobiercą Rzeszy – okradającej Polaków z ich prywatnych oszczędności, przekazującej je do Reichsbanku, ukrywającej je na szwaj-

wie o prawie międzynarodowym i nigdy nie interesował się wydarzeniami z 1953 r., albo ordynarnie kłamie.

Trzeba postawić na to drugie, bo trudno zakładać, że szef polskiego rządu jest tak skandalicznie niedoinformowany.

Kwestię decyzji rządu Bieruta opisaliśmy szczegółowo w tygodniku „Sieci” w 2022 r. Ujawniliśmy wówczas dwa dokumenty z 18 sierpnia 1953 r. odnalezione przez prof. Bogdanę Musiałą (byłego szefa Instytutu Strat Wojennych) w moskiewskich archiwach. Jeden opisuje decyzję radzieckiego rządu, a drugi (ważniejszy) jej zatwierdzenie przez KC KPZR. Czytamy w nich, że Rada Ministrów ZSRR postanawia polecić MSZ, aby ten „powiadomił rząd PRL, iż Związek Sowiecki od dnia 1 stycznia 1954 r. zrezygnował z pobierania reparacji od Niemiec” i od strony polskiej oczekuje tego samego. Czysty rozkaz dla komunistycznych władz w Warszawie.

Te 19 sierpnia przyjęły uchwałę bliźniaczą do radzieckiej, ale archiwa nie pozostawiają wątpliwości: ma się to dokonać po podpisaniu w Moskwie specjalnego protokołu. Ustanowiono nawet skład delegacji rządowej PRL na ten wyjazd. Miał jej przewodniczyć wicepremier Tadeusz Gede. Znamy nawet specjalne upoważnienie do moskiewskich rozmów, które podpisał dla niego Bierut 20 sierpnia.

Tyle że Gede nigdy nie pojechał w taką delegację, żadnych rozmów nie było, a więc nie powstał żaden protokół potwierdzający zrzeczenie się reparacji przez Polskę Ludową.

22 sierpnia towarzysze radzieccy spotkali się z towarzyszami enerdownskimi i załatwili sprawę, podpisując dokładnie taki protokół, jakiego nie podpisały władze PRL. Była to *de facto* próba ratunku komunistycznych Niemiec przed upadkiem. Kreml zrozumiał konieczność pomocy NRD w zasadzie za wszelką cenę. 17 czerwca 1953 r. doszło do tego, że na ulice Berlina musiały wyjechać sowieckie czołgi, zginęło kilkadziesiąt osób. Rosła fala ucieczek do RFN, a gigantyczne niezadowolone mieszkańców wschodnich Niemiec brało się także z dokuczliwej biedy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że miał na nią wpływ także konsekwentnie

odprowadzany pod płaszczykiem reparacji haracz do Moskwy. Wtedy zapadła decyzja o rezygnacji z reparacji, tylko z jednego powodu – w obronie władzy ludowej w NRD.

Wszystko, co w kolejnych dniach publikowały komunistyczne gazety nad Wisłą, było – jak byśmy dziś po-

Niemcy chcą się wykpić od odpowiedzialności, rzucić parę centów jałmużny, a Tusk im za to klaszcze

wiedzieli – fake newsami zamówionymi w Moskwie.

Być może niedopełnienie formalności wynikało z pośpiechu towarzyszy radzieckich i przekonania, że Związek Sowiecki będzie wieczny, więc nikt nigdy nie dopatrzy się uchybień proceduralnych. Ale fakty są takie, że ZSRR skutecznie się zrzekł reparacji, a Polska nie.

Czy Donald Tusk (historyk z wykształcenia) zna te fakty? Zapewne tak. Ale najwyraźniej nie przeszkadza mu one w powielaniu komunistycznych głupot o decyzjach zapadłych za rządów Bieruta, które rzekomo mają mieć moc prawną.

Polski premier podobnie oszczędnie dysponuje prawdą, gdy twierdzi, że Anna Fotyga jako pisowska minister spraw zagranicznych zrzekła się reparacji. Prawda jest taka, że jej podpis widnieje pod przygotowaną przez urzędników resortu dyplomacji odpowiedzią na interpelację jednego z posłów z 2006 r. Stwierdza się w niej jedynie, że „stanowisko polskiej doktryny prawa międzynarodowego w przeważającej mierze jest jednoznaczne i nie pozostawia wątpliwości co do faktu zrzeczenia się przez Polskę reparacji od Niemiec”. Jest to jednak ni mniej, ni więcej niż opinia pojedynczego ministra (jest dyskusyjne, czy rozważna), która nie ma statusu umowy międzynarodowej ani nie jest nawet stanowiskiem rządu w omawianej sprawie, lecz relacją

z dotychczasowych postaw kolejnych Rad Ministrów.

Powtórzmy: nie ma żadnego dokumentu stwierdzającego, że Polska skutecznie zrzekła się zadośćuczynienia od Niemiec. Gdyby takowy istniał, władze w Berlinie już od dawna by nim wymachiwały.

ZMIANA NARRACJI

Wróćmy jeszcze do 2004 r., gdy Sejm pracował nad pierwszą uchwałą zobowiązującą rząd do domagania się reparacji od Niemiec. W czasie debaty Donald Tusk mówił:

„Cała odpowiedzialność za skutki materialne II wojny światowej w relacjach polsko-niemieckich spada na Niemcy. Zawsze Niemcy były za nie odpowiedzialne i powinny tę odpowiedzialność dalej ponosić. Dlatego najbardziej przyjazne gesty z naszej strony wobec państwa niemieckiego i ze strony niemieckiego państwa wobec Polaków, polskich polityków i państwa polskiego nie mogą zastąpić realnych, twardych konkratów. [...] Jeśli w rozmowach z politykami niemieckimi coraz częściej słyszę – i państwo też pewnie to słyszeli – że czas na nowe Niemcy, że czas pokuty niemieckiej się skończył, to chciałbym także, aby przy okazji tej uchwały Polacy głośno powiedzieli, że czas pokuty za takie winy, jakie były udziałem Niemiec w czasie II wojny światowej, że czas pokuty w takiej sprawie nigdy się nie kończy, że jeśli jakkolwiek lider niemieckiej opinii publicznej przyjedzie do nas, do Polski, i zrobi nawet najszlachetniejszy gest, ukłęknie przed naszymi pomnikami naszej tragedii narodowej”.

Dziś by mu to nie przeszło przez gardło. Wtedy posłowie PO poparli uchwałę Sejmu wzywającą rząd do walki o reparacje. Również w 2022 r. podobna uchwała została przyjęta przy wsparciu niemal całego klubu Platformy.

Co się nagle zmieniło? Dlaczego Tusk wykonał zwrot o 180 stopni?

Jednateza mówi, że to poprostu spłata długu wdzięczności, jaki ma w Berlinie, bo pomoc Niemiec w obaleniu rządów PiS, a wyniesieniu do władzy PO jest nie do przecenienia – czy to poprzez długofalowe grillowanie rządu Zjednoczonej Prawicy na arenie międzynarodowej,



Fot. Krystian Majk/PAP

Donald Tusk pozwolił Olafowi Scholzowi upokorzyć Polskę w sposób, w jaki nie czyniła tego nawet Angela Merkel

głodzenie go niewypłacaniem pieniędzy na KPO, działalność polskojęzycznych mediów o niemieckim kapitale czy wprost poprzez transfery pieniędzy z Berlina, m.in. za pomocą organizacji pozarządowych do tych NGO nad Wisłą, które wiernie pracują na rzecz obozu lewicowo-liberalnego.

Inna teza, najkorzystniejsza dla Tuska, to ta przedstawiona przez Marka Budzisa na portalu wPolityce.pl.

„Niemiecką politykę Tuska traktuję w kategoriach rozpaczliwej próby zaradzenia temu, co już widać na horyzoncie, a mianowicie pogarszającej się sytuacji bezpieczeństwa Polski. Ukraina może się przekształcić w niepewnego, może nawet nieobliczalnego i z pewnością słabego partnera, niezdolnego do wiązania rosyjskich sił, a na dodatek Niemcy mogą się zacząć zastanawiać, czy z ich punktu widzenia lepszym rozwiązaniem nie jest porozumienie z Moskalami. Szukając rozwiązania tego problemu, Tusk, mający oczywiście sympatie proniemieckie, podjął, moim zdaniem, decyzję zakorzenienia Rzeczypospolitej w świecie interesów niemieckich, nawet za cenę rezygnacji z części naszej suwerenności”.

Zalóżmy, że faktycznie tak jest i premier szuka jakiegokolwiek wyjścia z kłopotów rysujących się przed naszym krajem (m.in. w obliczu niepewnej strategii Waszyngtonu względem Europy po ewentualnym powrocie Donalda Trumpa do Białego Domu). Jednak

forma ogłoszonej przez niego kapitulacji jest nie do przyjęcia.

Raz, że niemieckie interesy są rozbieżne z polskimi na większości kierunków i nasz zachodni sąsiad zrobi wszystko, by Warszawa zbyt nie urosła i nie przeszkodziła w budowie jego europejskiej hegemonii. A dwa, że reparacje wojenne nie są kartą przetargową, z której w jakiegokolwiek doraźnej sprawie możemy sobie ot tak zrezygnować.

Tusk i Scholz nie rozumieją – albo po prostu mają to gdzieś – że nie da się zbudować nowego otwarcia w stosunkach polsko-niemieckich na mechanizmie uległości, a wręcz podległości. Że złożenie świętej sprawy rozliczeń najstraszniejszej z wojen na ołtarzu doraźnych interesów Berlina przyniesie więcej krzywd niż pozornych korzyści. Porzucenie jej nie zbuduje porozumienia między państwami, nie zbliży do siebie naszych narodów. Przeciwnie – będzie gnijącą raną, wciąż rozdrapywaną. Zatrjuje kolejne pokolenia na całe dekady.

KAŻDA RODZINA OFIARĄ

„Die Zeit”: „Po spotkaniu w Warszawie nie ogłoszono żadnych konkretnych płatności dla Polski”. „Süddeutsche Zeitung”: „Kwestia reparacji nie będzie już negocjowana – przyznał polski rząd”. Takie euforyczne tytuły niemieckiej prasy po wycieczce Scholza do polskiej stolicy są mocno na wyrost. Polski rząd niczego nie przyznał, a słowa Donalda

Tuska to na szczęście nic więcej niż jego prywatne opinie, nieubrane w żadne oficjalne stanowisko.

Być może on sam spodziewał się od Scholza więcej, może liczył na jakikolwiek konkret. Wszak w przeddzień wizyty „Gazeta Wyborcza” zapowiadała (zapewne przekazując czytelnikom wrzutki od rządowych PR-owców), że kanclerz przywiezie do Warszawy okazały prezent – sporą sumę „(mówi się o paru set milionach euro) na wypłaty odszkodowań dla żyjących ofiar niemieckich represji z czasów okupacji”. Nie przywiózł nawet tego, a przecież mówimy o kwocie stanowiącej ledwie dziesiątą część promila niemieckich należności wobec Polski.

Oczywiście straty wyliczone przez Instytut Strat Wojennych nie są pełne. Nikt nie zmierzy bowiem krzywd, których doznał każdy Polak w wyniku niemieckiej agresji. Mój tata w czasie wybuchu wojny miał sześć lat. Jego dzieciństwo zostało przekreślone i naznaczone złowieszczymi nalotami we wrześniu 1939 r., zabawą w gruzach miasta, niedożywieniem, obawą, czy zobaczy jeszcze swojego ojca, gdy ten pięć lat później poszedł do powstania. Dziadek wrócił, ale tylko dlatego, że umiał mówić po niemiecku i posługiwać się pędzlem i farbą – jeden z niemieckich dowódców potrzebował odmalować okupowany gabinet. Później tak musieli z tatą uciekać z płonącej Warszawy, na piechotę udali się do rodziny w Radomiu.

Mój drugi dziadek trzy razy uciekał z niemieckiej niewoli, wożony do Rzeszy na przymusowe roboty. Wyjątkowej łaski okupanta doświadczył po jednej z łapanek na Woli, gdy Niemcy rozstrzelali niemal wszystkich zatrzymanych Polaków. Jego, rozebranego do naga, puścili wolno, gromko się przy tym zaśmiewając. Nie wiedział, czy w ramach tej diabolicznej zabawy nie usłyszy za chwilę strzału. Nie usłyszał. Wrócił do babci w kozuchu zdjętym z zamordowanej przez okupantów kobiety. Dzięki temu, że przeżył, kilka miesięcy po wojnie urodziła się moja mama. Moi bliscy mieli więc dużo szczęścia, ale miliony Polaków go nie miały. W rodzinie każdego z nas są mniej lub bardziej wstrząsające historie związane z niemiecką napaścią i okupacją.

I wciąż będą was ścigać, panie kanclerzu i panie premierze.

Niemiecki kanclerz ogłosi jutro w Warszawie odszkodowania dla ofiar nazizmu! – obwieścił w przeddzień wizyty Olafa Scholza rozentuzjasmowany Bartosz Węglarczyk z portalu Onet. Z ogłoszeniem odszkodowań skończyło się jednak tak jak z ręką w Odrze, na którą czekał kiedyś w Szczecinie Konrad Piasecki z TVN24. Ani jedno, ani drugie nie znalazło potwierdzenia w rzeczywistości.

Olaf Scholz, skądinąd najsłabszy kanclerz w najnowszej historii Niemiec, wymierzył we wtorek soczysty policzek Donaldowi Tuskowi. Nie tylko nie powiedział niczego konkretnego o odszkodowaniach dla ofiar II wojny światowej, lecz także wymusił na Tusku zgodę na zabezpieczenie przez Polskę dostaw rosyjskiej ropy naftowej do niemieckiej rafinerii w Schwedt. Nie było też żadnych ustaleń w sprawie wschodniej flanki NATO, a o mitycznej Tarczy Wschód – linii umocnień mającej chronić polską granicę z Białorusią – wiemy tylko tyle, że Unia Europejska nie da na nią złamanego grosza, co w zasadzie przesądza o klęsce tego projektu.

Donald Tusk, legendarny król Europy, który po powrocie do władzy dzięki swoim kontaktom i znajomościom miał nam wszystko połatwiać, po raz kolejny okazał się miotanem niemającym realnych wpływów w zachodnich stolicach. Nie potrafił wymóc jakiegokolwiek wiążącej deklaracji nawet na tak nieudolnym i bezbarwnym polityku, jakim jest Olaf Scholz. Jaki więc będzie poziom bezradności Tuska, gdy w Berlinie obejmie władzę ktoś z większą charyzmą i charakterem? A nastąpi to prędzej niż później.

HOŁD TUSKA

Kanclerz Niemiec może się za to czuć usatysfakcjonowany. W Warszawie nikt nie zadawał mu trudnych pytań, wręcz bito tu przed nim czołem, z nawiązką spełniając wszystkie jego oczekiwania i zachcianki.

Według raportu posła Mularczyka straty wojenne, które poniosła Polska ze strony Niemiec, wyniosły ponad 6,2 bln zł. Tusk stwierdził jednak, że żadna kwota nie naprawi krzywd z przeszłości i tym samym zamknął sprawę

Powrót pedagogiki wstydu

Polska pod rządami Tuska ponosi nie tylko straty polityczne i gospodarcze. Tracimy również w sferze symbolicznej.

Te szkody wydają się może mniej spektakularne, ale z pewnością są bardzo dotkliwe. Bo nie da się ich szybko naprawić



KONRAD KOŁODZIEJSKI

reparacji. Oczywiście w obozie władzy tliła się potulna nadzieja, tak dobrze wyrażona przez Bartosza Węglarczyka, że Scholz, wzruszony polską ustepliwością, wykona jakiś symboliczny gest w rodzaju ogłoszenia odszkodowań dla żyjących ofiar wojny, ale kanclerz nie zdobył się nawet na taki ochłap. Bo rzecz jasna byłby to ochłap, biorąc pod uwagę fakt, że żyjące ofiary wojny można dziś liczyć na palcach. Scholz stwierdził jedynie,

że „Niemcy będą się starały realizować wsparcie na rzecz osób ocalałych w II wojnie światowej”.

Wyniki rozmów były tak oplakane, że Tusk nie miał dosłownie niczego, co mógłby sprzedać Polakom jako rzekomy sukces. Wil się więc niemilosierdzie, wypowiadając jakieś nie do końca zrozumiałe zdania o dobrych niemieckich intencjach, które należy docenić. „Ta intencja rządu niemieckiego i kanclerza, mówimy o intencji, nie jest w zamian za coś, ona wynika z dość oczywistej potrzeby o charakterze też etycznym, ale też politycznym i to jest potrzeba raczej strony niemieckiej” – mamrotał wyraźnie obolały szef rządu. Wszyscy bowiem ujrzeni – i to w świetle jupiterów – że Tusk złożył Scholzowi hołd lenny i nie dostał niczego w zamian.

Jedynym w miarę konkretnym ustaleniem wizyty kanclerza była zapowiedź budowy Domu Polsko-Niemieckiego w Berlinie „w ciągu najbliższych dziesięciu lat”. Przy czym nie ma on być, wbrew nazwie, polską instytucją. To raczej – jak powiedział Tusk – „potrzeba strony niemieckiej”. Tę „potrzebę” dobrze wyjaśnił prof. Zdzisław Krasnodębski, cytując jednego z niemieckich publicystów: „napadliśmy ich, zniszczyliśmy ich kraj w czasie II wojny światowej, mordowaliśmy ich, a teraz będziemy ich pouczać, jak mają to pamiętać i interpretować”.

PIĘTNO POLSKOŚCI

Pouczanie Polaków, jak powinni interpretować własną historię, trwa – z ośmioletnią przerwą na rządy Zjednoczonej Prawicy – już od trzech dekad. W myśl tej interpretacji cała nasza historia to ogólnie pasmo klęsk oraz niegodziwości wyrządzanych sąsiadom i mniejszościom, za co powinniśmy się wstydić i smażyć w piekle. Jedyne jasne okresy w naszych dziejach to te, w których stawiano nas w szeregu. Dopiero wtedy, zwykle pod cudzą kuratelą, nabieraliśmy ogłady.

W zestawieniu z innymi europejskimi nacjami byliśmy zazwyczaj gorsi, zarówno pod względem kultury, jak i rozwoju materialnego. I była to wyłącznie nasza wina. Inni, nawet jeżeli popełniali zbrodnie, to dokonywali ich z większą finezją niż my, dla wyższych celów, a w każdym razie nie byli bardziej podli od nas. Dlatego Polacy nie mają prawa twierdzić, że są ofiarami II wojny światowej, bo – w szerszym wymiarze – jej ofiarami byli wszyscy, również Niemcy, sterroryzowani przez nazistowski reżim. Byliśmy również – podobnie jak oni – sprawcami zbrodni, zwłaszcza na Żydach. Niektórzy co bardziej gorliwi promotorzy pedagogiki wstydu, tacy jak Jan Grabowski, twierdzą wręcz, że Polacy wymordowali 200 tys. Żydów, co oznacza, że braliśmy masowy udział w Holokauście.

Ten fałsz jest od lat rozpowszechniany na całym świecie, niestety również przez samych Polaków, bardzo łapczywie korzystających z cudzych grantów. W tej chwili najważniejsze jest jednak to, abyśmy sami uwierzyli w przeinaczoną wersję naszej historii. Bo gdy tak się stanie, nie będzie już powrotu do prawdy i nikt się do niej nie odwoła. Staniemy się pariasami Europy ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Najbardziej zatrważające jest to, że w tej, wydawałoby się, tak oczywistej kwestii, jaką jest obrona prawdy historycznej i dobrego imienia Polaków, nie ma ogólnonarodowej zgody ponad podziałami. W tym sensie rzeczywiście jesteśmy gorsi od innych. A może raczej za kompleksieni. Gdyby bowiem przyjrzeć się pod mikroskopem przeciętnemu Polakowi, zwłaszcza temu „wykształconemu, z wielkiego miasta”, zobaczylibyśmy zalęknioną istotę pozbawioną funkcji poznawczych. To człowiek, który nie czyta niczego poza portalami internetowymi

w rodzaju Onetu lub serwisów plotkarskich, który nie ogląda niczego poza netfliksami i tefauenami, nie słucha niczego poza modnymi podcastami i który nie był nigdzie poza zagranicznymi kurortami oraz najsłynniejszymi muzeami sztuki (gdzie i tak niczego nie rozumiał).

Dlaczego więc mielibyśmy sądzić, że tego rodzaju istota, pozbawiona własnej tożsamości i kodu kulturowego, ma cokolwiek wiedzieć o własnym kraju? Zwłaszcza że odczuwa obezwładniający kompleks swojego niskiego pochodzenia. Fajna Polska to dla tej istoty taka, której tak naprawdę nie ma.

Właśnie takich ludzi reprezentuje Tusk i obecna władza. Nienawidzili oni PiS, bo rządy Zjednoczonej Prawicy utrudniały im osiągnięcie celu, jakim jest rozpuszczenie się w Europie i pozbycie się raz na zawsze wstydlivego – ich zdaniem – piętna polskości.

PREPAROWANIE MÓZGÓW

Wystarczy przypomnieć sobie historię, z jaką gawiedź od Tuska reagowała na zmiany programowe przeprowadzane w szkolnictwie za czasów ministra Czarnka. W szczególności dotyczyło to wprowadzenia do szkół przedmiotu historia i teraźniejszość. Liberalna lewica bała się podręcznika Wojciecha Roszkowskiego jak diabeł święconej wody, bogdyby zawarte w nim treści udało się przenieść do głów nastolatków (co skądinąd wydawało się dość karkołomnym zadaniem w dzisiejszych czasach), to jej siła rażenia w bitwie o dusze młodych Polaków byłaby znacznie mniejsza.

Nic więc dziwnego, że jedną z pierwszych decyzji nowej ekipy w MEN była likwidacja tego przedmiotu. Młodzi ludzie, jeśli nie są jakoś szczególnie zainteresowani historią, zostaną teraz celowo pozbawieni wiedzy o dziejach najnowszych. W przyszłości łatwo im będzie więc wmówić, że Polacy masowo mordowali Żydów, że byliśmy najbardziej zacofanym narodem w Europie lub inną tego rodzaju bzdurę. Rezultatem takiej propagandy historycznej będzie utrwalanie kompleksów w młodym pokoleniu i odcinanie się ludzi od własnego pochodzenia. Zresztą o to w tym wszystkim chodzi. Żebyśmy byli narodem bez kręgosłupa, bez tożsamości, ze spreparowanymi mózgami.

Od pół roku nikt nie przeszkadza liberalnej lewicy w uprawianiu pedagogiki wstydu i ogłupianiu społeczeństwa. To obowiązująca linia obecnej władzy. Jej ostatnim akordem była zmiana wystawy w gdańskim Muzeum II Wojny Światowej. Nowy dyrektor placówki Rafał Wnuk usunął z ekspozycji rodzinę Ulmów, rtm. Pileckiego oraz św. Maksymiliana Kolbego. Powód, który podano w oficjalnym oświadczeniu, pozornie nie miał nic wspólnego z polityką historyczną. Stwierdzono bowiem, że usunięte postaci zaburzały „antropologiczny charakter narracji”.

Można oczywiście przyjąć tłumaczenie, że sylwetki polskich bohaterów były niezgodne z pierwotną koncepcją wystawy, przygotowaną jeszcze przez platformerskiego dyrektora placówki Pawła Machcewicza. To jednak oznacza, że ta pierwotna koncepcja była błędna. Przede wszystkim dlatego, że umniejszała polski wkład w II wojnę światową i zwycięstwo nad Hitlerem, co było zabiegiem zbieżnym z niemiecką narracją historyczną, relatywizującą pojęcie sprawcy i ofiary. W tym kontekście rtm. Pilecki, św. Maksymilian Kolbe czy rodzina Ulmów rzeczywiście nie pasowali do niej, bo przecież zgodnie



z nią Polacy nie byli wyłącznie ofiarami, lecz także, a może nawet przede wszystkim, narodem sprawców.

ODWAGA DYREKTORA

Tę narrację jak na tacy wyłożyli internetowi trolle z akademickimi tytułami pokroju Jana Hartmana i Michała Bilewicza. Ten pierwszy „przypomni”, że „Kolbe przez lata wydawał odrażające żydożercze piśmiśla, a bohaterska rodzina Ulmów ratowała Żydów, podczas gdy ich sąsiedzi Żydów zabijali, a ukrywających (w tym Ulmów) denuncjowali Niemcom. Każde upamiętnienie tych postaci, które pomija te fakty, jest łgarstwem”. Drugi z kolei przyrównał św. Maksymiliana Kolbego do morderców z Jedwabnego, czym sprowokował prezesa Ordo Iuris Jerzego Kwaśniewskiego do słusznej uwagi, że nikt porządny nie powinien podawać ręki komuś takiemu jak Bilewicz.

Hartmanowi zaś przypominano, że jego logika działa jak obosieczny miecz. Skoro bowiem upomina się o niewygodne fakty, to dlaczego nie domaga się pełnej prawdy o platnych denuncjatorach wśród Żydów podczas okupacji?

Hartmana i Bilewicza przebił jednak – choć to bardzo trudne zadanie – sam dyrektor Muzeum

II Wojny Światowej, który w wypowiedzi

radiowej przyrównał polskich męczenników do bohaterów kreskówki. „Tego rodzaju Myszki Miki, tego rodzaju Supermamy będziemy starali się z całej opowieści wyczyścić” – zapowiedział na antenie Radia Gdańsk.

Kto zajmie miejsce o. Kolbego, rtm. Pileckiego i rodziny Ulmów? Pewną podpowiedzią może być lipcowe seminarium w gdańskim muzeum, które było poświęcone polsko-żydowskiemu ochotniczkom hiszpań-

skiej wojny domowej. Wygląda na to, że bolszewickie działaczki są dla dyrektora Wnuka znacznie ważniejsze od polskich bohaterów. Zapewne nigdy nie ośmieliliby się nazwać żadnej z nich Myszką Miki. Odwaga pana dyrektora nie jest przecież aż tak straceńcza.

Hucpa dyrektora Wnuka okazała się jednak niestrawna nawet dla tak chwiejnego i płacziwego polityka, jakim jest Władysław Kosiniak-Kamysz. Wicepremier po raz pierwszy w tej kadencji zdobył się na stanowczość i skrytykował działania dyrekcji muzeum, a PSL zaapelowało o przywrócenie postaci Ulmów i o. Kolbego (rtm. Pileckiego z niejasnych powodów pominięto). Ostatecznie w poprzednią sobotę dyrekcja gdańskiej placówki ogłosiła, że

Niemcy uważają, że już rozgrzeszyli się ze swojej przeszłości. Za to Polska musi jeszcze odrobić swoją lekcję pokory, najlepiej pod ich światłym, doświadczonym okiem

„dostrzega potrzebę uwzględnienia o. Kolbego i rodziny Ulmów na wystawie stałej” i zapowiedziała, że „najdziej dla nich odpowiednie miejsce”.

LISTA HAŃBY

Co to znaczy „odpowiednie miejsce”, nie wiemy. Znając stosunek dyrektora Wnuka do postaci polskich bohaterów (przypomnijmy, że to dla niego „Myszki Miki” i „Supermamy”) można

się spodziewać wszystkiego, np. umieszczenia gablot w piwnicy, bufecie lub szatni. Tym bardziej że druga strona nie daje za wygraną. Przeciwnko „patriotycznemu szantażowi” polegającemu na przywróceniu postaci o. Kolbego i rodziny Ulmów zaprotestowała bowiem grupa 163 osób, wśród których znalazły się, oprócz wspomnianego już Bilewicza i innego uniwersyteckiego trolla Macieja Góreckiego, takie tuż jak Agnieszka Holland, Jan Tomasz Gross, Helena Łuczywo, Barbara Engelking i Michał Boni. Pod listem otwartym w obronie działań podjętych przez dyrektora Wnuka podpisała się też grupa naukowców, w tym Andrzej Friszke, Dariusz Libionka, Krzysztof Persak, Piotr Osęka, Jerzy Kochanowski i Andrzej Leder.

Co charakterystyczne, jest też kilku Niemców, co pokazuje, że bardzo chętnie wypowiadają się oni na temat sposobu, w jaki należy przedstawiać polską historię i nie dostrzegają w tym żadnej niestosowności. Uważają oni po prostu, że rozgrzeszyli się już ze swojej przeszłości i nie należy do niej wracać. Za to Polska musi jeszcze odrobić swoją lekcję pokory i spojrzeć na swoje dzieje w inny sposób, najlepiej pod ich światłym, doświadczonym okiem.

W przywracanej dziś pedagogice wstydu fakty historyczne nie mają większego znaczenia. Liczy się bowiem cel polityczny, jakim jest kastracja polskiego państwa. Bo gdy cudzoziemcy zaczną nam pisać historię, czy to bezpośrednio, czy za pomocą lokalnych pomagierów, staniemy się ich niewolnikami.

Polska pod rządami Tuska ponosi nie tylko straty polityczne i gospodarcze. Tracimy również w sferze symbolicznej. Te szkody wydają się może mniej spektakularne, ale z pewnością są bardzo dotkliwe. Pokolenie obywateli nieobezwładnionych pedagogiką wstydu będzie przecież w dużym stopniu stracone.



Kurs na delegalizację PiS

Delegalizacja Prawa i Sprawiedliwości wydaje się trudna do przeprowadzenia.

W sensie formalnym, bo aby to osiągnąć, trzeba otwarcie łamać prawo.

Ale całkowita anihilacja prawicy to cel obecnej władzy. Widać już wyraźny scenariusz tych działań

Gdyby się okazało, że w tej układance jest jakieś sterowanie z Moskwy, jak pan mówi, chociażby rozsądzanie Unii Europejskiej, działalność polityków PiS, pan wyobraża sobie wniosek o delegalizację PiS z tego powodu? – miesiąc temu takie pytanie zostało zadane ważnemu politykowi Koalicji Obywatelskiej, gdy gościł on w „odzyskanej” przez obecną władzę TVP. Adresatem pytania z tezą był Borys Budka, który chyba na nie czekał, aby móc stanowczo orzec: „Oczywiście, wyobrażam sobie taki wniosek. Dlatego, że PiS jest partią polityczną, która bazuje na najgorszych, autorytarnych rozwiązaniach. PiS jest partią polityczną, która przez ostatnie osiem lat, dążąc za wszelką cenę do utrzymania władzy, naraziła polski interes!”.



PIOTR GURSZTYN

Pomysły na delegalizację Prawa i Sprawiedliwości siedzą w głowach ludzi ekipy Donalda Tuska od bardzo dawna. Ideologiem tego kierunku jest oczywiście Roman Giertych. Od lat buduje on tym swoją pozycję, odkupując dawne „grzechy” i skutecznie zajmując pozycję szarej eminencji obecnego rządu. Jeszcze przed wyborami ogłaszał on manifesty, które dzisiaj trzeba uznać za oficjalny program obecnego rządu:

„Naszym narodowym zadaniem jest nie tylko obalić PiS, ale wypalić tę zarazę do korzeni. Oto »dziesiątka Romana«, czyli moja propozycja jak będziemy musieli to zrobić.

1. Zdelegalizować PiS.
2. Osądzić i najsurowiej ukarać wszystkich biorących udział w tym zamachu na demokrację, który miał miejsce w latach 2015–2023. Zaczynając od rozliczenia nielegalnego ułaskawienia Kamińskiego oraz Wąsika i brutalnego zamachu na TK.
3. Wykryć i ukarać tych, którzy brali udział w wielkiej grabieży pisowskiej. Pod tym kryją się wszystkie afery PiS, również nepotyzm.
4. Odebrać wszelkie dotacje, które zostały udzielone Kościołowi katolickiemu w Polsce za poparcie

o charakterze politycznym udzielane przez media katolickie. W tym przede wszystkim rozliczyć dotacje dla o. Rydzyka.

5. Upublicznienie wszelkiego rodzaju »doradztwo« dla rządu czynione przez quasidiennikarzy wolnych mediów. W przypadku, gdy to doradztwo miało cechy korupcji menedżerskiej, ukarać winnych.
6. Ukarać prokuratorów prowadzących prześladowania opozycji w latach 2016–2023 oraz tych, którzy kryli przestępstwa PiS.
7. Ukarać sędziów i prokuratorów biorących udział w nielegalnych reformach wymiaru sprawiedliwości.
8. Zlikwidować wszystkie pomniki rodziny Jarosława Kaczyńskiego (może za wyjątkiem jakiegoś pomnika LK przed Muzeum Powstania Warszawskiego).
9. Rozliczyć niezasadne reklamy dla mediów pisowskich płacone przez spółki Skarbu Państwa.
10. Wykryć i ukarać agenturę rosyjską.

Ten scenariusz wendetty nie jest tylko odosobnionym wybrykiem Giertycha. Poza dyskusją pozostaje, że ma pełną autoryzację ze strony Tuska. Jest już realizowany, choć nie bez trudności.

KOMU PODOBAJĄ SIĘ SIŁOWE ROZWIĄZANIA?

Sam punkt pierwszy – czyli delegalizacja PiS – sprawi obecnej władzy duży problem. Nie tylko dlatego, że o czymś takim orzeka Trybunał Konstytucyjny, który w dzisiejszym składzie jest niezależny od nacisków rządu. Nawet gdy TK zostanie obsadzony przez nominatów Tuska, to sama procedura delegalizacji nie będzie prosta. Wśród prawników dominuje pogląd, że podstawowym zapisem w tej kwestii jest art. 13 konstytucji: „Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszystwu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdoby-

cia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa”.

Czy udałoby się narzucić jako wiążącą opinię to, że PiS spełnia powyższe kryteria? Tak, ale najpierw trzeba przekonać większość opinii publicznej, a nie tylko 20 proc. wyborców spod znaku Silnych Razem. Dzisiaj byłby z tym problem, i to nawet wśród elit popierających obecną władzę.

Oto pewien symptom, który zwrócił uwagę bardziej spostrzegawczych polityków PiS – wywiad udzielony stacji TVN24 przez ministra sprawiedliwości. Adam Bodnar stwierdził w nim, że nie wyobraża sobie siłowego przejęcia Krajowej Rady Sądownictwa. Rozmowa miała groteskowe akcenty, gdy dziennikarka zachęcała do siłowego rozwiązania, przypominając, że powiodło się ono w przypadku TVP. Ale nasi rozmówcy wskazują, że ważne było co innego – że Bodnar nie jest pewien reakcji „swoich” sędziów. Tego, czy brutalne i wątpliwe pod względem prawnym działanie pierwszej władzy uzyska akceptację prawniczego establishmentu. Panuje tam wprawdzie żywiołowa nienawiść do PiS, ale nie mniej silna jest niechęć do Romana Giertycha, a to on jest postrzegany jako motor antypisowskiej kontrewolucji w sądownictwie i jej potencjalny beneficjent.

Lewicowi i bardzo krytyczni wobec prawicy bloger o pseudonimie Gamuel napisał kilka miesięcy temu: „Uważam, że Silni Razem są nawet gorsi o sekty smoleńskie. Bo sekta smoleńska to były nieszkodliwe dziadki na emeryturze bez żadnych wpływów, a Silni Razem jednak są w mediach, prokuraturze, sądach”. Czy ma rację, pisząc o mocnej obecności Silnych Razem w sądownictwie i prokuraturze? Oczywiście tak, ale wywiad Bodnara wskazuje, że mimo to procedura sądowa może być dla obecnej władzy nieprzewidywalna. Zwłaszcza że wraz z upływem czasu, kolejnymi dowodami na niską jakość rządzenia obecnej władzy, jej niepowodzeniami w sprawach gospodarczych i polityki społecznej pozycja hunwejbiniów z Iustitii będzie raczej słabła niż rosła.

PRZESUWANIE NORM

Z tego powodu trzeba położyć nacisk na urabianie tych, którzy pozostają przeciw PiS, ale nie są fanatycznie oddani obecnej władzy. Podstawowym elementem przygotowania propagandowego jest coś, co można nazwać przesuwaniem norm. A prościej – psuciem standardów i jednocześnie testowaniem reakcji na niedopuszczalne wcześniej działania. Donald Tusk i jego minister sprawiedliwości mają na tym polu zauważalne osiągnięcia.

Społeczeństwo przywyka do łamania kolejnych norm. Opinia publiczna nie dziwi się już temu, że główna partia opozycyjna nie jest reprezentowana w prezydiach Sejmu i Senatu oraz że została wycięta z władz komisji parlamentarnych. Że prezydentowi bez podstaw prawnych odebrano tak ważną prerogatywę jak współdecydowanie o nominacjach ambasadorskich. Nie dziwi się siłowym najazdom na kolejne instytucje. Przywykła do tego, że uchwały sejmowe są ważniejsze od konstytucji.

W tym kontekście należy spojrzeć na szykanowanie śmiertelnie chorego Zbigniewa Ziobrę. Każda poprzednia władza – nie tylko pisowska – zrezygnowałaby w takim przypadku ze ścigania tak ciężko dotkniętego konkurenta. Ze względów wizerunkowych, bo sympatia społeczna byłaby po stronie chorego. Tak jest też dzisiaj, co widać z badań społecznych, w których większość ankietowanych krytycznie ocenia pomysł wezwania leczącego się onkologicznie Ziobry przed sejmową komisję śledczą. Po co zatem ludzie Tuska go męczą? Nie mają z tego bezpośrednich zysków politycznych, bo zdaje się, że brutalne przeszukanie jego domu bardziej zmobilizowało zwolenników prawicy niż stronników rządu, co miało potem odbicie w wyniku wyborów samorządowych.

Przez jakiś czas wydawało się, że ciekłość wynika z lizusostwa i tępoty drugorzędnych posłów koalicji. Trwa to jednak zbyt długo, aby Tusk nie zauważył niepożądanych dla niego efektów. Dlaczego nie zarządził rezygnacji z prymitywnych metod? Bo uznał, że obecne szkody mają znaczenie krótkookresowe. Natomiast pokaz bezwzględnej

brutalności będzie bardzo silnym bodźcem dla turbopolaryzacji dzielącej polskie społeczeństwo. Na dodatek po pewnym czasie jakaś część opinii publicznej zobojętnieje wobec tego typu działań, normy znów zostaną przesunięte, a standardy jeszcze bardziej popusute. Pozwoli to na kolejny krok, czyli ostateczną rozprawę z liderami prawicy.

ŁOMOT NA CAŁEGO

Nie jest tajemnicą, że jednym z najważniejszych celów życiowych Donalda Tuska jest „zniszczyć Kaczora”. Delegalizacja partii Jarosława Kaczyńskiego – o ile będzie łatwa – byłaby tylko etapem. Podobnie odebranie subwencji budżetowej, o czym zrobiło się głośno w ostatnich dniach. W PiS dominuje pogląd, że nie ma możliwości prawnych, aby to uczynić – także w świetle ostatnich „rewelacji”, czyli wypuszczeniu do zaprzyjaźnionych mediów listów prezesa PiS przestrzegających przed nieuprawnionym wykorzystywaniem środków z Funduszu Sprawiedliwości. Gdyby jednak do tego doszło – jak słyszymy od polityków ZP – to efekt mógłby być odwrotny od oczekiwań Tuska. To znaczy skutkiem byłyby ogromna mobilizacja zwolenników PiS łącznie z masowymi i systematycznymi wpłatami z ich strony na rzecz partii.

Widać wyraźnie, że premierowi nie wystarczy jeden kij, aby zatłuc konkurentów. Musi zadać im wiele ciosów. Najbardziej realnym i skutecznym działaniem z jego punktu widzenia jest odbieranie immunitetów i wykorzystanie prokuratury. To instytucja, nad którą ma najbardziej pewną kontrolę. Odbieranie immunitetów może niekiedy sprawiać problem. Część posłów PSL nie chciała głosować za odebraniem immunitetu Michałowi Wosiowi, bo uznali, że argumenty prokuratorów przedstawione na sejmowej komisji sprawiedliwości były kompromitująco słabe. Ale została narzucona dyscyplina, a marszałek z Trzeciej Drogi, czyli Szymon Hołownia, skrupulatnie przypilnował, aby żadne mleko się nie rozlało i nie dopuścił do debaty w Sejmie. To z jednej strony oznaka siły

władzy, która zawsze może zakneblować opozycję, ale z drugiej dowód na jej poczucie niepewności – echa otwartej debaty mogłyby dotrzeć do opinii publicznej. A widać, że byłoby to niepożądane z powodu słabości oskarżenia.

Odebranie immunitetu Wosiowi, a wcześniej widowiskowe aresztowanie ks. Michała Olszewskiego można uznać za zwiady przed uderzeniem w liderów prawicy. Zaczęto od osób mniej znaczących, na dodatek związanych z Suwerenną Polską, czyli partią bardzo małą. Wcześniejszy przypadek zatrzymania Mariusza Kamińskiego i Macieja

Tusk sprawia nieodparte wrażenie osoby, którą męczą wszystkie tematy poza jednym: zniszczeniem prawicy. Tylko to go pochłania, a ponieważ jednocześnie nie daje swoim ministrom żadnej swobody działania, nie będzie sukcesów w dziedzinach wpływających na jakość życia mieszkańców Polski

Wójcika był inny, bo wtedy władza skorzystała z okazji, którą dawał jej wyrok sądowy. Ale areszty dla najważniejszych polityków prawicy będą sprawą trudniejszą. Władza nie będzie w stanie wszystkiego zaplanować. Pod jej kontrolą są prokuratura i policja, ale w sądach mogą zostać podjęte nieprzewidywalne decyzje. W przypadku zaskarżenia aresztu ks. Olszewskiego władzy za pomocą administracyjnego triku udało się ominąć losowanie sędziego. Ale nie będzie mogła – przynajmniej według obowiązujących dzisiaj standardów – robić tego cały czas i na dodatek w przypadku postaci takich jak Jarosław Kaczyński czy Mateusz Morawiecki.

BILET DO BRUKSELI

Nie można jednak oczekiwać, że Tusk zrezygnuje z wendetty. Nie chce ze względów osobowościowych i nie może z powodów politycznych. Dochodzi do tego także indywidualna kalkulacja: sława pogromcy populistów ma być biletem powrotnym do Brukseli. Świadczą o tym jego agresywne komentarze na temat wydarzeń zagranicznych. „Lubią Putina, pieniądze i władzę bez kontroli. Rządzą lub właśnie sięgają po władzę na wschodzie i na zachodzie Europy. Łączą swoje siły w Parlamencie Europejskim. W Polsce w ostatniej chwili odwróciliśmy ten fatalny bieg rzeczy. Nie zmarnujmy tego” – pisał po wyborach we Francji, reklamując swoje „dokonania”. Bilet do Brukseli przyda się także w przypadku powrotu prawicy do władzy. Być może dzięki temu Tusk nie będzie musiał w areszcie sikać do butelki. A wiadomo, że ma takie obawy, bowiem straszył swoich ministrów wizją więzienia w razie przegranych przez nich wyborów.

Drugi przymus wynika z jakości rządzenia Tuska jako premiera. Ta jest oceniana jako niska nawet przez zaprzysiężonych zwolenników. „Widać marazm i zagubienie, czyli paliwo dla tęsknoty za »sprawczym PiS«” – czytamy w tygodniku „Polityka”. Każdy widzi, że nie ma oznak zmiany w tym zakresie. Tusk sprawia nieodparte wrażenie osoby, którą męczą wszystkie tematy poza jednym: zniszczeniem prawicy. Tylko to go pochłania, a że jednocześnie nie daje swoim ministrom żadnej swobody działania, nie będzie sukcesów w dziedzinach wpływających na jakość życia mieszkańców Polski. Premier zna tylko jeden sposób odwracania uwagi społeczeństwa od realnych problemów i swoich porażek. Zobaczyliśmy to znów, gdy po kłapie spotkania z kanclerzem Niemiec posłuszni mu prokuratorzy wdarli się do KRS. Chleba nie będzie, więc muszą być igrzyska. I to tak absorbujące przez swą brutalność, żeby ludzie nie mieli czasu ani odwagi zapytać, czy kiedyś może będzie też chleb.

Dlaczego Fidesz rządzi dłużej niż PiS?

Nasze uwarunkowania są diametralnie inne. Fidesz działa od 1988 r., rozwija się organicznie, zalicza mniejsze czy większe upadki.

PiS przegrało wybory nie dlatego, że popełniło błędy – każda władza je popełnia, my również – mówi tygodnikowi „Sieci” **László Kövér**, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Węgier i wieloletni bliski współpracownik Viktora Orbána, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Bardzo nam miło odnotować w Polsce kolejną pańską pielgrzymkę na Jasną Górę i do krakowskich Łagiewnik. Skąd się wzięła ta tradycja, w której udział bierze sam przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Węgier?

László Kövér: Mój bardzo dobry przyjaciel László Budai zorganizował w 2011 r. pierwszą pielgrzymkę, na którą pociągami przyjechało od razu prawie 800 osób. Zostałem poproszony, żeby zostać takim świeckim patronem tego wydarzenia. To był dla mnie zaszczyt, bo wtedy Węgry przekazywały Polsce prezydencję w Unii Europejskiej. Pomyślałem, że w ten sposób w ramach dyplomacji publicznej moglibyśmy potwierdzić, że nie tylko mamy wspólną historię, lecz także budujemy wspólną przyszłość. Jako kalwinista sam wziąłem udział w pielgrzymce w towarzystwie mojej żony i córki, które są katoliczkami. Wtedy spotkałem się z posłami Prawa i Sprawiedliwości, członkami parlamentarnej grupy pol-

sko-węgierskiej, którzy dowiedziawszy się o tym, że wybieram się do Polski, sami przyjechali do Częstochowy. PiS było jeszcze wówczas w opozycji.

Wiemy jednak, że przy okazji pielgrzymki wraz z przedstawicielami PiS planujecie jakąś wspólną politykę.

Razem z byłym marszałkiem Markiem Kuchcińskim i kilkoma naszymi polskimi przyjaciółmi wzięliśmy udział w mszy św. w Krakowie kończącej tegoroczną pielgrzymkę, na której było obecnych blisko 700 wiernych z Węgier z różnych obszarów Basenu Karpackiego. Po złożeniu wieńców na grobach św. Jadwigi i prezydenta Lecha Kaczyńskiego, znaleźliśmy też okazję do dyskusji na temat tego, w jaki sposób moglibyśmy wspólnie jak najwięcej zrobić dla jedności działania suwerennych i patriotycznych sił politycznych, dobra silnej Europy, opartej na fundamentach cywilizacji chrześcijańskiej.

Te partyjne grupy to tylko prawica? Czy jacyś liberalowie lub lewicowcy także są skłonni bronić suwerenności narodów?

Jak pokazała najnowsza historia Grupy Wyszehradzkiej, współpraca premierów PiS, należącego do EKR, słowackiego Smeru, należącego do Socjaldemokratów, liberalnego czeskiego ANO i Partii Ludowej Fidesz to jak dotąd najbardziej produktywny okres V4. Istnieją interesy narodowe, które wprost żądają, abyśmy wzniesli się ponad podziały ideologiczne i wspólnie bronili naszej suwerenności przed arogancją brukselskiej biurokracji zdradzającej Europejczyków. Jest to widoczne nie tylko w Europie Środkowej, lecz także od Półwyspu Iberyjskiego po Bałtyk.

Rządzicie już półtorej dekady, PiS odsunięto od władzy po ośmiu latach. Co polska prawica zrobiła nie tak?

Może byłoby niezręcznie oceniać przegraną PiS w ostatnich wyborach, zwłaszcza gdy nasze uwarunkowania są tak diametralnie inne. Fidesz działa od 1988 r., rozwija się organicznie, zalicza swoje mniejsze czy większe upadki. Zdażyła się jednak wykrystalizować silna grupa ludzi o takich samych wartościach i lojalności, którzy, skupiając się wokół Viktora Orbána, mającego też charyzmę, stała się najbardziej skuteczną partią w Europie Środkowej. Z kolei w Polsce prawica od zawsze była mniej stabilna. Partie z tej strony tworzyły się, dzieliły, znikwały – mamy więc inne fundamenty i doświadczenia. Ale jeśli mogę wymienić jedną rzecz, uważam, że PiS przegrało wybory nie dlatego, że popełniło błędy – każda władza je popełnia, my również. Chodzi raczej o medialną sytuację w Polsce i obraz, który wytworzyły lewicowo-liberalne media. Kiedy w 2002 r. przegraliśmy



wybory, zaproponowaliśmy, by różne nurty polityczne miały udział w mediach publicznych. Ówczesny socjalistyczny premier odpowiedział: jeżeli chcecie swoje media, to je sobie po prostu kupcie. Poszliśmy za jego radą i we współpracy z kapitałem narodowym stworzyliśmy pravicową telewizję, która odegrała ważną rolę, np. demaskując brudną politykę socjalistycznej koalicji po 2006 r. To m.in. dzięki temu z kretesem przegrali oni w 2010 r. i nie podnieśli się z tego do dziś. Model węgierski jest w skali europejskiej unikatowy. Patrząc na tradycyjne platformy medialne, mamy takie same szanse na dotarcie z naszym przekazem do wyborców jak lewicowa opozycja. Czym innym są oczywiście media społecznościowe we władaniu Big Techu, cenzurującego i ograniczającego treści, które uznają za niepoprawne politycznie. To jest wyzwanie, które stoi przed konserwatywnymi partiami, takimi jak PiS czy Fidesz.

Mówi pan o porozumieniu konserwatywnych partii w Europie na kanwie obrony suwerenności państw, ale pomiędzy pravicowymi środowiskami jest wiele sprzeczności na tle narodowościowym, historycznym.

Lewicowym partiom jest łatwiej, bo łączą je nicość, pustka, bezideowość. Nie mając prawdziwych wartości, nie mogą się poróżnić między sobą. Konflikty pomiędzy narodami są naturalne, ale możemy rozwiązać ten problem zasadą „żyj i daj żyć innym” po swojemu, w swoim kraju, czyli metodą, której istotą w Unii Europejskiej jest subsydiarność. UE w swoim zamyśle opierała się właśnie na tym i to było genialne. Ostatnio widziałem w praktyce, jak działa demokracja w Szwajcarii, gdzie ustrój rozwija się od 800 lat. Problemy są tam rozwiązywane na wyższym szczeblu tylko wtedy, gdy nie można ich rozpatrzyć na niższym.

O wspólnym mianowniku partii pravicowych na Węgrzech od okresu

dwudziestolecia międzywojennego mówimy tak: Bóg, ojczyzna, rodzina. To są podstawowe wartości, które pozwalają nam się zrozumieć i znaleźć wspólne rozwiązania dla problemów demograficznych czy kulturowych, które zaczynają się właśnie przez odrzucenie tych idei.

Przed konserwatystami stoi jednak inne wyzwanie – w tak dynamicznym XXI w. młódzież naprawdę liberalizuje się w szalonym tempie.

Tutaj widzę raczej inny problem – młodzi przestają się angażować w politykę, interesować się nią, niekoniecznie widzą pozytywny związek pomiędzy decyzjami politycznymi a kształtowaniem własnego losu. Jednocześnie mają tendencję do buntowania się przeciwko obecnej sytuacji, radykalnego odrzucenia obecnego systemu. Są miejsca, gdzie popycha ich to w stronę liberalizmu, który daje iluzję wolności od wszelkich

ograniczeń. Są też miejsca, gdzie są rozczarowani lewicą i kierują się w stronę radykalnej prawicy. U nas nadal największy odsetek głoszącej młodzieży popiera Fidesz, a nowa partia Momentum, która chciała pójść w ślady Fideszu, odświeżyć jego idee i odwołać się do korzeni naszego ruchu, nie zdobyła wystarczającego poparcia i jest teraz w kłopotach – ostatnio zdobyła niecałe 4 proc. poparcia i wypadła z Parlamentu Europejskiego.

Między europejskimi partiami prawicowymi często istnieją paradoksalne rozbieżności. Widzę np. różnicę między PiS a Fideszem, a podobieństwo między Fideszem a rumuńską AUR wobec wojny rosyjsko-ukraińskiej. Wasza prawica różni się od naszej, a jest podobna do rumuńskiej, za którą nie przepadascie ze względu na napięcia rumuńsko-węgierskie.

Co prawda nie śledzę działalności partii AUR, ale ich szowinistyczne podejście do mniejszości węgierskiej w Siedmiogrodzie jest mocno kłopotliwe. To ugrupowanie prezentuje się jako swego rodzaju antysystemowa, suwerenna i konserwatywna siła, wykorzystując fakt, że sojusze postkomunistycznych socjaldemokratów i prawicowych liberałów ucieleśniony w wielkiej koalicji, a nawet na wspólnej liście wyborczej do Parlamentu Europejskiego, pozostawił po sobie znaczną część niezadowolonego elektoratu. Uważamy PiS za naszego sojusznika, ale AUR nie.

Jeśli chodzi o konflikt rosyjsko-ukraiński, błędem było uznanie go za kwestię przełomową w komunikacji PiS z Fideszem, między Polską a Węgrami, wykluczając w ten sposób możliwość akceptacji, a zwłaszcza pogodzenia podejść opartych na innych punktach widzenia i odmiennych interesach narodowych. Jednak w 1939 r. nawet w znacznie tragiczniejszej sytuacji udało nam się znaleźć poprawną moralnie i politycznie odpowiedź, pisząc w ten sposób jeden z najpiękniejszych rozdziałów naszych dotychczasowych

polsko-węgierskich relacji historycznych. Mamy nadzieję, że ta obecna, straszna wojna zakończy się jak najszybciej, a my będziemy mogli spokojnie wyciągnąć z niej wnioski i skoncentrować siły na tych wrogach, którzy nie tylko zagrażają naszej suwerenności państwowej, lecz także ukradliby duszę naszego narodu.

Jak teraz chcecie układać politykę z Polską? Lepiej dogadywać się z rządem, ale Tusk jest wam przeciwny. Z kolei partia bliższa wam światopoglądowo, czyli PiS, ma dużo mniejsze możliwości, będąc w opo-

Jeśli chodzi o konflikt rosyjsko-ukraiński, błędem było uznanie go za kwestię przełomową w komunikacji PiS z Fideszem, między Polską a Węgrami, wykluczając w ten sposób możliwość akceptacji, a zwłaszcza pogodzenia podejść opartych na innych punktach widzenia i odmiennych interesach narodowych

zycji. Jak połączyć stanowisko partii rządzącej z partią sympatyzującą z opozycją?

To jest ciekawe, ale współpraca między Fideszem a Platformą Obywatelską popsukała się właśnie wtedy, gdy Prawo i Sprawiedliwość się do nas zbliżyło. To moja osobista perspektywa, bo uczestniczyłem w tym zbliżeniu w 2011 r., zresztą na kanwie wcześniej wspomnianej pielgrzymki na Jasną Górę i do krakowskich Łagiewnik. W tym czasie PO przesuwała się coraz bardziej na lewo, a PiS pokazywało Fidesz jako przykład pozytywnej polityki w kraju, tym samym atakując Platformę. Wtedy odbieraliśmy sygnały

od PO, by nie rozmawiać z PiS, co było dla nas o tyle niezrozumiałe, że w myśl znanego przysłowia: „Polak, Węgier, dwa bratanki” uważaliśmy, że możemy w Polsce rozmawiać, z kim chcemy, niezależnie od tego, czy jest w rządzie, czy w opozycji. Natomiast jak partia Jarosława Kaczyńskiego wygrała wybory, PO rzuciła się na nas z taką zjadłością, że jakakolwiek współpraca okazała się niemożliwa. Nasi europosłowie relacjonowali, że nawet w Brukseli zaczęły się wściekle ataki na nas. Postrzegamy to jako swego rodzaju wypaczoną konsekwencję dysonansu poznawczego spowodowanego odejściem od chadeckiego systemu wartości i ubolewamy nad tym. Jednocześnie patrząc na dzisiejszy rozwój sytuacji politycznej w Polsce, nie wydaje nam się to już takie dziwne.

Na koniec powrócę jeszcze do kwestii pańskiej pielgrzymki do świętych miejsc w Polsce. Czy znalazł pan tam inspirację do nawiązania do Viktor Orbána na katolicyzm?

Ale ja też jestem protestantem! [śmiech] Dziś na szczęście możemy powiedzieć, że katolików i protestantów więcej łączy niż dzieli. Niestety najważniejszym wspólnym wyzwaniem jest antychrześcijański terror duchowy, który coraz bardziej dominuje w europejskim społeczeństwie, a w niektórych miejscach przekracza nawet granice zagrożenia egzystencjalnego.

Mamy wspólne wartości, które musimy pielęgnować razem, a zgodnie z nauką Jana Pawła II powinniśmy wciągać w to jeszcze wiernych prawosławnych. Jednym z tragicznych skutków ubocznych wojny rosyjsko-ukraińskiej jest osłabienie solidarności w świecie chrześcijańskim. Jak wspominałem – podobnie do premiera Orbána członkinie mojej rodziny są katoliczkami i żyjemy w całkowitym „pokoju religijnym”. Papież Jan Paweł II jest bardzo szanowany również w naszych kręgach. W kazaniu na kalwińskim nabożeństwie mój przyjaciel pastor ujął to z pełną miłości i ironią: „Takiego dobrego papieża dla węgierskich kalwinistów to już nie będziemy mieć”.

Zjazd Hołowni

W ciągu najbliższych miesięcy skończy się spektakularna kariera obecnego marszałka Sejmu



STANISŁAW JANECKI

W czerwcu 2024 r. polityczna kariera Szymona Hołowni zaczęła się sypać, mimo że jako marszałek Sejmu formalnie pozostaje na jednym ze szczytów polityki. Odzwierciedlają to wyniki son-

dażu IBRiS dla portalu Onet (opublikowanego 20 czerwca 2024 r.). Marszałek Sejmu i lider Polski 2050 cieszył się zaufaniem 35,9 proc. – to spadek o 7,1 pp. w stosunku do poprzedniego badania. Ale nieufność wobec Hołowni wyrażało aż 50 proc. pytaných. To jego najgorszy wynik od wyborów parlamentarnych z 15 października 2023 r. Wówczas notowania marszałka wzrosły z 26,4 do 45 proc. W styczniu 2024 r. Hołownia uzyskał rekordowy poziom zaufania – 54,4 proc., ale już w czerwcu 2024 r. przed nim znaleźli się Andrzej Duda, Rafał Trzaskowski i Mateusz Morawiecki.

Po wyborach europejskich (9 czerwca 2024 r.) gwiazda Hołowni zaczęła mocno błędnąć, a sam wynik wyborczy Trzeciej Drogi (TD), w której jego partia Polska 2050 miała być lokomotywą, okazał się katastrofą: uzyskała 6,91 proc. głosów, podczas gdy w wyborach parlamentarnych 15 października 14,40 proc. (spadek aż o 7,49 pp.). Na TD, w której Hołownia kreował się na czołowego Europejczyka, zagłosowało poniżej 50 proc. wyborców, którzy oddali na nią głos w październiku 2023 r. Ok. 30 proc. dotychczasowych zwolenników Trzeciej Drogi przejęła Koalicja Obywatelska, zaś ok. 8 proc. jej wyborców głosowało na Konfederację.

Gdy 8 grudnia 2019 r. w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim Szymon Hołownia oficjalnie ogłosił start w wyborach prezydenckich w 2020 r., zaczął się jego polityczny wzlot. I trwał przez ponad cztery lata. Polityk zajął trzecie miejsce w pierwszej turze głosowania w wyborach prezydenckich w 2020 r. z wynikiem 13,87 proc. (zdobył prawie 2,7 mln głosów). Dobra passa trwała jeszcze w październiku 2023 r., gdy w wyborach parlamentarnych otwierał listę TD w okręgu podlaskim i otrzymał 79 951 głosów (najlepszy wynik w okręgu). Po wyborach został marszałkiem Sejmu (na pierwsze dwa lata kadencji). Wkrótce po objęciu przez niego tej funkcji oglądalność obrad izby niższej w internecie znacząco wzrosła – liczba subskrypcji kanału Sejmu w serwisie YouTube potroiła się, i to w niespełna dwa tygodnie. W maju 2024 r. spadła już jednak o ok. 30 proc., zaś w czerwcu o połowę.

To zapowiedź końca wielkiej politycznej kariery dawnego trefnisa telewizji TVN, wcześniej etykietowanego jako „katolicki dziennikarz”. Wielki zjazd polityka posługującego się metodami i zagraniami z show-biznesu oraz funkcjonującego jak postacie z telenowel.

WYKORZYSTANY WSPÓLNIK TUSKA

Na coraz słabsze notowania Szymona Hołowni wpływają oczywiście wyniki wyborów (samorządowych i europejskich), gdyż jego gwiazdorstwo nie zadziało. Ale nie tylko to. Zanim te elekcje zweryfikowały znaczenie i rangę marszałka Sejmu, był on lansowany (także przez prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza) na kandydata TD w wyborach prezydenckich w maju 2025 r. A politycy jego Polski 2050 chcieli nawet, żeby pozostał marszałkiem po upływie połowy kadencji, mimo że umowa koalicyjna rządzących obecnie partii mówiła tylko o dwóch latach i oddaniu stanowiska Włodzimierzowi Czarzastemu.

Na spadek notowań i znaczenia Szymona Hołowni wpływ ma przede wszystkim to, że premier Donald Tusk w różny sposób go ośmiesza i deprecjonuje. Zaczęło się od wrzutki na platformie X (d. Twitter) tuż przed wyborami samorządowymi: „Taktyczne głosowanie części zwolenników Koalicji Obywatelskiej na Trzecią Drogę pozwoliło nam odsunąć PiS od władzy. W tych wyborach [samorządowych] jedynym kryterium będą nasze własne przekonania”. Było to otwarte ośmieszanie Trzeciej Drogi i jej liderów, a przede wszystkim Hołowni. Dlatego ten zabrał głos: „Mielśmy pokonać PiS raz na zawsze, nie na 100 dni. Polacy chcą od rządu efektów, reformy szpitali, lepszej szkoły i prostych podatków. To cel zapisany w 12 gwarancjach Trzeciej Drogi”.

Do wyborów 15 października 2023 r. Hołownia był potrzebny Tuskowi jako wspólnik do tego, co zamierzał zrobić, a miało to cechy rewolucyjnej zemsty, a nie demokratycznego procesu przejmowania władzy. Choćby był tylko słupem. Tusk bezwzględnie wykorzystywał jego próżność i narcyzm, bo to stanowiło najlepszą podstawę do realizowania planów obecnego premiera, a nie marszałka Sejmu. Szef rządu jest przekonany, że może Hołownię osłabiać i atakować, gdyż ten nigdy się nie zbuntuje i nie opuści koalicji rządzącej. A im będzie on słabszy, tym lepiej dla rządu i jego politycznego zaplecza. Stąd różne wrzutki do mediów niszczące zaufanie do marszałka Sejmu.

Szymon Hołownia nie wyłonił się jako nowy człowiek w polityce, jako samorodek, lecz został wyhodowany i wylansowany przez środowiska biznesowe oraz mające wpływy w służbach tajnych i ogólnie mundurowych. To one potrzebowały człowieka telewizji, bohatera kultury masowej. Zaplecze biznesowe marszałka i jego ruchu było konkurencyjne wobec zaplecza Platformy Obywatelskiej, miało wpływy w mediach prywatnych oraz środowiskach artystycznych i wolnych zawodów. Ale te już się rozczarowały Hołownią, gdyż niczego dla nich nie załatwił. Dlatego znowu popierają PO i Donalda Tuska, który nie tylko więcej może (choćby nic nie robił), lecz także jest znacznie bardziej jednoznaczny ideologicznie. A poprzez swoje wpływy owe środowiska już nie wzmacniają, lecz osłabiają wizerunek i pozycję Hołowni.

CZŁOWIEK WIELU MASEK

Na osłabienie pozycji i rangi Szymona Hołowni wpływ miało to, że Państwowa Komisja Wyborcza odrzuciła sprawozdanie finansowe partii Polska 2050 za 2021 r. Szef ugrupowania odwołał się do Sądu Najwyższego (SN), lecz ten 21 lutego 2023 r. oddalił skargę. „Wylączną przyczyną odrzucenia przez Państwową Komisję Wyborczą sprawozdania partii politycznej Polska 2050 Szymona Hołowni [...] było przyjęcie przez Partię korzyści majątkowych o charakterze niepieniężnym od nieuprawnionych podmiotów (innych niż osoby fizyczne)” – uzasadnił SN. Te nieuprawnione podmioty to przede wszystkim Stowarzyszenie Polska 2050 oraz Fundacja Polska Od Nowa. Chodziło o to, że partia Hołowni, choć została wpisana do ewidencji w marcu 2021 r., złożyła sprawozdanie, z którego wynikało, że praktycznie nie działała w ciągu całego roku. Do każdej z rubryk mówiących m.in. o wpłaconych środkach, darowiznach i przyjętych wartościach niepieniężnych wpisano 0. Założona (za 1 tys. zł) w 2019 r. Fundacja Polska Od Nowa już rok później uzyskała prawie 3 mln zł przychodu, a w 2021 r. 5,8 mln zł.

Po orzeczeniu SN Hołownia nie mógł już używać argumentu, że jest nie tylko nowy w polityce, lecz także bez skazy. Pozostało jeszcze przekonywanie, że używa całkiem nowego języka, przez co trafia do wyborców. Przez lata był on ćwiczony przez Hołownię w telewizji TVN, co w połączeniu z bardzo prawdopodobnym treningiem NLP (programowanie neurolingwistyczne) miało stworzyć polityka używającego języka widowiska telewizyjnego połączonego ze sposobem przemawiania amerykańskich kandydatów telewizyjnych. Wszystko z elementami języka mediów społecznościowych przeplatane żargonem typowym dla nastolatków. I to zadziało, ale na krótko. Po siedmiu miesiącach marszałkowania w Sejmie Szymon Hołownia chyba przestał się przygotowywać do swoich występów podczas przewodniczenia obradom i już nie przyciąga uwagi. Jego spektakle stały się nudne i powtarzalne.

Marszałkowi szkodzi to, że raz jest konserwatywny, a raz progresywny, że stracił twarz w związku z potrzebami bieżącej polityki. Stał się śmieszny, przyłączając się do klimatystów, wegetarian i zwolenników ścisłego segregowania śmieci. Oryginalność Hołowni okazała się czystą kreacją. Miał być postrzegany jako ktoś spoza polityki, kto przykłada do niej często etyczne miary, dlatego widzowie (słuchacze) częściej mieli być skłonni przyznawać mu rację. Faktycznie tak było, ale i to się skończyło. Hołownia okazał się idealnym człowiekiem do wynajęcia, i to niekoniecznie do chwalebnych zadań. Zakładał maski i stwarzał pozory, za którymi Donald Tusk mógł realizować swoje plany zemsty i odwetu. A Hołownia był wspólnikiem.

Teraz wiele wskazuje na to, że marszałek Sejmu nie będzie jednak kandydatem Trzeciej Drogi na prezydenta RP, ale co najwyżej tylko własnej partii. Obecne trendy sondażowe wskazują, że przegra wybory, i to z kretesem. A później przestanie być marszałkiem Sejmu i zacznie się przyspieszony spadek zaufania oraz popularności. W końcu Hołownia zostanie już tylko cieniem samego siebie z drugiej połowy 2023 r., bez większego znaczenia w polskiej polityce. I będzie to zapewne upadek nawet bardziej spektakularny niż w przypadku Ryszarda Petru i Janusza Palikota.

Staś i Nel przetrwali w afrykańskiej puszczy, ale dopadli ich edukacyjni reformatorzy

„W pustyni i w puszczy” znika z listy obowiązkowych lektur szkolnych czytanych jako całość. Według propozycji Ministerstwa Edukacji uczniowie będą poznawać jedynie fragmenty powieści polskiego noblisty. Szkoda, że w szale cenzurowania kolejnych dzieł polskiej literatury nie dostrzega się ważnego przesłania tej książki



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Kiedy Sienkiewicz przystępował do pisania „W pustyni i w puszczy”, miał za sobą już 40 lat doświadczeń w pracy literackiej. Na początku XX w. zyskał miano jednego z najpopularniejszych pisarzy świata, a jego powieści wydawano w rekordowych nakładach i przetłumaczono na blisko 30 języków. Sam autor czuł się wyraźnie przemęczony i wyeksploatowany.

Zdawał sobie sprawę, iż nie będzie już w stanie udźwignąć wielkiej epopei, w której czuł się tak dobrze. Powieść dla młodzieży traktował więc jako dopełnienie swego ogromnego dorobku. Jak się później okazało, było to ostatnie dzieło pisarza, który zmarł w 1914 r.

BY CZYTAĆ Z CIEKAWOŚCIĄ

Dzieci były mu bliskie od dawna. Lubił gawędzić zarówno z malcami spotkanymi na Podhalu i Mazowszu, jak i w Kairze czy na Zanzibarze. Sam miał syna i córkę. Ubolewał, że nie może się doczekać wnuków. Pisarz wielokrotnie występował w interesie polskich dzieci w publicystyce prasowej. Bronił uczniów



z Wrześni przed szykanami pruskich władz oświatowych, usiłował wymóc na carskich urzędnikach organizowanie polskich szkół w Królestwie. W Oblęgorku, gdzie znajdował się jego dworek, założył nawet szkołę dla tamtejszej młodzieży wiejskiej.

W liście z 1909 r. do Wandzi Ulanowskiej – córki swojego przyjaciela, która była pierwowzorem Nel – zdradzał zamiary napisania nowego dzieła: „Ponieważ każdy powieściopisarz powinien, podług mego zdania, choć raz w życiu coś i dla dzieci napisać, więc postanowiłem zacząć i skończyć do przyszłego Nowego Roku (to jest do 1911) powieść pod tytułem »Przygody dwojga dzieci w środkowej Afryce«. [...] Chcę to tak napisać,

by książkę mogły czytać z ciekawością nie tylko dzieci, ale i panienki trzynastoletnie, a nawet i dorośli. [...] Ponieważ takie utwory bardzo się rozchodzą, więc będzie to nadzwyczaj łakoma rzecz dla księgarzy i dlatego trzymam to jeszcze w sekrecie, żeby przed czasem mnie nie szturmowali”.

MIEDZYNARODOWY BESTSELLER

Pierwsze pomysły egzotycznej historii zakiełkowały w wyobraźni pisarza w związku z podróżą do Afryki, którą odbył na przełomie 1890 i 1891 r., a więc 20 lat przed publikacją. Głównym elementem wyprawy miała być miesięczna

wycieczka myśliwska w głąb Czarnego Łądu. Sienkiewicz wyruszył z Neapolu 25 grudnia 1890 r., a punktem wyjścia był Zanzibar. Podczas tej wyprawy powstały spisane, a następnie wydane „Listy z Afryki”. Po 20 latach na bazie wrażeń z podróży i własnych obserwacji Henryk Sienkiewicz napisał powieść przygodowo-podróżniczą „W pustyni i w puszczy”. Pomysł na postać Stasia autor zaczerpnął z historii jednego syna polskiego inżyniera pracującego przy budowie Kanału Sueskiego. Chłopiec został porwany przez handlarzy niewolników i nigdy się nie odnalazł. Wspomniana wcześniej Wandzia Ulanowska była wzorem dla drugiej głównej postaci – Nel. W latach 1910–1911 dzieło w odcinkach ukazywało się na łamach „Kuriera Warszawskiego”. W formie książkowej wydano je w 1912 r. Książka szybko stała się międzynarodowym bestsellerem.

W RAMACH „ODCHUDZANIA”

Akcja powieści toczy się w latach 1884–1885. W Sudanie ma wówczas miejsce rewolucja islamska, znana jako powstanie mahdystów. Staś Tarkowski to 14-letni chłopiec, nazywany przez innych dzieckiem pustyni, ponieważ urodził się i wychowywał w Port Saidzie. Jego ojciec Władysław, patriota i uczestnik powstania styczniowego, pracował przy budowie afrykańskich kanałów. Nel Rawlison to ośmioletnia Angielka, której ojciec jest jednym z dyrektorów przedsiębiorstwa budującego Kanał Sueski. Dzieci zostają porwane przez Beduinów będących zwolennikami Mahdiego. Po uwolnieniu się z rąk porwaczy, przemierzają Afrykę w poszukiwaniu pomocy. Dzięki odwadze i wiedzy Stasia udaje się im pokonać wszystkie przeciwności i powrócić do ojców.

Ostatnie dzieło Henryka Sienkiewicza od pokoleń kształtuje wyobraźnię polskiej młodzieży. Należy do najchętniej czytanych lektur, a jej walorem jest także przybliżanie innych kultur. Jednak niedługo ma się to skończyć. W kwietniu br. do konsultacji publicznych skierowano projekty nowelizacji rozporządzeń ministra edukacji w sprawie podstawy programowej. Zgodnie z nimi zakres treści, które powinien poznać uczeń, ma być „odchudzony” o ok. 20 proc. Jedną

z „ofiar” ma zostać właśnie „W pustyni i w puszczy”. Czytane mają być jedynie fragmenty powieści.

RASIZM?

Środowiska lewicowe od lat postulowały usunięcie książki z podstawy programowej. „Jestem w trakcie lektury »W pustyni i w puszczy« z moim dzieckiem. Włosy dęba stają, jak to jest rasistowska książka. I ona inna nie będzie. Strasznie źle napisana. To powinno być w przypisach w wydaniu dla dzieci napisane, że Sienkiewicz był rasistą, ale w tych czasach ludzie jeszcze nie wiedzieli, że to jest złe” – mówił Jacek Żakowski na antenie radia TOK FM. Z kolei w tekście Pawła Cywińskiego w „Gazecie Wyborczej” z 2012 r. można znaleźć swoisty apel: „Najwyższa pora zapytać autorów podstawy programowej języka polskiego o celowość indoktrynowania uczniów szkoły podstawowej dziewiętnastowiecznymi kolonialno-rasistowskimi strukturami stereotypowymi oraz paletą prymitywnych stereotypów i fantazji dotyczących Afryki. [...] Najniebezpieczniejsze w »W pustyni i w puszczy« jest złudzenie, że na jej podstawie można sobie wyrobić własne zdanie o Afryce (»Ach, to trupiarnia ta Afryka!«), jej czarnoskórych mieszkańcach (»Bywają między czarnymi poczciwe dusze, choć w ogóle na ich wdzięczność liczyć nie można: to są dzieci, które zapominają o tym, co było wczoraj«) czy islamie (»Murzyni bowiem, póki mahometanizm nie wypełni ich dusz nienawiścią do niewiernych i okrucieństwem, są raczej bojaźliwi i łagodni«)”. Autor starał się przekonywać, że „przeciętny uczeń szkoły podstawowej nie jest w stanie odróżnić Sienkiewiczowskiej interpretacji rzeczywistości od świata rzeczywistego”. Poseł Lewicy Maciej Gdula na łamach „Krytyki Politycznej” w 2021 r. w artykule zatytułowanym „Staś i Nel – nasi mali rasiści” pisał: „Obrońcy »W pustyni i w puszczy« utrzymują, że to niewinna książka o chłopcu, dziewczynce, słoniu i psie, którzy muszą liczyć na siebie, żeby przetrwać w nieprzyjaznym świecie. Tylko że to nieprawda. Książka Sienkiewicza to literatura uzasadniająca panowanie białych w Afryce i oferująca Polakom rasizm ku pokrzepieniu serc”. W dalszej

części Gdula twierdził, że powieść uczy wyższości wobec ludzi innych ras i uzasadnia dominację silnych nad słabymi.

PRZESŁANIE PIĘKNE I PONADCZASOWE

Tymczasem ideą, która przyświecała Henrykowi Sienkiewiczowi, zdecydowanie nie było propagowanie wyższości białych nad czarnymi oraz pochwała kolonializmu. Książka jest bardzo pouczająca i wbrew opinii krytyków ma piękne przesłanie. Młodemu czytelnikowi łatwo jest się utożsamić z głównymi bohaterami. Powieść uczy, jak ważna jest rodzina i osoby, które są nam bliskie. To też lekcja odwagi i zachęta do życia w zgodzie z uniwersalnymi wartościami moralnymi, a nie pochwała kolonializmu jako takiego. Czytelnicy poznają, dlaczego trzeba leczyć się z zarozumiałstwa i chępliwości, odkrywają, co to jest i na czym polega godność osobista, a także mogą ujrzyć wartość szlachetnych uczuć i działań. W książce mamy zwierzęta – przyjaciół ludzi, które są przy nas w trudnych chwilach.

W „W pustyni w puszczy” znajdziemy piękne opisy fauny i flory kontynentu afrykańskiego. Dzieciom przemierzającym Czarny Łąd zagrażają zarówno chłód nocy, jak i gorąco dnia, susza i wilgoć, pustynia i dżungla pełna dzikich zwierząt. Pałące słońce, burze piaskowe i ulewne deszcze są elementami afrykańskiego krajobrazu. Poznajemy także sytuację rdzennych mieszkańców Afryki pod koniec XIX w. i ocenę tego stanu rzeczy przez Sienkiewicza.

Co prawda w dziele nie brakuje sformułowań, które dzisiaj mogą budzić kontrowersje, ale pamiętajmy, że powieść powstała w epoce kolonializmu, w której przekonanie o potrzebie ucywilizowania czarnych przez białych było dość powszechne. Oddaje to sposób myślenia ludzi współczesnych Sienkiewiczowi. W żaden sposób nie zmienia to faktu, że przesłanie tej książki pozostaje nie tylko piękne, lecz także ponadczasowe. Usunięcie jej z kanonu wpisywałoby się w popularny na Zachodzie trend zakazu publikacji książek i filmów, które z niewiadomych przyczyn zostały uznane za rasistowskie. W ten sposób umiera zarówno wolność słowa, jak i prawo do refleksji nad dorobkiem intelektualnym naszych przodków.

Wojna śniadaniówek

Każdego dnia telewizje śniadaniowe toczą wojnę o widza – jego uwagę i świadomość. Produkowane przez TVP „Pytanie na Śniadanie” spektakularnie ją przegrywa, czemu towarzyszą ekscesy z udziałem szefowej programu. A do szturm na jego pozycję szykuje się Polsat



MACIEJ WALASZCZYK

Wraz z brutalnym politycznym przejściem TVP przez nowe władze radiokalnych zmian dokonano również w „Pytaniu na Śniadanie”. Sztandarowy program nadawany codziennie w porannym paśmie w TVP 2 jeszcze jesienią ub.r. dominował, będąc bardzo popularny wśród widzów. Ku zdziwieniu, a nawet oburzeniu dużej części z nich z ekranu zniknęli jednak wszyscy dotychczasowi prowadzący, m.in. tak znane tandemy jak Katarzyna Cichopek i Maciej Kurzajewski, Tomasz Wolny i Ida Nowakowska, Tomasz Kammel i Izabella Krzan czy Anna Popek i Robert Rozmus. W ostatnich tygodniach z programu zniknął również znany reporter Mateusz Szymkowiak. Zastąpili ich m.in. Klaudia Carlos i Robert El Gendy, Katarzyna Dowbor i Filip Antonowicz, Beata Tadla i Tomasz Tylicki oraz Katarzyna Pakosińska i Piotr Wojdyło.

„PnŚ” TRACI WIDZÓW

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Program niemal natychmiast zaliczył zjazd, tracąc nawet 120 tys. widzów i do dziś nie odbudował swojej pozycji. Nic nie wskazuje na to, że tak się

stanie. Od kilku miesięcy rywalizację wygrywa konkurencyjne „Dzień dobry TVN”. W maju br. „Pytanie na Śniadanie” miało średnio 305,6 tys. widzów i 6,99 proc. udziału w widowni pasma, podczas gdy rok wcześniej zanotowało 416,6 tys. oglądających i 8,9 proc. udziału w widowni (dane Nielsen Audience Measurement).

Spadki oglądalności wywołały jednak falę krytyki nie tylko ze strony opozycyjnych dziś dziennikarzy, komentatorów czy byłych gwiazd. W ostatnim czasie nowa szefowa programu zabłysnęła swoimi wpisami na forach społecznościowych. Jednej z internatek radziła, by „przełączyła się na Republikę”. „Widocznie poziom dzisiejszego »Pytania na Śniadanie« jest za trudny. Nie ma durnych tancerek i nadętych chłopczyków przekonanych, że istnieje cud narodzin i trzeba udawać kogoś, kim się nie jest” – oceniła Kinga Dobrzyńska. To oczywiste aluzje do byłych prowadzących program: tancerki Idy Nowakowskiej i Tomasza Kammela, który podczas jednego z wielkanocnych koncertów TVP mówiło „cudzie życia”, nawiązując do będącej wtedy w zaawansowanej ciąży Joanny Kurskiej. Kammel wystąpił z oficjalnym pismem i wezwał Dobrzyńską do publicznych przeprosin.

Co ciekawe, do jej wpisów odniosły się władze TVP, które w specjalnym oświadczeniu wyjaśniały, że „Dobrzyńska zbyt emocjonalnie zareagowała na krytykę pojawiającą się w mediach społecznościowych, za co przepraszamy”. Przyznajmy, że to dość osobliwa sytuacja i niecodzienne stanowisko publicznego nadawcy.

Według obszernej relacji złożonej przez Marcina Januska, eksperta z zakresu kosmetyki i medycyny estetycznej, który 2 kwietnia został zaproszony do programu, rozszłoszczona na niego szefowa miała nazwać go „nieukiem i debilem” szukającym uwagi. „Ze mną, proszę pana, się nie zaczyna, chyba że chce pan kiepsko skończyć, bo chyba wie pan, kim ja jestem!” – miała do niego mówić Dobrzyńska.

Na sprawę spora światła rzucają komentarze umieszczane pod medialnymi doniesieniami na temat tego, co się dzieje za kulisami programu. „Kinga jest osobą wysoce niekompetentną” – napisał ktoś pod medialnymi informacjami na temat programu. „Pewnie zastanawiacie się, czemu Robert El Gendy utrzymał się w programie, mimo że pracował w TVP za poprzedniej władzy?” – czytamy w innym wpisie. Na to pytanie można sobie samemu odpowiedzieć lub doczytać w internecie, ale w sporym stopniu tłumaczy ono, jak uratował swoją głowę facet, który karierę w telewizji Kurskiego zrobił nawet większą niż wielu ludzi kojarzonych z tzw. prawicą. Ostatnio zresztą zaliczył dziwną wpadkę. Przeczytał gdzieś o śmierci czarnoskórego aktora Billa Cobbsa. „Mamy smutną wiadomość. Bill Cosby nie żyje. »Bill Cosby Show«, nie wiem, czy pamiętacie?” – wtrącił nieoczekiwanie, ale na szczęście jedna z reporterek wyprowadziła go z błędu, że nie o tę osobę chodzi.

Okazuje się, że wspomniane wcześniej jadłowite komentarze trafiły w czuły punkt, wywołując całą serię wypowiedzi,

w których obecne gwiazdy programu zachwalają pracę i jego szefową. Publicznie odniosły się do nich Klaudia Carlos i obowiązkowo Katarzyna Pakosińska, ubolewając nad kobietą rywalizacją, wdając się w mętne rozważania na temat „siostrzeństwa” kobiet i deklarując, że program, w którym pracuje, jest przeciwieństwem niezdrowej rywalizacji. „Kinga Dobrzyńska jest dla nas jak mama” – rzuciła była już artystka kabaretowa zupełnie serio, klasycznym przeciw „bareizmem”. Znow Katarzyna Dowbor w jednej ze swoich wypowiedzi wzywała do uspokojenia emocji i „ciszy medialnej” nad sprawą.

Jak widać, o ciszę trudno. Pozycja Dobrzyńskiej, która wywołuje sporo negatywnych emocji, jest silna z powodu osobistej znajomości z prezesem Tomaszem Sygutem (kiedyś szef TVP Info) oraz dyrektorem Piotrem Maślakiem. Sygut ma znów umocowanie polityczne – przecież chude lata rządów PiS przetrzymał jako członek stołecznego zarządu Miejskich Zakładów Autobusowych w mieście rządzonym przez Rafała Trzaskowskiego i PO.

PROGRAM DLA ROZWÓDEK

Przyjrzyjmy się nowym prowadzącym program. Katarzyna Dowbor – w wieku emerytalnym, choć kiedyś

bardzo popularna osobowość telewizyjna – nie ma już szczególnej energii i chyba nie potrafi wyjść z roli dobrej cioci naprawiającej biednym ludziom domy. Reszta kobiecej załogi to raczej dziewczyny ok. pięćdziesięcioletnie. Klaudia Carlos również zdaje się bar-

Po zmianie władzy w „Pytaniu na Śniadanie” nie tylko dokonano dużych zmian kadrowych, których skutkiem jest utrata nawet 120 tys. widzów. Tematycznie program oscyluje teraz wokół kobiet po czterdziestce – problemy z mężczyznami, rozwody, zdrady, eksperymenty życiowe

dzieć czuć profesorką akademii muzycznej niż telewizyjną gwiazdą dla mas. Dla niej czy Beaty Tadli taka rola to z pewnością przedsięwzięcie telewizyjnej emerytury z młodszymi partnerami u boku.

Po zmianie władzy w „Pytaniu na Śniadanie” nie tylko dokonano dużych zmian kadrowych. Tematycznie program oscyluje teraz wokół kobiet po czterdziestce – problemy z mężczyznami, rozwody, zdrady, eksperymenty życiowe. To, co było za czasów Kurskiego najwyżej żenującą wpadką, teraz stało się normą, a tematycznie dominuje raczej oferta dla kaboutników lub dla mających ambicję stać się nimi.

Podobnie jak w przypadku TVP Info, jest to przekaz raczej dla widza TVN, który oryginał lepszej jakości znajduje w tej właśnie stacji. Zaczęło się już w styczniu, gdy „Karolina i Agnieszka” oraz „Jakub i Dawid” opowiedzieli o swojej „receptce na długoletni i szczęśliwy związek”. Od tego czasu podobna tematyka sączy się bez końca, przeplatana najwyżej kawałkami poradnikowymi o tym, co robić, gdy za oknem jest zimno albo za gorąco, jak dbać o zwierzęta, gdzie jeździć na wakacje, co jeść i na co wydawać pieniądze. Mamy więc historię Klaudii, która urodziła się w męskim ciele i w wieku 47 lat „odkrywa swoją kobiecość”. Rozważania o tym, co zrobić, gdy „kocham swoje dziecko, ale nie chcę mieć drugiego”. Są i deklaracje typu: „Najtrudniejsze są powroty do pracy po urodzeniu”, ale w końcu lepsze to niż los sprzątaczk,



opiekunki, kucharki – kobiety na domowym etacie”. „Pytanie na Śniadanie” podpowiada, jak zbudować nowy związek po rozwodzie, jakie zachowania mężczyzn irytują kobiety plus wazektomia, czyli antykoncepcja dla mężczyzn. W nowym układzie gdzieś trzeba będzie pojechać na wakacje, najlepiej bez dzieci, więc mamy też porady, jak uniknąć nieporozumień i zorganizować dziadkom wakacje z wnukami. Do tego terapia wspierana psychodelikami i poruszająca historia pani Gabrieli, która adoptowała dziewczynkę z Senegalu.



Gwiazdy „Pytania na Śniadanie”



RELAKS I FORMATOWANIE WIDZA

Śniadaniówki to specyficzna pozycja w programach stacji telewizyjnych. Niewymagający uwagi wypełniacz czasu między toaletą, porannymi obowiązkami a tytułowym śniadaniem i poranną kawą. To silnie kształtujące poczucie estetyki „okno na świat” i zwierciadło rzeczywistości, w którym jest on pokazywany widzowi w setkach zbliżeń i obrazków. Socjolog Ernest van den Haag uważał, że media, jedynie pozornie kompensując ludzkie przeżycia, ostatecznie prowadzą do okaleczenia zdolności przeżywania samego życia. Telewizja to więc nadal mocno inwazyjny element życia. Jej audytorium tworzą bierni konsumenci, których uczestnictwo w tego typu kulturze ogranicza się do zakupu jej wytworów, a kultura masowa produkowana na potrzeby masowego rynku jest pewną wypadkową masowych gustów z jednej strony, a interesów właścicieli show-biznesu z drugiej.

Już sposób przekazu określa sposób postrzegania świata, już sama formuła staje się przekazem, co tłumaczy ogromny wpływ, jaki na współczesne społeczeństwo miały i wciąż mają programy lifestyleowe. Propozycje dotyczące np. gotowania, urządzania mieszkania czy ogrodu i samych wyborów życiowych pokazują drogę do wprowadzania tych zmian. Odbiorcy

są do tego przekonywani tym skuteczniej, że od pewnego momentu ich świat istnieje dzięki obrazowi odbitemu w telewizji, a ten rzeczywisty, proza życia, staje się czymś przypadkowym, a z czasem niepożądanym.

To telewizja upowszechniła konsumpcyjny styl życia. Medioznawcy twierdzą nawet, że dziś koncerty medialne nie sprzedają już ludziom informacji, lecz ludzi reklamodawcom. Telewizje oferują więc wykreowany przez macherów od marketingu styl życia i umiejętność poruszania się w świecie dostarczanych widzowi przyjemności, wytwarzają w nich nowe potrzeby, które domagają się zaspokojenia. Następuje inwazja nowości, które wdzierają się w nasze codzienne życie.

POLSAT STANIE DO RYWALIZACJI?

„Pytanie na Śniadanie” pojawiło się na antenie 22 lata temu. Trzy lata później swój konkurencyjny produkt wypuściła TVN. Choć w Polsat News w godzinach porannych można oglądać „Nowy dzień”, będący czymś w rodzaju śniadaniowego dodatku do porannych serwi-

sów, to do dziś ta stacja nie dorobiła się tego rodzaju pozycji w ofercie. W końcu pojawiły się jednak informacje, że Polsat prowadzi prace nad nowym programem śniadaniowym, który miałby trafić na antenę jesienią br. A to oznacza gotowość do stanięcia w szranki ostrej rywalizacji o widza i udziały w rynku. Początkowo planowana jest emisja trzy razy w tygodniu: w piątki, soboty i niedziele. Wśród prowadzących wymienia się m.in. wspomnianą już parę Cichopek i Kurzajewski, a także Krzysztofa Ibisza i Paulinę Sykut-Jeżyńską oraz Agnieszkę Popielewicz i Macieja Rocka.

Dlaczego postanowiono zawalczyć o widza na polu, zdawałoby się, już od lat zagospodarowanym? Być może ktoś uznał, że utrata widzów przez program nadawany w TVP 2 i kiepska atmosfera, która towarzyszy mu od miesięcy, jest dobrą sposobnością do wzięcia szturmem jego dotychczasowej pozycji, którą „Pytanie na Śniadanie” ewidentnie utraciło.



Amerykańska lewica nagle odkryta, iż obecny prezydent ma nikłe szanse na dokończenie następnej czteroletniej kadencji. Wybór Bidena w 2024 r. byłby więc de facto wyborem skrajnie lewicowej feministki, wiceprezydent Kamali Harris, niepopularnej w Ameryce i uważanej za nienadającą się do sprawowania prezydentury

Uwiad starczy, czyli sedno amerykańskich wyborów



JAN ROKITA

Przelomowy moment amerykańskiej kampanii prezydenckiej nastąpił wcześniej, niżli ktokolwiek mógł się spodziewać – przeszło cztery miesiące przed listopadowym terminem głosowania. Okazała się nim

zorganizowana i transmitowana przez telewizję CNN w czwartek 27 czerwca półtoragodzinna debata pomiędzy Joe Bidenem a Donaldem Trumpem. A ściślej mówiąc, nie tyle nawet sama debata, ile raczej nagła i niespodziewana

wewnętrzna destrukcja obozu amerykańskiej lewicy, będąca skutkiem jej przebiegu.

Co prawda w toku samej debaty został dotkliwie obnażony fakt, iż spośród dwóch starców bijących się ze sobą o przywództwo nad światem to właśnie 81-letni Biden jest znacznie silniej dotknięty oznakami uwiąznięcia starczego. Ale niewykluczone, że w ciągu czterech następnych miesięcy kampanii zdolni spin doktorzy Białego Domu (czyli profesjonaliści od mieszania ludziom w głowach) byłiby w stanie choć trochę zatrzeć ów fatalny defekt kandydata. Tak jak zresztą próbowali to robić zaraz po zakończeniu debaty, tłumacząc, iż każdemu w końcu może się zdarzyć bardzo zły dzień.

„CIEN PRZYWÓDCY”

Jednak owo bezceremonialne obnażenie uwiąznięcia starczego Bidena wywołało lawinę wzajemnych kłótni i pretensji na zapleczu lewicowego kandydata. I co najważniejsze – sprowokowało samobójczą dla całego obozu demokratów, a teraz właśnie rosnącą falę wezwań kierowanych do pretendenta z jego własnego zaplecza, aby się poddał i wycofał swoją kandydaturę. Z jednej strony ubrane są one w czolobitne pochwały pod adresem Bidena, który jest opisywany jako wielki mąż stanu, z drugiej zaś w dramatycznie brzmiące przestrogi przed katastrofą, jaką Ameryce i światu miałyby zwiastować zwycięstwo Trumpa.

Każdy jednak rozumie, że owe pochwały są z gruntu fałszywe i służą tylko wyperswadowaniu Bidenowi dalszego ubiegania się o prezydenturę, zaś przestrogi są obarczone irracjonalną przesadą mającą podsycać polityczne namietności Amerykanów. Rzecz jednak w tym, że wszystkie te nawoływania do jego ustąpienia (przynajmniej do czasu, gdy piszę te słowa) wywołują jedynie zwiększoną zawziętość samego kandydata, jego rodzinnego klanu oraz najbliższych ludzi, którzy nie zamierzają tak łatwo pogodzić się z utratą swoich wpływów i pozycji. Trump zaś sarkastycznie komentuje, iż nie wierzy, aby jego konkurent zrezygnował, niezależnie od tego, w jakiej będzie kondycji fizycznej i umysłowej.

Natychmiast po debacie sygnał do kampanii na rzecz wycofania Bidena dała tzw. rada redakcyjna „The New York Times”, czyli ciało od lat uważane za reprezentatywne dla lewicowo nastawionych dziennikarzy, zwłaszcza z kręgu diaspory żydowskiej. Owa rada nie od dziś zajmuje się uprawianiem wielkiej polityki z wykorzystaniem czołówki tej gazety, wpływowej w lewicowych elitach USA.

Cztery lata temu, w wyborach 2020 r., poparła Bidena dopiero wtedy, gdy okazał się on zdecydowanym zwycięzcą demokratycznych prawyborów, wcześniej bowiem „The New York Times” agitował na rzecz prezydentury skrajnie lewicowej senator z Massachusetts – Elisabeth Warren. W środowisku Białego Domu dobrze pamięta się tamtą historię, nic więc dziwnego, że teraz jeden z aktywistów kampanii Bidena na wieść o akcji gazety z wściekłością mówi telewizji CNN: „To g...o podpała mnie niczym paliwo lotnicze w żyłach. Lubię to!”.

W piątek, czyli na drugi dzień po debacie, na czołwce nowojorskiej gazety ukazał się duży nagłówek: „Jeśli prezydent Biden ma teraz przysłużyć się swemu krajowi, to musi się wycofać z wyścigu prezydenckiego”.

Dalej było jeszcze ostrzej. Stwierdzano bowiem, iż prezydent jest już „cieniem przywódcy”, a w czasie debaty „polykał słowa, nie umiał kończyć zdań i patrzył tępo w przestrzeń”. W takim kontekście niczym ironia wyglądało zdanie, świadomie sformułowane w czasie przeszłym, iż „Biden był godnym podziwu prezydentem”. Cały apel skierowany do prezydenta kończył się zaś atakiem na jego współpracowników: „Powiernicy i doradcy, którzy zachęcili prezydenta do kandydowania [...], powinni zdać sobie sprawę ze szkód, które wyrządzili reputacji Joe Bidena oraz nikłego prawdopodobieństwa, iż szkody te dadzą się jeszcze w ogóle naprawić”.

ŻĄDANIA DYMISJI, WĄHANIE SPONSORÓW

Ten swoisty manifest poczynił prawdziwe spustoszenia na zapleczu prezydenta, zapewne dużo większe niż

sam przebieg debaty. Uderzył bowiem przede wszystkim w zdolność pozyskiwania funduszy na kampanię Bidena, zwłaszcza w kluczowych dla jego kampanii kręgach żydowskiej plutokracji.

W tej materii sprawę pogorszył jeszcze fakt, iż na pierwszym publicznym wiecu po debacie, zorganizowanym w nadmorskim kurorcie Hamptons koło Nowego Jorku i mającym służyć zbiórce pieniędzy, Biden nie zabrał głosu, jak się to normalnie w takich razach czyni „spontanicznie”, ale odczytał przygotowany dla niego tekst z promptera. Wywołało to lawinę domysłów, iż prezydent nie jest już zdolny do samodzielnego formułowania myśli, a w każdym razie – że co najmniej jego sztabowcy tak bardzo boją się o jego wystąpienia, iż nie pozwalają mu mówić. Co więcej, na tym wiecu w prawdziwe uniesienie wpadła żona prezydenta Jill, opowiadając, że to „matka Joe miała rację, uważając, iż nie ma takiego krzyża, którego nie byłby on gotów wziąć na ramiona dla naszego kraju i naszej demokracji”. Co prawda amerykańska polityka lubi kicz i patos, ale tym razem okoliczności sprawiły, że wiec mający być zbiórką pieniędzy stał się trochę śmieszny. Darczyńcy nabrali więc wątpliwości.

Oświadczenie rady redakcyjnej „The New York Times” miało jeszcze drugi zabójczy dla Bidena skutek – ośmieliło tych spośród demokratów, którym pewnie zbrakłoby odwagi, aby jako pierwsi publicznie wystąpili przeciw własnemu kandydatowi.

Zaraz potem poseł Mike Quigley z Chicago powiedział w radiu: „Musimy być ze sobą szczerzy, ta debata to nie była tylko jedna okropna noc”. Uderzył tym samym w cały wysiłek spin doktorów Białego Domu, iżby przekonać Amerykanów, że owa debata to po prostu pechowy incydent, który się nie powtórzy. Lloyd Doggett z Teksasu, inny zyskujący ostatnio popularność lewicowy poseł, wprost zażądał dymisji Bidena: „Mam nadzieję, że podejmie trudną i bolesną decyzję o ustąpieniu i z całym należnym mu szacunkiem wzywam go do tego”. A dalej demokrata dodawał, iż prezydent nie jest już w stanie dokonać niczego innego,

jak „dostarczyć nas wszystkich Trumpowi w 2024 r.”. Nawet słynna niegdyś liderka lewicy senator Nancy Pelosi, sama trzy lata starsza od Bidena, choć wprost nie wezwwała go do ustąpienia, to uznała za konieczne podzielić się z Amerykanami opinią, iż „zastanawianie się nad stanem prezydenta jest całkiem uzasadnione”.

W poniedziałek 1 lipca podczas konferencji prasowej w Białym Domu sam prezydent, zapytany przez dziennikarzy o możliwość wycofania się, odwrócił się tylko na pięcie i wyszedł z sali. Miało to miejsce po weekendzie, który spędził z żoną, synem i wnukami w rezydencji Camp David, gdzie słynna fotografka Annie Leibovitz zaaranżowała na potrzeby kampanii rodzinną sesję zdjęciową Bidenów. Widać było, że to nie tylko żona prezydenta, lecz także cała jego rodzina umocniła go w oporze wobec narastających żądań ustąpienia.

Ale mleko już się rozlało. Amerykańskie media przestały się emocjonować tym, czy istotnie Trump będzie prowadzić końcówkę kampanii z więzienia. Mają teraz nowy, bardziej pasjonujący temat – jak długo i jak skutecznie Biden będzie się opierał żądaniom ustąpienia oraz co może z tego wynikać dla wyniku wyborów.

Wygląda na to, że amerykańska opinia publiczna jest tu dość jednoznaczna. Według sondażu opublikowanego przez CNN (podkreślmy – telewizję w pełni oddaną walce Bidena przeciw Trumpowi) aż 75 proc. Amerykanów uważa, że ktoś inny niż Biden winien reprezentować Partię Demokratyczną w listopadowych wyborach.

Po akcji przeprowadzonej przez „The New York Times” inne media amerykańskie licytują się w pomysłach na obrazy i tytuły mające unaocznic bezradność sytuacji prezydenta i rozpacz w jego partii. Okładka czytanego na całym świecie tygodnika „Time” należy do najbardziej wyrazistych. Na jednolicie czerwonym tle mała postać Bidena wychodzi z zewnątrz z ram okładki, a nad tą postacią wypisane tylko jedno słowo: „Panika”.

DEMOKRACJA NIE DLA STARCÓW

Paradoks zbliżających się amerykańskich wyborów tkwi w tym, że choć ich polityczna stawka jest wysoka, a różnice ideowe dzielące obu kandydatów – absolutnie zasadnicze, to sednem kampanii staje się kwestia biologiczna: starość przywódców. Starcami są przecież obaj kandydaci. Tyle tylko, że na tle stetryczalego Bidena jego konkurent wygląda na witalnego i myślącego logicznie.

Tymczasem wielki spór o fundamenty współczesnej kultury, polityki i tożsamości dzielący amerykańskich republikanów i demokratów dzieli również cały wolny świat. A to, kto wygra

Według sondażu CNN
(telewizję w pełni oddaną walce
Bidena przeciw Trumpowi)
aż 75 proc. Amerykanów
uważa, że ktoś inny niż Biden
winien reprezentować Partię
Demokratyczną w wyborach

amerykańską prezydenturę, nie pozostanie bez wpływu na dalsze losy owego sporu, także daleko poza Ameryką. Dla uzmysłowienia sobie tej oczywistości wystarczy przywołać naczelną ideę kampanii republikanów, tak jak niedawno wyraził ją Trump na spotkaniu środowisk chrześcijańskich w Indianapolis. Powiedział wtedy: „Wolność wyznania, wolność słowa, niewinne życie oraz dziedzictwo, które uczyniło Amerykę najwspanialszym narodem, muszą być broniące”.

Ten ideowy program republikanów zyskał teraz nieoczekiwaną polityczną premię. Ale biorąc się nie z jakiegoś napięcia pomiędzy ideami czy nawet zwykłej walki politycznej, lecz z tego, że na amerykańskiej lewicy nagle odkryto, iż obecny prezydent ma nikłe szanse na

dokończenie następnej czteroletniej kadencji. Nawet gdyby jakimś cudem wygrał listopadowe wybory, których z tego właśnie powodu i tak już nie potrafi wygrać. Że zatem hipotetyczny i coraz mniej realny wybór Bidena w 2024 r. byłby *de facto* wyborem skrajnie lewicowej feministki wiceprezydent Kamali Harris, niepopularnej w Ameryce i uważanej za nienadającą się do sprawowania prezydentury. A to właśnie ona musiałaby przejąć rządy w Białym Domu, kiedy któregoś dnia Biden definitywnie straci zdolność do ich sprawowania ze względu na postępujący wiek.

Ta cała sytuacja unaocznia, chyba po raz pierwszy z taką wyrazistością w świecie demokratycznym, ogrom politycznego ryzyka, jakie niosą polityczne ambicje starców. Współczesna Ameryka stanowi skrajny przypadek tej ciężkiej choroby, ale Polska wcale nie jest tak od niej odległa. Stetryczalnych starców w roli swoistych „mumii”, od czasu do czasu tylko pokazywanych publicznie, mogą utrzymywać na szczytach władzy ustroje autorytarne albo totalitaryzmy. Tak jak swego czasu na północy Breżniew mógł przez lata grać w Sowietach rolę mumii stabilizującej ówczesny układ władzy na szczytach imperium.

W demokracji, wymagającej zwłaszcza współcześnie od polityków nieustannej ruchliwości, żywości słowa i świetnej kondycji fizycznej, ambicje polityczne starców są nie tylko szkodliwe, lecz także muszą budzić politowanie.

Nieprzypadkowo zmarły parę lat temu świetny pisarz, tłumacz i myśliciel prof. Ryszard Przybylski napisał w swoim esej o starości takie oto słowa:

„Najbardziej zdumiewający są starcy ogarnięci namiętnościami politycznymi. Przypominają gruzlików przy porannym wspólnym stole w sanatorium. Nocą nikt nam nie ubył. Co to za domysły. Brzęczą sztucce. Pachnie kawa. Szumi paplanina. Szołomią się – powiedziałby Chopin. Jak potrafią”.

Kiedyś czytając te zdania, nie sądziłem, iż staną się one sarkastyczną metaforą amerykańskiej kampanii prezydenckiej.

Nowe szaty Bidena

To, co się wydarzyło 27 czerwca w Atlancie, wstrząsnęło amerykańską i światową opinią publiczną. Niektóre środowiska wpadły w panikę, niektórzy się popłakali, jak zrobił to na wizji Van Jones, komentator CNN. Chodzi o katastrofalny, obnażający umysłowe słabości występ Joe Bidena w debacie prezydenckiej, który być może pogrzebał jego szanse na ponowną prezydenturę.

SKĄD TO ZASKOCZENIE?

Baśniowy świat demokratów i wszelakich sił postępu zawalił się. Od czterech lat Biden paradował na golasa przed światową publicznością niczym imperator z baśni Hansa Christiana Andersena „Nowe szaty króla”. Od czterech lat władcy owego świata, jasnie oświecone elity i usługowe media wmawiały, że nie tylko nie jest nagi, lecz także przywdziewa najpiękniejsze stroje tkane z demokracji, umiłowania wolności, tolerancji i czego tam jeszcze. To cesarz najwspanialszy, przywódca wolnych narodów, a tu nagle scena spektaklu zawaliła się.

Hola, hola, jaki szok, jakie zaskoczenie?! Wszyscy normalni widzowie, nie fanatycy demokratów i Bidena, widzieli, że prezydent od lat pogrąża się w odmiennych stanach umysłu. Że powinien być skierowany na emeryturę i w bujać się fotelu. Nawet autobusu nie powierza się zastygającemu dziadkowi, Biden zaś dostał niemal cały świat. Szok i zaskoczenie mogą dotyczyć tylko tego, że tak widowiskowo doszło do samo-obnażenia. Łzy się leją, ale jak u dzieci przylapanych na psocie, jak u przestępców, po których przychodzi policja. Runęła scena, na której od lat wystawiano spektakl o szlachetnym, mądrym patriarsze, uosabiającym cnoty służenia ojczyźnie niczym senatorowie z czasów wczesnej republiki rzymskiej.

Spektakl nie był spontaniczną kreacją. Wszystko było rozpisane, a konferansjerzy – dziennikarze, komentatorzy, politycy – nawet nie mieli własnych kwestii, tylko we wspólnym zawodzeniu powtarzali te same. Jak choćby powielany ostatnio w telewizorze setki razy idiom, że „Biden jest sharp as tack”, czyli ostry jak pinezka – po naszymu byłoby, że jak brzytwa. Jakież to przypadek sprawił, że nagle wszyscy uży-

*Nie ma wątpliwości,
że mieliśmy do czynienia
z wielką operacją
demokratów i lewicowych
mediów mającą ukryć
prawdę o tym, iż przywódca
najpotężniejszego
mocarstwa świata, ktoś,
kto w zasięgu ręki ma guzik
odpalający broń atomową,
jest starcem, który stracił
nie tylko kontrolę nad
otoczeniem, lecz także nad
własnym ciałem*



DARIUSZ MATUSZAK

wają tego samego zwrotu i wychwalają pod niebiosa zdolności kognitywne prezydenta?

Nie ma wątpliwości, że mieliśmy do czynienia z wielką operacją demokratów i mediów mającą ukryć prawdę o tym, iż przywódca najpotężniejszego mocarstwa świata, ktoś, kto w zasięgu ręki ma guzik odpalający broń atomową, jest pogrążonym w mrokach umysłu starcem, który stracił nie tylko kontrolę nad otoczeniem, lecz także nad własnym ciałem. Nigdy dość przypominania o wielkim kłamstwie, błędzie zdegenerowanych waszyngtońskich i światowych elit, bo dziś Ukraina płaci za to krwią.

Wierzę w to, co 59 proc. Amerykanów, którzy w sondażu Uniwersytetu Harvarda stwierdzili, że Putin ośmielił się wszcząć wojnę, bo prezydentem jest Biden. Jedna sprawa to katastrofalne błędy polityczne amerykańskiego prezydenta, jak zniesienie nałożonych przez Trumpa sankcji na Nord Stream 2 czy wysłanie koców i apteczek Ukrainie w 2014 r. w reakcji na pierwszą rosyjską inwazję. Pewnie jeszcze bardziej decydujące były obrazki, które oglądał Putin: bezradnego, bełkoczącego starca, który zastyga jak figura woskowa. Nie uwierzył też w bajki opowiadane przez siostrę ambasadora Marka Brzezinskiego Mikę i jej męża

Joe Scarborougha, którzy w programie MSNBC „Morning Joe” dzień w dzień skwapliwie zapewniali amerykańskie gospodynie domowe, że Biden ma umysł ostry jak brzytwa.

Po debacie z Trumpem zaczęły się jednak sypać dowody na to, że otoczenie wiedziało, w jakim stanie jest prezydent. Wiceprezydent Kamala Harris, zatwardziała karierowiczka, co to umierającemu wyciągnęłaby spod głowy poduszkę, byle prędzej się dorwać do spadku, jeszcze w lutym w rozmowie z „The Wall Street Journal” oznajmiła, że jak ojczyzna ją wezwie, to jest gotowa zastąpić Bidena. To kolejna kukielka w spektaklu. Pozbawiona cnót intelektualnych, wepchnięta na urząd, bo z kalkulacji wynikało, że fajnie mieć kobietę, i to nie białą, teraz jest kłopotem dla demokratów i frakcji Obamów. Nikt jej nie chce. Podmianka Bidena na nią tylko odbierze głosów. To już nasza kochana Małgorzata Kidawa-Błońska byłaby lepsza jako prezydent USA niż ona.

KARAWANEM DO BIAŁEGO DOMU

Już po debacie Carl Bernstein, jeden z najsłynniejszych dziennikarzy Ameryki, który z Bobem Woodwardem opisał aferę Watergate, mówił w CNN, że wiadomo, iż w ciągu półtora roku doszło do 20 sytuacji, w których Biden stracił kontakt z rzeczywistością. „Zachowywał się jak w tym spektaklu horrorze, który oglądaliśmy” – powiedział, nawiązując do nieszczęsnej dla demokratów, a błogosławionej dla demokracji debaty z Trumpem. Bernstein, choć wielbi Bidena, nie przebiegał w słowach i mówił, że na ostatnim spotkaniu demokratów ze sponsorami prezydent zastygł, jakby miał stężenie pośmiertne. To nic w porównaniu z komentarzami, które pojawiły się w prawicowej stacji Fox News. Tam Greg Gutfeld mówił, że Biden pojechał z debaty do Białego Domu swą pancerną limuzyną karawanem, a demokraci zastanawiają się, czy nie wykończy z grobu zmarłej w ub.r. w wieku 90 lat senator Dianne Feinstein i nie wystawić jej w wyścigu prezydenckim.

W Polsce bardzo delikatnie obchodzimy się z postępowymi przywódcami świata. Czy to przejaw naszej kurtuazji czy kompleksów? Raczej tego ostatniego, bo dla nieprawidłowych przywódców, jak Trump, nie ma w naszym kraju litości. Więc nie ośmielilibyśmy się ujawnić, że Biden głośno puszczał wiatry, tak jak to zrobiła prasa brytyjska, opisując jego pobyt na szczycie klimatycznym w Glasgow. Po co te drastyczne szczegóły gastryczne? No cóż, ja nie mam litości dla Bidena, który wszedł do Senatu 52 lata temu, kiedy u nas ledwie umościł się Gierek, a Breżniew miał umysł ostry jak pinezka. Jako człowiek nieodwracalnie dojrzały dobrze pamiętałem epokę starców w Związku Radzieckim i jak po śmierci Breżniewa, który w swych ostatnich dniach z pewnością dogadałby się z Bidenem, jedna po drugiej pozbawione świadomości kukły – Andropow i Czernienko – na kremlowskim tronie zasiadały, a świat zastanawiał się, co im tam w mózgu wylęgnać się może. 20 lat wcześniej cierpiący na dwubiegunowość Chruszczow podczas kryzysu kubańskiego w napadzie wzmożonej aktywności oznajmił, że „wpuści jeża w gacie Wujka Sama” i szykował się do odpalenia ładunków nuklearnych.

SHOW MUST GO ON

Oczywiście w USA są mechanizmy pozwalające kontrolować sytuację, gdy ukochany przywódca coś tam sobie umyśli. To tylko częściowe uspokojenie, bo w istocie opowieści o stanie Bidena są refleksjami na temat amerykańskiej demokracji. Rozważaniami, do jakich łgarstw zdolni są ludzie, którzy przez lata tak bezwstydnie kłamali na jego temat. To opowieść o nikczemności tych, którzy dla władzy nie wahają się ryzykować bezpieczeństwem świata i do konfrontacji z bandytami tego świata wystawiają zdemenciałego starca, a teraz, pięć miesięcy przed wyborami może podmieniać go jak Kidawę-Błońską i odkryją jakiegoś superkandydata, męża stanu, który poprowadzi ludzkość ku szczęściu. Kraśko go pięknie powita w telewizji, „GW” opublikuje peany, będzie zachwyty jak nad Hołownią.

Nie wiemy, czy spektakl z Bidenem wciąż będzie wystawiany. Jego żona Jill bardzo chce, bo fajnie być pierwszą damą, a Harris jest wściekła, że się jej nie wymienia w gronie potencjalnych nominatów, więc woli jeszcze cztery lata puszyć się jako wiceprezydent, niż wyprowadzać z rezydencji Number One Observatory Circle i biur w zachodnim skrzydle Białego Domu. Może demokraci ujawnią swego Trzaskowskiego – już zaczął być lansowany gubernator Kalifornii Gavin Newsom. Nie szkodzi, że doprowadził ten najbogatszy stan USA do katastrofy, że uosabia to co najgłupsze u jaśnie oświeconych postępowych ludzi wyższego gatunku. Kto w dzieciństwie był paniczem, ten nadaje się na pana. Ważne, że jest przystojny i wymowny.

Na razie prezydent odgraża się, że nie zrezygnuje, ale przecież nie zna dnia ani godziny. W każdej chwili może popaść w taki stan, że żadna siła nie utrzyma go w Białym Domu. Cokolwiek nie powie i nie zrobi jego otoczenie, będzie to kłamstwem i oszustwem. Możemy się tylko zastanawiać, jaki scenariusz mistyfikacji byłby lepszy. Czy z Bidenem, czy z kimś innym, takim, by np. Putin nie rwał się do kolejnej wojny. Jedno jest pewne – nie można w nic wierzyć tym władcom i właścicielom świata, tylko w swój rozum i własne ideały. Ja wierzę chłopcu z baśni „Nowe szaty króla”, który zakrzyknął: „Patrzcie, przecież on jest nagi”. I jego wołającemu ojcu: „Boże, słuchajcie niewiniątka”. A wtedy tłum powtórzył: „On jest nagi”. Tak, proszę państwa, oni są nadzy.



Właściwy człowiek na trudne czasy?

Jesienią br. Mark Rutte obejmie funkcję nowego sekretarza generalnego NATO, najsilniejszego sojuszu wojskowego świata, który staje przed wieloma wyzwaniami. Są one tak duże, że istnieje realna obawa, iż Sojusz Północnoatlantycki nie przetrwa tej próby. Kwestia przywództwa politycznego i zdolności do budowania porozumienia może urosnąć w najbliższym czasie do roli najważniejszego problemu NATO



MAREK BUDZISZ

Czy Mark Rutte jest dobrą opcją? Jak się wydaje, NATO-wska kariera człowieka, który rządził Holandią przez 14 lat, zaczęła się w lipcu 2018 r. w Brukseli podczas szczytu Sojuszu. Donald Trump, sprawujący wówczas od 18 miesięcy urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, zarzucił europejskim sojusznikom, że ci realizują politykę pasażera na gapię, nie wydając 2 proc. PKB na swoje bezpieczeństwo. Amerykański przywódca miał wówczas powiedzieć, jak cytuje jego słowa dziennik „The Financial Times”, że „wiele krajów nie płaci tyle, ile powinno. I szczerze mówiąc, wiele krajów jest nam winne ogromną sumę pieniędzy już od wielu lat. Według mnie są przestępcami, ponieważ Stany Zjednoczone musiały za nich płacić”.

Te twarde słowa połączone z deklaracjami, że Ameryka nie będzie broniła tych, którzy jak Niemcy nie tylko nie łożą wystarczająco dużo na bezpieczeństwo, lecz także uzależniając się energetycznie od Rosji, powodują, iż strategiczny prze-

ciwnik zachodniego świata bogaci się, wywołały szok i konsternację przywódców. Zmieniono wówczas plan szczytu, wyproszono z sali obrad wszystkich doradców oraz gości i rozpoczęła się „męska rozmowa” na temat przyszłości Sojuszu. Europejczycy członkowie NATO zgodzili się wówczas, że w ich imieniu wystąpi właśnie Rutte, który zaproponował taktykę negocjacyjną. Premier Holandii, odpowiadając na słowa Trumpa, deklarującego, że „na 100 proc. jest za NATO, ale nie na obecnych warunkach”, podziękował mu za to, że wezwał państwa członkowskie do aktywności, uznał jego osobistą rolę jako polityka, który już doprowadził do tego, że niektórzy członkowie Sojuszu zwiększyli wydatki i zapowiedział, iż w przyszłości Europa będzie wydawać większe środki na bezpieczeństwo. W ten sposób Rutte, stosując mieszankę pochlebstw i obietnic, uratował, jak się uważa, szczyt, a jednocześnie nawiązał osobiste relacje z Trumpem, który wielokrotnie mówił potem „lubię tego gościa”.

KONCYLIACYJNY I OSZCZĘDNY

Ta zdolność budowania kompromisów jest jednym z głównych atutów Marka Ruttego, człowieka, który w bardzo podzielonej politycznie Holandii zbudował cztery koalicje rządzące i był w stanie przez 14 lat zasiadać w fotelu premiera. Caroline de Gruyter, dziennikarka „Foreign Policy”, napisała, że o charakterze nowego sekretarza generalnego NATO wiele mówi to, jak planował swoją ścieżkę objęcia tej funkcji.

Nie będąc faworytem, bo wiele mówiło się o tym, że tym razem Sojuszem powinna pokierować kobieta (prezydent USA Joe Biden sugerował nawet, że powinna to być Ursula von der Leyen), Rutte już w styczniu 2023 r. zaczął przygotowania. Zmienił politykę swego rządu, który stał się znacznie twardszy wobec Rosji niż w przeszłości i zwiększył zaangażowanie Holandii w dostawy sprzętu wojskowego dla Ukrainy, a nawet doprowadził do upadku koalicji rządowej, aby przez kolejne miesiące mieć wolną rękę w prowadzeniu trudnej rozgrywki.

Ten uporządkowany sposób działania Ruttego może być jego atutem, ale inne cechy jego charakteru już niekoniecznie. Jest on znany z oszczędności. Nie tylko żyje w tym samym mieszkaniu, w którym nie zmieniał mebli od 30 lat, lecz także na zakończenie wizyt w obcych państwach miał zwyczaj pro-



sić ambasadorów Holandii, aby „następnym razem wynajmowali mu mniej prestiżowy hotel”.

Jeszcze przed objęciem funkcji szefa NATO doszło do starcia między Ruttem a grupą polityków państw UE ze wschodniej flanki. Jak relacjonowało Politico, poszło o to, że holenderski premier wspólnie z kanclerzem Niemiec zablokowali decyzję Brukseli o utworzeniu wspólnego funduszu, z którego środki miałyby zostać przeznaczone na wydatki zbrojeniowe, przede wszystkim na potrzeby państw graniczących z Rosją i Białorusią. Premier Tusk miał zwrócić uwagę Ruttemu, że „jako przyszły sekretarz generalny NATO” powinien być bardziej zainteresowany wzrostem wydatków na bezpieczeństwo, nawet jeśli część z nich miałyby ponosić UE, a nie blokować propozycje w tym zakresie. Po wysłuchaniu wielu tego rodzaju głosów na twarz Holendra „miał się pojawić rumieniec”, ale nie zmienia to faktu, że kwestie wzrostu wydatków wojskowych europejskich członków NATO będą jednym z najważniejszych wyzwań, z którymi będzie musiał zmierzyć się sekretarz generalny.

KATALOG ZADAŃ

Nie będzie to łatwe. Debata na temat poziomu wydatków państw członkowskich NATO na zbrojenia dopiero się zaczyna. Jak zauważają Valbona Zeneli i Philippe Dickinson z Atlantic Council, dyskusja na temat tego, czy członkowie Sojuszu realizują swe zobowiązania w zakresie wydawania 2 proc. PKB na bezpieczeństwo, ma „charakter redukcyjny. Koncentrujemy uwagę na danych wejściowych, a nie na wymaganiach. Nie przekłada się to na pełne zrozumienie tego, jakie są rzeczywiste zdolności wojskowe sojuszników ani w jaki sposób są oni w stanie wykorzystać te zdolności dla korzyści NATO i egzekwowania porządku międzynarodowego”.

Niezależnie od tego, kto wygra listopadowe wybory w USA, w nadchodzących latach Sojusz będzie się koncentrował na zdolnościach wojskowych państw członkowskich, co oznacza, że nie da się utrzymać sytuacji, w której Stany Zjednoczone wydają, według danych SIPRI, 916 mld dol. na bezpieczeństwo, a wszyscy pozostali członkowie NATO razem wzięci 380 mld. Innymi słowy, Sojusz czeka trudna dyskusja na temat poziomu wydatków i odbudowy zdolności w wielu dziedzinach.

Jak napisał Can Kasapoğlu, ekspert wojskowy Hudson Institute, NATO „nie jest przygotowane do wojny” z Rosją i obecnie mamy do czynienia z niebezpiecznym trendem, którego istotą jest narastanie asymetrii sił na niekorzyść Sojuszu. Chodzi zarówno o zdolności sił zbrojnych, przygotowanie systemów dowodzenia, jak i sektor przemysłowy, który Moskale już przestawili na potrzeby produkcji wojennej, a państwa europejskie nadal dyskutują na ten temat.

Osobną kwestią jest sprawa relacji NATO–Ukraina, bo dziś trudno mówić, aby w Sojuszu panowała zgoda w tej

kwestii. Kijów nie ma co liczyć na członkostwo ani nawet na takie doprecyzowanie warunków, aby po ich spełnieniu perspektywa wejścia do Sojuszu miała charakter „automatyczny”. Nie chcą tego Amerykanie, którzy mówią jedynie o zbudowaniu „mostu do NATO” dla Ukrainy, ani Niemcy, konsekwentnie blokujący jakiegokolwiek odważniejsze decyzje. Carl Bildt, były premier Szwecji, może pisać, że wygrana Rosji w wojnie z Ukrainą byłaby „katastrofą dla Ukraińców”, miałyby niezwykle poważne następstwa „dla bezpieczeństwa Europy i byłaby głęboko destabilizująca dla reszty świata”, ale nie zmienia to faktu, że Sojusz nie ma dziś wiarygodnej strategii pokonania Rosji i uniknięcia eskalacji konfliktu. To też powinno być jedno z zadań Marka Ruttego.

Kolejne to ułożenie relacji z nową amerykańską administracją. Powrót Trumpa po katastrofalnej dla Bidena debacie telewizyjnej jest dziś bardziej prawdopodobny niż kiedykolwiek, a to oznacza, że trzeba na poważnie brać deklaracje jego doradców w sprawie nowego modelu bezpieczeństwa. Niezależnie od tego, kogo słuchamy, jeden komunikat strategiczny wysuwa się na pierwszy plan – Stany Zjednoczone będą się koncentrować na rywalizacji z Chinami, a to może oznaczać zmniejszenie zaangażowania wojskowego Ameryki

w Europie. Tylko że obecnie Amerykanie, jak wynika z analiz Johna Deni z US War College, wnoszą ponad 25 proc. potencjału (jeśli brać pod uwagę liczbę żołnierzy) do sił, które NATO buduje na potrzeby odstraszenia i ewentualnej wojny z Rosją.

Problemem jest też to, że, jak ujawnił dziennik „The Financial Times” powołujący się na poufne źródła w Kwaterze Głównej NATO, dziś europejscy członkowie Sojuszu mający na papierze 1,9 mln żołnierzy realnie są w stanie szybko zmobilizować nie więcej niż 300-tys. armię, co oznacza, iż ewentualnej wyrwy w zdolnościach wojskowych będącej efektem redukcji zaangażowania w Europie przez Amerykanów nie uda się łatwo uzupełnić. Z pewnością niezbędne będą trudne decyzje. Chorwacja przywraca powszechną służbę wojskową, Dania obejmuje nią kobiety, a gen. Carsten Breuer, generalny inspektor Bundeswehry, powiedział mediom, że aby wypełnić przyjęte zobowiązania, niemieckiej armii brakuje obecnie 100 tys. żołnierzy.

CZY ON TO MA?

Mark Rutte obejmie funkcję sekretarza generalnego NATO w najtrudniejszym od 30 lat momencie dla Sojuszu. Będzie musiał doprowadzić do jego gruntownej zmiany, skokowego zwiększenie możliwości wojskowych jego europejskich członków i przygotowania na nowe wyzwania z perspektywą wojny włącznie. Jeśli mu się to uda, a dziś nikt nie może mieć co do tego pewności, może okazać się przywódcą na trudne czasy. Jednak sama zdolność budowania kompromisów nie wystarczy i potrzeba czegoś więcej. Czy Rutte to ma? 

Koniec macronizmu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Prezydent Francji Emmanuel Macron, rozpisując przyspieszone wybory parlamentarne, zagrał va banque i przegrał. Został upokorzony przez prawicę w postaci Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen, które przez lata służyło mu jako pretekst, by zostać wybranym

Amiens. Miasto rodzinne prezydenta Emmanuela Macrona i jego żony Brigitte podobnie jak inne aglomeracje w regionie Hauts-de-France jest symbolem Francji B. Prowincjonalnej, peryferyjnej i coraz bardziej sfrustrowanej. Tej, w której zrodziły się „żółte kamizelki”. Położone między Paryżem a Lille, od których dzieli je 140 km w każdą stronę, Amiens mimo dobrych chęci nie może stanąć na nogi. Niegdyś centrum przemysłu tekstylnego, dziś liczące 132 tys. mieszkańców miasto ma 20-proc. bezrobocie, prawie trzykrotnie wyższe niż średnia krajowa.

– To taka ziemia niczyja – mówi tygodnikowi „Sieci” wicenaczelną lokalnej gazety „Le Courrier Picard” Jean-Marc Chevauché. – Deindustrializacja – dodaje – to słowo słychać tu na każdym rogu.

W pierwszej turze wyborów parlamentarnych, pospiesznie rozpisanych przez Macrona po porażce jego partii w wyborach do Parlamentu Europejskiego, największe poparcie uzyskali kandydaci Nowego Frontu Ludowego (NFP) wywodzący się ze skrajnej lewicy oraz Zjednoczenia Narodowego (RN) Marine Le Pen. Prezydencka partia jak w większości kraju zajęła dopiero trzecie miejsce.

PLASTIKOWY PREZYDENT

Macron miał nadzieję, że przedterminowe wybory parlamentarne przyniosą jasność odnośnie do „situacji politycznej” w kraju. Jeśli chodzi o brak poparcia dla niego, to rzeczywiście przyniosły.

Jego „populizm elit”, który miał postawić tamę skrajnościom po lewej i prawej stronie, wyczerpał się. Ludzie wciąż widzą w nim prezydenta bogatych, sztuczny produkt marketingowy o globalistycznej manii wielkości. Nikt nie jest zadowolony. Tym bardziej że jego partia, która miała się opierać na systemie oddolnej demokracji, stała się instrumentem jego osobistej władzy. Rozpisanie przedterminowych wyborów zaskoczyło jego własnych posłów, wielu z nich już w pierwszej turze musiało się pożegnać z mandatami. Wiele nie wytrzymało, nazywa-

jąc go „egoistą”, a nawet „Neronem”.

Wyborcy, którzy tradycyjnie głosowali na prezydencką partię – kobiety, emeryci, mieszkańcy regionu paryskiego, w skrócie: klasa średnia – wolą dziś głosować na skrajności, które on chciał osłabić. I się już tego nie

Wyborcy, którzy tradycyjnie głosowali na prezydencką partię – kobiety, emeryci, mieszkańcy regionu paryskiego, w skrócie: klasa średnia – wolą dziś głosować na skrajności, które on chciał osłabić. I się już tego nie wstydzą

wstydzą. W Oradour-sur-Glane w regionie Limousin, gdzie prezydent w czasie kampanii uczcił pamięć mieszkańców wsi zamordowanych w czasie II wojny światowej przez Waffen SS, Sabrina Minguet, kandydatka Zjednoczenia Narodowego, zdobyła prawie 40 proc. głosów. Ludzie tu jak w reszcie prowincji czują się porzuceni przez prezydenta, który, gdy dochodził do władzy, zapewniał ich, że „nie lubi polityki”. Za to lubi działać. Francja miała stać się „narodem start-up”, jak przekonywał wówczas w rozmowie z pisarzem Philippem Bessonem. Depolityzacja, dezideologizacja i skuteczność – to obiecywał Francuzom. Ponad podziałami. Nie zostało z tego prawie nic.

„Macronizm jest skończony” – nie bez satysfakcji skomentował po pierwszej turze wyborów były prezydent, socjalista François Hollande.

„Ten, który czerpał wielką przyjemność z metodycznego miażdżenia tradycyjnej prawicy i lewicy, wpadł we własną pułapkę, osaczony w przestrzeni politycznej, która brutalnie zawęziła się w tej pierwszej turze” – ocenił dziennik „Le Figaro”.

PRAWDZIWI GAULIŚCI

Macronowi nie udało się rozwiązać problemów trapiących Francję: gospodarcza stagnacja, zapaść finansów publicznych, utrata znaczenia na arenie międzynarodowej, masowa imigracja, brak integracji przybyszów nawet w trzecim pokoleniu, a co za tym idzie płonące przedmieścia, czyli – jak sam je określił – „utracone terytoria” republiki. To zapewne dlatego kordon sanitarny, którym otoczono partię Le Pen, już nie działa. Skrajna prawica, dawno wygładzona, odarta z antysemityzmu i prymitywnej ksenofobii, wydaje się Francuzom mniej groźna niż dalszy upadek kraju, który wieszczą już nawet liberalni eksperci.

„Dziś prawdziwym frontem republikańskim jesteśmy my!” – mówił w wywiadzie dla „Le Figaro” Jordan Bardella, wychowanek Le Pen, europoseł Zjednoczenia Narodowego i możliwy przyszły premier. Wzmocnienie się ZN jest dla Macrona bolesną, osobistą porażką. Chęć osłabienia tzw. skrajnej prawicy była powodem – jak twierdził – jego zaangażowania w politykę. Skoro jednak problemy Francji nie zniknęły, wzmocnili się ci, którzy twierdzą, że są gotowi je rozwiązać. Według ekspertów dziś partia Le Pen jednoczy Francuzów w podobny sposób jak ruch de Gaulle’a w latach 60. XX w. Jest to jedność zrodzona z rozpacz. „Deklasacja” – to słowo pojawia się tak często w artykułach prasowych i ustach polityków, że wydaje się nieunikniona.

Po drugiej stronie politycznego spektrum czai się drugi zwycięzca tych wyborów: Francja Niepokorna (LFI) Jeana-Luca Mélenchona. Stała się ona nieodzownym elementem Nowego Frontu Ludowego, jednoczącego partie lewicowe. To ona ma najwyższe poparcie wśród tworzących



go ugrupowań. Jeszcze przed wyborami Macron i jego premier Gabriel Attal zarzekali się, że nie będą współpracować z Mélenchonem. Teraz muszą polegać na jego partii, by postawić tamę Bardelli i Le Pen. A LFI to partia otwarcie promująca masową imigrację, antysemityzm, antyparlamentaryzm oraz nienawiść do policji i przysilająca się do muzułmańskich fundamentalistów. Jej wyborcy znajdują się zarówno na imigranckich przedmieściach, jak i w bogatych dzielnicach miast, wśród młodej, kawiorowej lewicy. W jej szeregach można znaleźć polityków obserwowanych przez kontrwywiad, jak Raphaël Arnault, palkarz Antify, który wielokrotnie uczestniczył w zamieszkach w stolicy. Mélenchon, spadkobierca francuskiego trockizmu, wielokrotnie bronił reżimu w Wenezueli, a także Władimira Putina i domagał się rewolucji, obalenia dotychczasowego systemu. LFI to partia głęboko antyfrancuska.

KOALICJA ŚWIĘTOSZKÓW

Jak pisał redaktor naczelny „Le Figaro” Alexis Brezét, Francuzi muszą więc dokonać wyboru między „mniejszym złem a tym, co jest wstrętne”. Głosując przeciwko Zjednoczeniu Narodowym, mogą wzmocnić tych, którzy chcą obalić republikę, jej tradycję i spuściznę. Według Brezéta prezydent nie powinien był ich stawiać w takiej sytuacji. Mimo to druga tura stała się plebiscytem za lub przeciw partii Le Pen, i to na tle bezprecedensowej hysterii.

„Pytanie do wyborców brzmi: chcecie czy nie rządów skrajnej prawicy we Francji? Jeśli uda nam się zablokować Le Pen, będziemy mieli Zgromadzenie Narodowe rozproszone, eklektyczne, ale musimy się zachować jak dorośli” – przekonywał w telewizji TFI Raphaël Glucksmann, europoseł socjalistów. Sam prezydent otwarcie straszył Francuzów wojną domową w przypadku zwycięstwa Le Pen. Cel: zapobiegnięcie większości dla Zjednoczenia Narodowego, która wynosi 289 posłów w 577-mandatowej izbie niższej. Nawet jeśli ceną za to będzie chaos i paraliż polityczny. Narodowy Front Ludowy i partie centrowe porozumiały się w sprawie wycofania przed drugą turą części kandydatów, tak by pozostawić pole dla tego, kto ma największe szanse na pokonanie polityka ZN w danym okręgu wyborczym. Po pierwszej turze aż w 306 okręgach do drugiej tury zakwalifikowało się nie dwóch, ale trzech kandydatów. W rezultacie „frontu republikańskiego” liczba pojedynków między trzema kandydatami spadła w drugiej turze

do 89. Często kandydaci prezydenckiej partii wycofali się na rzecz tych z Francji Niepokornej.

Dla Jordana Bardelli umowa Macrona z Mélenchonem to „sojusz braku honoru”. Nie zaskoczyło go to jednak. Od początku było jasne, że liberalne elity będą się broniły przed możliwą kohabitacją z Le Pen.

Jak zaznaczyła filozof Chantal Delsol, „przez dziesięciolecie partia Front Narodowy, obecnie Zjednoczenie Narodowe, służyła francuskim przywódcom jako powód, pretekst i okoliczność, aby zostali wybrani. W ten sposób demokracja zostaje zniekształcona: polega na wyznaczaniu wroga i obrażaniu go, wroga, którego będziemy recyklingować stale na nowo, ponieważ naprawdę go potrzebujemy”. I to wszystko podlane niestrawną dawką oburzenia moralnego.

BLOKADA I DYMISJA?

Przed wyborami związki zawodowe sędziów deklarowały, że nie będą współpracowały ze Zjednoczeniem Narodowym i wzywały do „blokady” oraz ulicznych demonstracji. Zresztą od pierwszej tury w Paryżu, Tuluzie czy Lyonie ciągle odbywają się protesty przeciwko Zjednoczeniu Narodowemu, często organizowane właśnie przez związki zawodowe. W mediach kto może, zaznacza swoją moralną wyższość, odcinając się od skrajnej prawicy. Artyści, intelektualiści, menedżerowie.

Co więc czeka Francuzów? Chaos. Prezydencki obóz obiecuje stworzenie „radykałnego centrum” w parlamencie, ale to nie udało się już dwa lata temu i nie ma powodów, by sądzić, aby mogło się udać teraz. Relatywnej większości w izbie niższej nie chce nikt, ani Mélenchon, ani

Le Pen. Bardella wielokrotnie podkreślał, że jeśli jego partia nie osiągnie absolutnej większości, nie zgodzi się na to, by zostać premierem. Kohabitacja jest trudna, a europoseł Zjednoczenia Narodowego ma świadomość, że kierowanie rządem w takich okolicznościach może się okazać pułapką. Zarówno on, jak i Mélenchon mają nadzieję, że w Zgromadzeniu Narodowym blokada stanie się tak silna, uniemożliwiając przyjęcie ustaw, że zmusi prezydenta do dymisji, zanim za rok zdąży rozpisnąć ponownie wybory.

Na razie Macron trzyma się jednak mocno swojego stołka. Do wyborów prezydenckich pozostały trzy lata i ma nadzieję, że nie tylko je przetrwa, lecz także uda mu się powrócić do tej „nici porozumienia”, którą wydawało mu się, że nawiązał z Francuzami. By na końcu przekazać Pałac Elizejski komuś takiemu jak on sam.

„Populizm elit” Macrona, który miał postawić tamę skrajnościom po lewej i prawej stronie, wyczerpał się. Ludzie wciąż widzą w nim prezydenta bogatych, sztuczny produkt marketingowy o globalistycznej manii wielkości. Nikt nie jest zadowolony

Cichy triumf masonerii

Masoneria osiągnęła w Hiszpanii wiele sukcesów, i to bez wiedzy większości społeczeństwa. To, co Benedykt XVI potępił jako „dyktaturę relatywizmu”, jest demonstracją sposobu myślenia masońskiego, stało się też częścią tego, co znamy jako poprawność polityczna

W Polsce temat masonerii bywa lekceważony. Mamy nawet powiedzenie – „wszystkiemu winni Żydzi i masoni”, które wykorzystuje się, aby ośmieszyć rozmówcę jako propagatora teorii spiskowych. Jednak w Hiszpanii rola masonerii jest dobrze udokumentowana i nie stanowi przedmiotu kpin.

Alberto Bárcena: Tak, jest solidnie udokumentowana – zawiera imiona, nazwiska i stopnie wtajemniczenia w ryty masońskie protagonistów naszej historii. Nie ma to nic wspólnego z myśleniem spiskowym. Wszystkie liberalne rewolucje, które wybuchły w Hiszpanii i całej Europie, zostały przygotowane we współpracy z masońskimi lożami. Dlatego towarzyszyły im mniej lub bardziej krwawe prześladowania Kościoła. Pierwsza masakra mnichów, która miała miejsce w Madrycie w 1834 r., została przygotowana w lożach, jak po latach przyznał Martínez de la Rosa, mason 33. stopnia wtajemniczenia i szef ówczesnego rządu. W myśl masońskich instrukcji dokonano konfiskaty majątku kościelnego, a tysiące wygnanych zakonników szukało schronie-



**Z prof. Albertem Bárceną
z katolickiego uniwersytetu CEU
w Madrycie, autorem m.in. książki
„Kościół i masoneria. Dwa miasta”,
rozmawia Małgorzata Wolczyk**

nia lub żyło na ulicy. Utracono tysiące powołań, a szkody dla artystycznego dziedzictwa Hiszpanii były ogromne. Z tych samych powodów przez cały

czas podążano za modelem rewolucji francuskiej. Mariano Tiarado y Rojas, mason nawrócony na katolicyzm, zebrał historię XIX-wiecznej masonerii, wewnątrz której żył i funkcjonował, i tak prawda wyszła na jaw.

Jak wiadomo, masoneria chciała też skolonizować niektóre kraje Ameryki Łacińskiej.

Owszem. W ruchach niepodległościowych hiszpańskich wicekrólestw Ameryki dość łatwo można prześledzić udział łóż – zarówno tych z Kadyksu oraz Anglii, jak i z drugiej strony Atlantyku. Masonami byli liderzy tych ruchów: Francisco de Miranda i Simón Bolívar, który notabene po dojściu do władzy nagle zakazał działalności masonerii, posługując się zresztą tymi samymi argumentami, co papież Klemens XII i Benedykt XIV, autorzy pierwszych bulli skierowanych przeciwko niej odpowiednio w 1738 i 1751 r.

Jaki był wpływ masonerii na socjalistów w przededniu wybuchu wojny domowej? Ilu postów należało do masonerii?

Socjaliści i masoni ściśle współpracowali w przygotowaniu

republikańskiego zamachu stanu w 1931 r., który doprowadził do wygnania króla Alfonsa XIII. Stąd narodziła się Druga Republika Hiszpańska, której priorytetem była anihilacja Kościoła we wszystkich obszarach, poczynając od wyeliminowania nauczania aż po masakry fizyczne. Republikański rząd składający się głównie z masonów zezwolił na palenie klasztorów w dużych miastach, co rozpoczęło się w maju 1931 r., kiedy nie minął nawet miesiąc od ustanowienia republiki. Manuel Azaña, premier, a potem prezydent, zagroził rezygnacją, jeśli policja lub wojsko zechce temu zapobiec. Przy tej okazji powiedział słynne zdanie: „Wszystkie klasztory w Madrycie nie są warte życia jednego republikańczyka”, a potem, po krwawych prześladowaniach, kolejne: „Hiszpania właśnie przestała być katolicka”. Jak pisał we wspomnieniach, w 1932 r. rozpoczął pracę w loży, przyjmując imię Plutarch. Konstytucja Hiszpanii z 1931 r. także została opracowana przez komisję, której przewodniczył mason – Jiménez de Asúa. Parlament, który ją zatwierdził, składał się z 458 deputowanych, w tym 183 masonów: 39 proc. ogółu. Jezuici znów zostali wydalen, a sytuacja pozostałych zakonów była tak opłakana, że w 1933 r. Pius XI wydał encyklikę „Dilectissima nobis” przeciw prześladowaniom ze strony republiki. Później przywódca PSOE [Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza, mająca władzę także dziś – przyp. red.] zorganizowali rewolucję w Asturii, która była preludem wojny domowej. Tak rozpoczął się czas męczenników za wiarę. We Froncie Ludowym było wielu masonów, ale od lutego 1936 r. niepożądana przemoc wobec Kościoła i partii prawicowych wywołała taki opór społeczny, że jedynym wyjściem z sytuacji była wojna domowa.

Nikt nie może kwestionować wagi masonerii we wszystkich tych dramatycznych wydarzeniach, w krwawym prześladowaniu duchowieństwa od lipca 1936 r., które kosztowało życie

13 biskupów oraz 6832 księży zakonnych i zakonnic, często mordowanych w bestialski sposób. Pius XI ponownie musiał potępić przemoc w swojej następnej encyklice „Divini redemptoris”, poświęcając w niej akapit dla sprawy hiszpańskiej. Jak wynika z zeznań osób odpowiedzialnych za zbrodnie, w niektórych łóżach przesyłano im listy proskrypcyjne duchownych, którzy mieli zostać straceni.

Gen. Franco zadał cios ostateczny masonerii. Czy zdążyła się odrodzić?

Na mocy ustawy z 1 marca 1940 r. Franco utworzył specjalny trybunał ds. zwalczania masonerii i komuni-

Rząd Pedra Sáncheza jest zaangażowany w umacnianie wpływów masonerii w hiszpańskim społeczeństwie. Zaczynając jak zawsze od kontroli nauczania jako instrumentu indoktrynacji

zmu. Oczywiście później w przekazach manipulowano wymiarem kar nałożonych na masonów i wyolbrzymiono je, mówiąc o egzekucjach tysięcy członków łóż. Tymczasem kara za udział w nich była niewielka, wyrok jednak był wyższy dla tych, którzy osiągnęli stopnie wtajemniczenia powyżej 18. Zostali dożywotnio wykluczeni z pracy w administracji, ale w żadnym przypadku nie groziła im kara śmierci. Po wojnie masoni z wyrokami nigdy nie zostali straceni z powodu przynależności do sekty, ale z paragrafu tzw. krwawych zbrodni.

Niestety wciąż mamy do czynienia z fałszowaniem historii. W 2017 r. parlament Balearów przegłosował uchwałę uznającą honor masonerii,

wnioskując też, aby nie była ona już nigdy prześladowana ani „mordowana”. Oczywiście Franco udało się zniszczyć wpływy masonerii, ale pod koniec jego życia zaczęto organizować tajne loże, przygotowując się do powrotu, co się stało w okresie przejścia do demokracji. Dzięki historycznemu orzeczeniu Sądu Najwyższego masoneria ugruntowała swoją pozycję jako „stowarzyszenie prawne”, choć świadoma swojego złego wizerunku, działała dyskretnie.

Od czasu premiera José Luisa Zapatero i jeszcze bardziej za Pedra Sáncheza jej obecność w polityce jest bardzo zauważalna: w 2022 r. ogłoszono, że szef wydziału ds. strategii w gabinecie premiera jest mistrzem masonskim, co zresztą wyznał publicznie. Od dwóch lat wielkim mistrzem Wielkiej Loży Hiszpanii jest socjalistyczny senator José María Oleaga, który stoi jednocześnie na czele senackiej komisji sprawiedliwości i mianuje członków PSOE na główne stanowiska tej loży. W ten sposób można powiedzieć, że rządząca partia socjalistyczna dominuje jednocześnie w strukturach masonerii, co jest groźne dla naszej ojczyzny ze względu na powiązania międzynarodowe tej loży.

Czy jest prawda, że po barbarzyńskiej ekshumacji gen. Franco odprawiono masonski rytuał pomsty za to, jak skutecznie ją zwalczał?

To prawda – podczas profanacji jego grobowca odprawiano dyskretny rytuał kary zgodny z rytmem szkockim. Uczestniczyli w nim obecni przy ekshumacji politycy PSOE i inne osoby, formując wymagane w takiej sytuacji ustawienie osób (8+1). Franco przez dekady ścigał masonów, zapożyczał przekazanie tej fałszywej wiedzy, więc według nich zasłużył na karę. Główna część rytuału została wykonana z chwilą haniebnego wykopania z miejsca pochówku, na szczęście nie udało im się wyciągnąć go z trumny, bo prawo na to nie pozwala, choć próbowali. Pozostało im wykonać ten swój sekretny rytuał

gestów i spojrzeń za pomocą pewnych rekwizytów.

***Kilka lat temu przez przypadek we-
szłam do Muzeum Masonerii w Sa-
lamance, jest ono zresztą umiejscowione
niemal przy katedrze. Jaki jest cel takiego
muzeum? Hiszpania chce się pochwalić
jej dziedzictwem, wyjawiać wpływ na historię
czy zachęcić do wstępowania do tej
formacji?***

Nie, Hiszpania jest daleka od chętnie-
nia się swoim masonskim dziedzic-
twem. Większość społeczeństwa nie
ma jasnego zdania o masonerii, przyj-
muje stereotyp, że to mit i nic więcej.
Jednak ostatnio wzrosła liczba wie-
rzących, którzy chcą być świadomi
zagrożeń płynących z masonerii.
Są jednak i tacy, którzy postrzegają
masonów merkantylnie – jako uprzy-
wilejowaną sieć kontaktów, w którą
warto wejść dla własnych korzyści.
Nie wiedzą jednak, dokąd może ich
zaprowadzić ta podróż inicjacyjna,
która zawsze zaczyna się od prania
mózgu.

Niestety rząd Sáncheza jest zaan-
gażowany w umacnianie wpływów
masonerii w hiszpańskim społec-
zeństwie. Zaczynając jak zawsze od
kontroli nauczania jako instrumentu
indoktrynacji. Minister tzw. pamięci
demokratycznej Ángel Torres przy-
jął niedawno naczelnego masona 33.
stopnia Jesúa Soriano. Mówi się
o wprowadzeniu elementów filozofii
masonskiej do ośrodków nauczania
w ramach wyrównywania krzywd,
które frankizm miał zadać nieszczę-
snym masonom. Oczywiście o pozo-
stałych ofiarach wojny domowej, np.
2128 beatyfikowanych męczennikach,
musimy jak najszybciej zapomnieć,
bo tak stanowi nowa ustawa
o pamięci demokratycznej.

***Skąd wiemy, czy masoneria rów-
nież dzisiaj osiąga swoje cele? Jak
odróżnić relatywistów, liberalów
od masonów?***

Oczywiście jest, że masoneria osią-
gnęła wiele sukcesów, i to bez wiedzy
większości społeczeństw. To, co Be-
nedykt XVI potępił jako „dyktaturę
relatywizmu”, jest właśnie demon-

stracją sposobu myślenia mason-
skiego, stało się też częścią tego, co
znamy jako poprawność polityczną.
Jak powiedział Jan Paweł II: „Kto
twardo wyznaje prawdę, nie jest
już wiarygodny z demokratycznego
punktu widzenia, ponieważ przyj-
muje się, że demokratą musi się
odznaczać sceptycznym relatywiz-
mem”. Można jednak dodać, że ten
etap został już przekroczony. Wra-
cając do Benedykta XVI – w 2020 r.
w autoryzowanej biografii autorstwa
Petera Seewalda były papież stwier-
dził, że współczesne społeczeństwa
ustanowiły dogmaty antychrześci-
jańskie, a każdy, kto ośmieli się je za-
kwestionować, zostanie wykluczony.
Jako przykłady podał małżeństwa ho-
moseksualne i aborcję. Cóż, wszyst-
kie te pomysły były promowane przez
masonię. Prawa oparte na ideologii
gender często opracowywano w lo-
żach, a później stawały się przedmio-
tem debaty w parlamentach. Obecnie
odmawia się nawet prawa do sprze-
ciwu sumienia, które do niedawna
było czymś elementarnym. Np. we
Francji w wyniku udanej próby pre-
zydenta Emmanuela Macrona zostało
unieważnione wprowadzenie aborcji
jako prawa do konstytucji, zaprzeczając
tym samym istnieniu prawa natu-
ralnego. Unia Europejska zrobiła
to samo wcześniej, zatwierdzając
„raport Maticia”.

***Czy ma pan jakieś dowody przema-
wiające za obecnością masonów na
czołowych stanowiskach w UE?***

Oczywiście i nie trzeba się specjalnie
trudzić, żeby je znaleźć: potępienie
ingerencji tajnych stowarzyszeń
(a masoneria jest ich załącznikiem) za-
prezentowano w Parlamencie Eu-
ropejskim w 1985 r. Urzędnicy i pra-
cownicy instytucji potępił wtedy
„nielegalną ingerencję masonerii
w procesy awansu”. Angielscy labu-
rzyści poszli dalej, formalizując pro-
test i próbując położyć kres tej inge-
rencji. Zaproponowali izbie uchwałę
potępiającą „interwencje tajnych
stowarzyszeń, które zagrażają trans-
parentności rządzenia w instytucjach
europejskich”. Później zażądali także,
aby „posłowie i urzędnicy deklaro-

wali ewentualną przynależność do
tajnych organizacji”. Istnienie tego
rejestru uzasadniali koniecznością
powstrzymania rosnącego wpływu
masonerii w instytucjach europej-
skich, tym bardziej skutecznego ze
względu na swój tajny charakter.

***Który z papieży miał najwięcej za-
sługi w zwalczaniu masonerii?***

Wszyscy mieli zasługi, chroniąc wier-
nych przed zagrożeniem, którym
jest masoneria dla państw i dla dusz.
Chciałbym podkreślić encyklikę
„*Humanum genus*” Leona XIII, być
może najobszerniejszą. W Kodeksie
prawa kanonicznego za pontyfikatu
Piusa X wiele ustępów poświęco-
nych jest masonerii i przypomnieniu
obowiązującej ekskomuniki, z do-
datkowymi karami dla duchownych.
Przy redagowaniu nowej encykliki
w 1983 r. wszystkie organizacje spi-
skujące przeciwko Kościołowi zostały
zaliczone do tej samej kategorii, ale
dzięki ówczesnemu prefektowi Kon-
gregacji Nauki Wiary, późniejszemu
papieżowi kard. Josephowi Ratzin-
gerowi, opublikowano jednocześnie
oświadczenie „o stowarzyszeniach
masonskich”, wyjaśniając, że wierni
należący do masonerii „znajdują się
w stanie grzechu ciężkiego i nie mogą
przyjmować komunii św.”, co było
bardzo odważne w tamtych czasach.

***A jak określiłby pan postawę pa-
pieża Franciszka wobec masonerii?***

Podobną jak u poprzedników. Z tym
że dziwi spotkanie w lutym br. arcy-
biskupa Mediolanu z wielkim mi-
strzem Łoży Wielkiego Wschodu
Włoch w celu ustanowienia stałego
„stołu dialogu” między Kościołem
a masonią. Bp. Staglianò, który
przewodniczy Papieskiej Akade-
mii Teologicznej, obecny na tym
spotkaniu, stanowczo stwierdził, że
bycie katolikiem i masonem jedno-
cześnie jest nie do pogodzenia. Nie
wiem jednak, czy ten pomysł dialogu
został porzucony, tak jak powinien.
To skandaliczne, że kilka miesięcy po
kolejnym oficjalnym potępieniu ma-
sonerii przez Stolicę Apostolską, a od
1738 r. było ich setki, w ogóle podjęto
taką inicjatywę.



DOROTA ŁOSIEWICZ

Dbaj o planetę, nie miej dzieci

„Nie bierz prysznicza zbyt długo, nie bierz prysznicza zbyt często, jedź pociągiem, nie lataj samolotem, miej mało dzieci albo wcale, jedz mniej mięsa wołowego, a więcej owadów”. Takie rady wyczytają dzieci w książce „Palmy na biegunie północnym. Wielka opowieść o zmianie klimatu”. I co mają one myśleć, gdy dowiadują się, że dla planety byłoby lepiej, gdyby się nie narodziły lub nie zakładały rodzin?”

Palmy na biegunie północnym. Wielka opowieść o zmianie klimatu” autorstwa Marca ter Horsta to książka dla dzieci, która wyszła nakładem Naszej Księgarni. Co o publikacji ma do powiedzenia sam wydawca? „Z tej książki dowiecie się wszystkiego, co powinniście wiedzieć o zmianie klimatu! Przeczytacie o wczesnej historii klimatu i o tym, co wykończyło dinozaury, o epokach lodowcowych, wulkanach i plamach na Słońcu, a także o maszynach parowych, krowich bąkach, najśladzszym zwierzęciu na świecie, znikających wyspach oraz o lądowaniu na tłuszczu do smażenia frytek czy owadzych burgerach”. Marc ter Horst to holenderski autor książek popularno-naukowych dla dzieci. Po przejrzaniu publikacji trudno oprzeć się wrażeniu, że w obrazkowej formie jego czytelnikom jest serwowana ideologia klimatyczna.

KOMUŚ ODBIŁA PALMA

Elżbieta Lachman, redaktor naczelna portalu PolskieForumRodzicow.pl, tak komentuje tę publikację.

– Po przeczytaniu fragmentów tej książki mam wrażenie, że komuś nieźle odbiła palma. Zachęta skierowana do najmłodszych, żeby chcąc ratować planetę, nie miały dzieci, którymi same przecież są, to prawdziwy odlot. Zresztą latania samolotami autor również nie poleca, a wręcz nakazuje – „nie lataj samolotem”. Absurdów jest więcej, np. nie jedz nabiału, ale „jedz owadzie burgery”. No to smacznego. Polacy, od tej pory zamiast befsztyczka proponujemy robaczka. W inżynierii społecznej tudzież ekologicznej propagandzie jest tak wiele

metod, że można na ten temat napisać książkę. Co mnie jednak najbardziej oburza, to fakt, że z wredną manipulacją wchodzi się do przedszkola. Ruch pseudoekologów idzie nawet po dzieci, które dopiero zaczynają mówić. Więc brednie mają wyssać z przysłowiowym mlekiem matki. Niestety, książeczek z tzw. dobrym przekazem będziemy mieć w Polsce coraz więcej. Interpretacji hasła „to przecież dla dobra dzieci” jest niezliczona ilość. Wszystko jednak zależy od rodziców. To nadal mama i tata kupują dzieciom czytanki. Mogą też śmiało skontrolować, co jest na półce w przedszkolu. Jakie przekazy płyną do serc i umysłów naszych pociech. Czy aby na pewno płynące z książek morały są zgodne z ich przekonaniami? – mówi Lachman.

I przypomina historię z Niemiec. – Kilka lat temu wybuchła tam afera, gdy publiczna stacja radiowa opublikowała w mediach społecznościowych szalowy ekoteledysk. Chór dziecięcy śpiewa o babci, która jest „starą, ekologiczną świnią”, ponieważ jeździ na motocyklu albo do lekarza suvem, a co najgorsze „codziennie je kotlety”. Po fali krytyki stacja Westdeutscher Rundfunk wycofała się z publikacji i przeprosiła seniorów. Prawdopodobnie jednak jakaś grupa dzieci i słuchaczy do końca życia będzie miała przekonanie, że nowocześni to my – roślinożerni, jedzący sałatę i szczaw, a dziadkowie to wstrętne „ekologiczne świnię” od kotletów. Zwyczajnie można ich obrażać i aż boję się myśleć, co jeszcze z nimi robić, skoro zagrażają planecie – komentuje naczelna portalu PolskieForumRodzicow.pl.

ŁUDZIE ZAGRAŻAJĄ PLANECIE

Zajrzyjmy do fragmentu „Palm na biegunie...”, z którego wynika, że planecie zagraża ludzkość. „Niecałe 100 lat później na Ziemi jest już ponad 7,5 miliarda ludzi. Wszyscy razem mają ponad 1 miliard samochodów, 1,5 miliarda telewizorów i 7 miliardów telefonów. Te wszystkie auta zużywają paliwo, urządzenia pobierają prąd, a ludzie muszą jeść i pić, i wciąż rodzą się nowi. Trudno przewidzieć, jak szybko ludzkość będzie się rozwijała w przyszłości. W chwili, gdy czytasz to zdanie, 30 ludzi się rodzi, a 10 umiera. Tak więc każdego dnia na naszej planecie przybywa 200 tysięcy osób. Jeśli ta

tendencja się utrzyma, to w 2050 roku będzie nas 11 miliardów, w 2100 – 17 miliardów. Wydaje się jednak, że kobiety przeciętnie rodzą coraz mniej dzieci. Prawdopodobnie ty sam też masz mniej rodzeństwa niż twoi dziadkowie. Gdyby dalej tak się działo, to w 2050 roku na ziemi będzie 9,5 miliarda mieszkańców, a w 2100 roku 11 miliardów. To wciąż jeszcze dużo”. Stąd pojawiająca się kilka stron dalej rada: „Miej mało dzieci (albo wcale)”.

Pytam dr. hab. Michała A. Michalskiego, profesora UAM oraz prezesa Fundacji Instytut Wiedzy o Rodzinie i Społeczeństwie, co myśli o tego typu radach i ostrzeżeniach kierowanych do dzieci.

– W tego typu działaniach nie pojawia się troska o przyszłe pokolenie i to, jak ono sobie poradzi z tego typu treściami. Wprowadza się pewien konflikt czy zamieszanie kulturowe. Młodym ludziom tworzy się w ten sposób świat, w którym są oni zdezorientowani. Z jednej strony dzieci widzą ludzi żyjących w szczęśliwych rodzinach posiadających dzieci, a z drugiej strony słyszą przekaz, który stoi w sprzeczności z ich codziennym życiem i doświadczeniem. Hasło „miej mało dzieci lub wcale”, które jest zawarte w tej książce, to świetny przykład, że na ołtarzu klimatu kładzie się fundamentalne wartości, na których zbudowana jest cywilizacja. W ofierze klimatyzmu składa się ofiarę z ludzkiego życia – uważa naukowiec.

– Wpływ świata zewnętrznego na dziecko w trakcie wychowania jest sposobem modelowania jego zachowań – tłumaczy zaś psychoterapeutka Sabina Zalewska. – Jeśli utrwalimy sobie coś jako dzieci, przyjmujemy to później jako fakt, z którym nie dyskutujemy, nie szukamy potwierdzenia. Jednej z moich pacjentek rodzice czytali bajeczkę o miodzie i pszczołach. Pojawiało się tam zdanie, że pszczoła to owad, który może ukąsić i lepiej trzymać się od niej z daleka. I tej kobiecie sam miód zaczął się kojarzyć z czymś groźnym. Tak więc jeśli dzieci utrwala przekonanie, że człowiek zagraża planecie, to jako dorośli będą starali się unikać zagrażania planecie, więc nie będą chcieli mieć dzieci – wyjaśnia Zalewska.

ZDOBYĆ DZIECI

Publikacji skierowanych do dzieci, które mają kształtować ich światopo-

gład, przybywa. Niedawno w Hiszpanii pojawiła się książeczka, której oprawa graficzna i treść świadczą o tym, że jest przeznaczona dla dzieci. Książka zawiera symbole LGBT+ i... obrazy seksu z niemowlęciem. Na okładce znajduje się uśmiechnięty, przybity do krzyża Chrystus z flagami LGBT+ w dłoniach. Jedną z „zabaw” graficznych proponowanych przez książkę jest labirynt z dziecięcych genitaliów, które prowadzą do odbytu niemowlęcia płci męskiej. Wydawnictwo zawiera również obrazy mające uderzać w religię katolicką i tradycyjne wyobrażenie ról matki i ojca. Książka była polecana w serwisie Amazon jako wydawnictwo przeznaczone dla dzieci od lat sześciu. Hiszpańska Fundacja Prawników Chrześcijańskich ogłosiła, że złożyła skargę do sądu w Walencji przeciwko autorowi i wydawcy w związku z możliwymi przestępstwami nawoływania do dyskryminacji i nienawiści oraz nawoływania do seksu.

Kilka lat temu w brytyjskich księgarniach pojawiły się zaś skierowane do najmłodszych dzieci transpłciowe książeczki. Portal Daily Mail informował o „postępowych” książkach dla najmłodszych, którymi zasypane zostały księgarnie i sklepy dziecięce. To tylko niektóre tytuły: »Daddy, pappu, and me« albo »Mommy, mama, and me«, promujące rewolucję LGBT+. Oprócz tego można spotkać się z takimi pozycjami, jak »Książeczka feministyczna« czy »Historia gejów i lesbijek dla dzieci«.

– Inteligentni inżynierowie społeczni rozumieją, że jeśli świadomość ma się zmienić, to szybciej można to osiągnąć przez zmianę myślenia młodego pokolenia. Jeśli do jego świadomości wprowadzimy treści, na których nam zależy, wówczas wejdą one w krwioobieg społeczno-kulturowy i zaczną być częścią rzeczywistości. Tak się zmienia kultura i społeczeństwa, sposób myślenia, podejmowania decyzji, wartościowanie – wyjaśnia prof. Michał Michalski.

Zakończę apelem Elżbiety Lachman: – Drodzy rodzice, róbmy swoje! Pięknie wychowujemy nasze dzieci, czytamy im dobre bajki, a przede wszystkim miemy oczy i uszy szeroko otwarte. Ideolodzy, nie tylko od ekologii i nie tylko wykorzystując ducha literatury, idą po nasze dzieci. Bądźmy czujni.



Prawdziwa muzyka według Scrutona

„Kultura umiera w muzeum” – przestrzegał brytyjski filozof Roger Scruton. Dlatego był przekonany, że muzyka, nawet najdawniejsza, żyje, ale pod warunkiem, że chcemy jej słuchać. Zwalczał „przysłuchiwanie się” byle czemu, uznając pop za prowadzące donikąd uzależnienie



MACIEJ WALASZCZYK

Los kultury jest nierozdzielnie spleciony z losem danego społeczeństwa. Ta myśl ożywiła książki Rogera Scrutona, m.in. wydany po polsku „Przewodnik po kulturze nowoczesnej dla inteligentnych” czy zbiór jego esejów na temat muzyki. W ramach serii „Biblioteka Resfacta Nova” PWM

dostajemy teraz „Estetykę muzyki”, mające spory rozmach muzykologiczne dzieło napisane przez filozofa zajmującego się estetyką, ale z temperamentem politycznym. Scruton zawsze wychodził bowiem z platońskiego przekonania, że w muzyce nigdy nic się nie zmienia bez przewrotu w zasadniczych sprawach

politycznych. Nieżyjący już założyciel i redaktor naczelny „The Salisbury Review” grał też na fortepianie, w swoim kościele na organach, a w latach 90. podjął próby kompozytorskie, tworząc np. jednoaktową operę „The Minister”. Oczywiście z librettem o człowieku, który zamienia miłość na świat polityki z wszystkimi tego konsekwencjami. Ale w naszym świecie pilnie obserwował zachodzące zmiany, wzywał do strzeżenia ognia, a nie wypalonych popiołów, wciąż wierząc w siłę piękna europejskiej kultury.

RYNEK I DEMOKRATYZACJA GUSTÓW

Sluchanie muzyki jest wcale nieobojetnym procesem. Wywołuje reakcje fizjologiczne, bo bicie serca dostraja się do muzyki, a więc wpływa na emocje i nasze zachowania. Wiedzą o tym spece od audiomarketingu, gdy od przekroczenia progu galerii handlowych i supermarketów jesteśmy w nich obezwładniani dźwiękami. Zmysł dźwięku służy do wpływania na zachowania klientów. Muzyka klasyczna kojarzy się z dobrami luksusowymi (nie uciekniemy od tego, o czym dalej), gdy płynie wolno – czas przebywania w sklepie jest dłuższy, kupuje się tam więcej i chętniej. Do tego mamy totalnie skomercjalizowane radio z piosenkami trwającymi już poniżej 3 minut, najczęściej w tempie 2 uderzenia na sekundę, a więc 120 na minutę i reklamę ze swoimi „sound brandami”. Współczesna muzyka tworzy więc hałaśliwy szum, mówiąc brzydko – „ryje nam banie”.

Roger Scruton przez lata toczył bój o to, by bronić się przed tym szumem, a muzyki słuchać świadomie, podejmując w tym celu wysiłek przynoszący skutoczny owoc. Przyznawał w części rację Theodorowi Adorno, który twierdził, że kultura masowa poprzez banalność tonalnego idiomu, a więc kicz, dostarczała kapitalizmowi osłony w postaci sentymentalnych stereotypów, iluzji, przestając wymagać od słuchacza czegokolwiek poza ochoczą zgodą na to, by stał się konsumentem. Scruton korygował ten pogląd, twierdząc, że upadek muzyki to triumf demokracji masowej, przyznającej wszelkim wartościom jednakową wartość. Miało w tym też swój

udział wynalezienie gramofonu i radia, podobnie jak nowego demokratycznego człowieka, którego wiara w prawo do własnych gustów, choć niewykształconych, zachwiała jego zaufaniem do wysokiej kultury i podważyła jej pretensje do bycia tą lepszą. Wtedy też powstała – tak atakowana przez Adorno – kultura masowa, a arystokratyczny pogląd żywiący instynktowną awersję do tego, co wulgarne, sentymentalne lub banalne wydał swe ostatnie tchnienie. Triumfuje liberalne przekonanie, że koncepcja dobra należy do sfery prywatnej.

(POP)DEKADENCJA

Pisząc tę książkę, Scruton podążał za filozofami, przyznając, że najciekawszy gmach gałęzi estetyki zbudowali pitagorejczycy, twierdzący, że porządkowanie muzyki jest porządkowaniem duszy. Bronił też platońskiego poglądu, że pewnej muzyki i skal powinno się zabronić w idealnym państwie, bo psują młodzież. Jeśli więc muzyka naśladowała rzeczy niewłaściwe, to poruszał ją się wraz z nią również. Od wieków wywoływało to bowiem obawę, lęk i poczucie bluźnierstwa. Świat postmodernistyczny wynaturza muzykę jak wszystko inne tylko po to, aby każda jednostka mogła mieć szansę na kupno i sprzedaż. Muzyka popularna przestaje być muzyką, tak jak pornografia nie jest miłością. Muzyka szumi w każdym miejscu publicznym i wlewa się w każdą ciszę. Scruton, idąc śladem starożytnych, przyznawał, że istnieje taka, która dopełnia naszą naturę i może być też dziką rozrywką, tą, która nas niszczy.

Nowoczesna muzyka pop jest w dużej części posępna, bo tak została pomysłana, a jej wiele odmian stanowi rodzaj negacji samej muzyki i dehumanizacji śpiewu. To cała masa zjawisk, m.in. rap ze swoim kultem brutalności, różne odmiany heavy metalu itp. Publiczność raczej nie słucha muzyki, ale utożsamia się z zespołami, budując z nimi relacje plemienne. Muzyka stała się krytyką tożsamości, istnieje po to, by zemiścić się na świecie. Jak wiemy, cały ten przewrót nastąpił w XX w. wraz z redukowaniem jazzu i tradycji bluesa, muzyki wywodzącej się z kultury czarnych amerykańskich niewolników, do

zestawu powtarzalnych formuł melodycznych utrzymywanych przez ciągły beat. Dziś jest on już pozbawionym ludzkiego życia, wszechogarniającym szkieletem rytmu, w którego tle słychać najczęściej bezkształtny śpiew i zawieszoną sztucznie równie bezkształtną melodię. Niewiele jest też już okazji do tańca innego niż uwalniającego seks. Scruton przeciwstawia jednak beatowi odwieczny rytm, który jest grą uderzeń serca, słyszalnym tylko w muzyce klasycznej i jazzie „pulsom ludzkiego życia ukazany w metrum, synkopacji i akcentach”.

PEAN NA CZEŚĆ HARMONII

Większa część tej pracy to przeprowadzony z pietyzmem, wielowątkowy i obszerny wykład o tym, czym jest muzyka. Nie dla każdego, ale warto wziąć pod uwagę to, co Scruton chciał nam przekazać. To swego rodzaju pean na cześć tonalności i harmonii, której składową jest dźwięk, będący – jak podkreślał – powszechnym i odwiecznym doświadczeniem człowieka. Wydobyty intencjonalnie jest przez nas uznawany instynktownie za próbę nawiązania relacji. Gdy przeradza się w ton, można go porównać do przemiany dźwięku w słowo. Słyszenie dźwięku jako tonu, a potem następujących i wynikających z siebie kolejnych odpowiedzi na poprzedników przeradza się w melodię i muzykę – świadome porządkowanie dźwięku. Wymagające też świadomego słuchania. Porządkowany jako muzyka dźwięk jest bowiem intencjonalny, wprawiony w ruch, ma swoją tożsamość i metafizykę.

Scruton twierdził, co budziło wątpliwości, że choć muzyka jest formalnie odbieranym przez ucho fizycznym efektem fali dźwiękowej, pozostaje w ruchu, który nie jest zjawiskiem fizycznym. Ruch jest generowany przez tonalną melodię, dźwięki mają barwy, wysokość, dynamikę, tonacja ustanawia oczekiwania harmoniczne, by po h spodziewać się ci. W melodii odnajdujemy bowiem przyczynowość, którą bardziej wyrobieni słuchacze odczytują nawet w powodzie skomplikowanych ornamentów i ozdobników. Muzyka atonalna, nawet matematycznie wyliczona i pozornie spójna, pokazała nie raz, że

dźwięki nie pozostając ze sobą w relacji, stają się nieobecne. Następuje rozpad linii melodycznej, ujawniając konieczność istnienia harmonii. Przyczynowość łącząca ton z tonem nie jest więc – jak pisał – „martwą przyczynowością maszyny”, lecz „przyczynowością życia”, a powtarzając za pitagorejczykami i Platonem – „dokonującym się w czasie objawieniem wiecznego porządku”.

DOŚWIADCZENIE WSPÓLNOTY

Pierwotnie muzyka miała związki z obrzędami religijnymi w kościołach, podczas różnych ceremonii, zabaw, a także w armii. Przejawiała się we wspólnym śpiewie i tańcu. Wraz z rozwojem muzyki symfonicznej muzyka instrumentalna zyskała jednak nad nimi przewagę. Zaczęła się spełniać jako sztuka, osiągając domenę czystej abstrakcji. Pojawiła się więc kultura słuchania, wypierając wspólne muzykowanie. To też zwyczaj klasyfikacji, identyfikowania utworów, listy przebojów, kolekcje płyt i nagrań. Wszystko to jest produktem nowoczesnego społeczeństwa, kultury nastawionej na słuchanie, związane z czasem wolnym.

Scruton namawiał, by nie rezygnować z słuchania muzyki w salach koncertowych. Dają one odmienne przeżycia niż koncerty gwiazd popu, gdy tłum odczuwa silne emocje i wiedzie wzrokiem za wykonawcami będącymi ostatecznym obiektem jego uwagi, trochę jak w wydarzeniu parareligijnym. Na sali koncertowej wykonawcy znikają wraz ze swymi rytualnymi strojami, a zatopieni w ciszy słuchacze skupiają się tylko na muzyce. Śmiało się więc ze snobizmu modernistów, skonfliktowanych ze słuchaczami i ich tradycyjnymi gustami. Muzyka istnieje tylko będąc słuchaną, zależy od audytorium, które się nią cieszy, a awangarda z jej eksperymentami nie mogła stać się kluczem do jej odnowy. O skostnienie muzyki poważnej, w tym jej wykonaniu – nad czym ubolewał – oskarżał m.in. tego rodzaju snobizm. „To jest znakiem zbliżającej się jej nieuchronnej śmierci” – przestrzegwał.

Był zdania, że kulturę muzyczną należy pielęgnować m.in. poprzez edu-

kcję muzyczną. Kwitnie ona wtedy, gdy kreuje wzory, powiększa w świadomości ludzi zasoby artefaktów określających ich reakcje. Muzyka wkracza do życia również po to, by stać się systemem aluzji, klarować gusta, urzeczywistniając wspólnotę, do której aspirujemy.

KULTURA W MUZEUM UMIERA

Scruton nie biadolilił jednak nad upadkiem kultury i twierdził, że społeczeństwo konsumenckie charakteryzuje się nadzwyczajną stabilnością, z optymizmem potrafi przyjąć sytuacje kryzysowe, wyłonić się na nowo z każdego zamętu, z taką samą niezachwianą pewnością siebie. To ciekawa opinia

Beatowi muzyki pop Scruton przeciwstawia odwieczny rytm, który jest grą uderzeń serca, słyszalnym tylko w muzyce klasycznej i jazzie „pulsam ludzkiego życia ukazany w metrum, synkopacji i akcentach”

jak na konserwatystę. Był zdania, że popkultura nie jest oznaką dekadencji, lecz anomalii, w której zerwała się z uwięzi i wypłynęła na ocean równości, na którym gusta i smaki nie obowiązują. Stworzyła publiczność, której uszy od dziecka są zamulone muzyką pop, ciało spragnione rytmu, która woli łatwą homofonię od polifonii, znane z wszechobecnych piosenek niekończące się powtórzenia fraz od rozwijanej melodii, uderzenia akordów od harmonii rozpisanej na głosy, regularny beat od przesuwających się akcentów. Z tej masy jednak wyłoniła się też publiczność spragniona minimalizmu Arvo Pärta, muzyki Johna Adamsa i Góreckiego, a także filmowej, będącej namiastką klasycznej.

Próbuje ona odzyskać tonalność dla swojej przestrzeni, odnaleźć duchową wspólnotę.

Zdaniem Scrutona poddanie surowej krytyce całej muzyki popularnej jest więc bezskutecznie, ale ujawniło również jej atrofie. Jeśli Adorno odrzucał gwiazdy ówczesnego jazzu z Armstrongiem, Glenem Millerem czy Gershwinem, to Allan Bloom – cały dzisiejszy pop. Okazuje się więc po latach, iż rzeczy odrzucane przez Adorno były lepsze niż odrzucane przez Blooma. Dlatego da się odróżnić dobry i zły gust, a co więcej, jego kształtowanie stało się naszą powinnością. Inaczej nastąpi schyłek całej kultury. Dowodzi tego nawet fakt, że muzyka pop straciła możliwości rozwoju. Najlepsi, jak Metallica, uzyskali biegłość techniczną i brzmieniową, ale nie potrafili wkroczyć w nowe terytoria. Poruszają się na pustyni powtórzeń, która nie daje plonów, a starzejące się 60- i 70-letnie gwiazdy powracają na scenę, by grać stare przeboje. Gdy jednak chcą czegoś nowego, następuje próba ucieczki od rocka.

Zdaniem Scrutona bez względu na to, kiedy powstała tzw. muzyka poważna, klasyczna, jest wciąż nam współczesną i żywą. Liczą się wykonania, nawet w różnych wariantach, transkrypcjach, aranżacjach i wersjach. Każde zyskuje bowiem jakiś nowy walor w stosunku do oryginału, prowadząc do dialogu pokoleń i ożywiając jej twórców.

„Izolowanie Bacha, Purcella, Gibbonsa jako przykładów muzyki »dawniej« jest celebrowaniem pogrzebu” – przekonuje Scruton. Nawet dyskretnie podważa sensowność periodyzacji epok, przyznając rację tym, którzy uważają, że myślenie o Bachu jako tradycji, którą najwyżej próbuje się rekonstruować, jest „ceremonialnym grzebaniem jej w muzeum”. Uważał, że wciąż jesteśmy jej żywą częścią, choć zdawał sobie jednak pytanie, jak długo. Muzyka ma porządkować duszę, być piękną, dawać radość i bawić – oto jej prawdziwe przeznaczenie. Ale jednocześnie oczekuje od nas pewnego wysiłku. Wzywał więc, by jej słuchać, a nie jej podsłuchiwać i „chronić uszy przed białym szumem nowoczesnego życia”.

K

ULTURY



Gwiazdy poza czasem

Tom Hanks i Robin Wright zostali cyfrowo zliftingowani przez Roberta Zemeckisa. Czwórkę z Liverpoolu – której Sam Mendes postanowił poświęcić cztery odrębne produkcje – zagrają współcześni młodzi aktorzy. Film stoi dziś na technologicznym rozdrożu

Fot. Materiały prasowe SONY PICTURES



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Od kiedy powstało kino, z dekadą na dekadę technologia poszerzała jego możliwości. Pozwalała na kreowanie coraz bardziej zaskakujących i fascynujących światów, w których centrum wciąż jednak pozostawali aktorzy. Z ich popularnością, charyzmą, kunsztem i możliwościami metamorfozy. Tworzyli ekranowe postaci – i te z przeszłości, i te, których historia była rozpisana na lata – wspomagani przez charakteryzatorów i kostiumografów.

BEZ MODELOWANIA

Kinowy „Avatar” uczynił z aktorów bazę cyfrowych działań (w rysach bohaterów wykreowanych w filmach Jamesa Camerona można się jedynie doszukiwać realnych osób). Coraz częściej podejmowane są też próby komputerowego generowania ekranowych postaci na podstawie dostępnych archiwalnych materiałów pokazujących znane osoby.

Sam Mendes nie poszedł tą drogą. Chociaż w ub.r. furorę robił „nowy” przebój Beatlesów wypreparowany ze starych nagrań przez sztuczną inteligencję. Wydaje się, że urodzony w Wielkiej Brytanii reżyser pozostanie przy tradycyjnej aktorskiej formule, bez wykorzystania AI w modelowaniu ekranowych bohaterów. Czy na taką decyzję wpłynęły oczekiwania właścicieli praw do wizerunku i dokonania Beatlesów? Mendes jako pierwszy dostał pełną akceptację twórczych propozycji zarówno od korporacji multimedialnej Apple Corps Ltd., jak i Paula McCartneya i Ringa Starra, a także rodzin Johna Lennona i George’a Harrisona.

ZGODA NA PRZEBÓJ

Reżyser, któremu drogę do Hollywood otworzył film „American Beauty” (Oscar i Złoty Glob 2001), a międzynaro-

dową pozycję potwierdziły m.in. części serii o Jamesie Bondzie: „Skyfall” (2012) i „Spectre” (2015) czy „1917” (Złoty Glob 2020), tylko pozornie wybrał klasyczne rozwiązanie. Rozmach, z jakim zaplanował realizację najnowszego projektu, zbliża go do współczesnych, tworzących niemal serialowo, a więc multiplikujących również imponujący zysk, kinowych megaprodukcji.

W założeniu Mendesa każdemu z Beatlesów zostanie poświęcony odrębny film, opowiedziany z perspektywy głównego bohatera. Oczywiście przedstawione na ekranie historie będą się przeplatać. Jak? Zobaczymy w 2027 r. Na razie trwa typowanie i potwierdzanie medialnych doniesień na temat odtwórców głównych ról, którzy przed kamerami staną najpóźniej w połowie przyszłego roku.

BRYTYJSKO-IRLANDZKA CZWÓRKA

Najgorętsze nazwisko w obsadzie to 28-letni Irlandczyk Paul Mescal. W ub.r. nominowany do Oscara za główną rolę w kameralnym filmie „Aftersun”, za kilka tygodni stanie przed widzami na arenie ekranowego Koloseum, by zmierzyć się z legendą Maximusa, blisko ćwierć wieku temu po mistrzowsku zagrany przez Russela Crowe’a. Teraz pytanie, czy Mescal, wybrany przez Ridleya Scotta do głównej roli w „Gładiatorze 2”, podoła wyzwaniu, podnosi ciśnienie wielu kinomanom. Odpowiedź poznamy wraz ze światową prapremierą kontynuacji megahitu. Tę przesunięto na 15 listopada, by nie zderzyła się na amerykańskich ekranach z musicaliem „Wicked” (alternatywnym spojrzeniem na historię opowiedzianą w „Czarnoksiężniku z krainy Oz”). Tydzień później „Gładiatora 2” zobaczą m.in. polscy widzowie.

Mescal w filmowej tetralogii Sama Mendesa ma zagrać Paula McCartneya. W Johna Lennona miałby się wcielić 28-letni Brytyjczyk Harris Dickinson, znany m.in. z filmów „King’s Man: Pierwsza misja”, „Bracia ze stali” czy nominowanego do Oscara i Złotego Globu oraz nagrodzonego Złotą Palmą w Cannes w 2022 r. obrazu „W trójkącie” Rubena Östlunda.

Do roli Ringa Starra najbliższe Barry’emu Keoghanowi. Urodzony w Dublinie 31-latek w 2017 r. zagrał w „Dunkierce” Christophera Nolana oraz filmie „Zabicie świętego jelenia” Yórgosa Lánthimosa (twórcy obsypanych Oscarami w 2024 r. „Biednych istot”). Wystąpił też m.in. w serialu HBO „Czarnobyl” (2019), a w 2023 r. otrzymał pierwszą nominację do Oscara za rolę w filmie „Duchy Inisherin”. Aktor angażuje się w działalność charytatywną zarówno w rodzinnej Irlandii, jak i w Ameryce czy Hiszpanii. Jest też ambasadorem domu mody Dior.

Czwartego Beatlesa miałby zagrać pochodzący z Londynu 28-latek Charlie Rowe, który z telewizją i filmem jest związany od dziecka. 17 lat temu na planie nagrodzonego Oscarem „Złotego kompasu” spotkał m.in. Nicole Kidman. Rola George’a Harrisona byłaby dla niego szansą na wejście na spektakularny pierwszy plan.

TERAZ I PÓŹNIEJ

Zespół The Beatles zakończył działalność w 1970 r. i do dziś nie stracił pozycji najbardziej znanej grupy muzycznej na świecie. Fani długo jednak musieli czekać na decyzję spadkobierców, by mógł powstać fabularny film o chłopcach z Liverpoolu. Pozytywna decyzja zapadła, być może również pod wpływem finansowych rekordów, jakie w ostatnich latach osiągały muzyczne biografie. Wystarczy przypomnieć takie kasowe hity, jak: „Bohemian Rhapsody”, „Rocketman”, „Elvis”. O widzów będzie też walczyć film o Michaelu Jacksonie.

W 2021 r. wielkim powodzeniem cieszył się trzyczęściowy dokument pt. „The Beatles: Get Back” w reżyserii Petera Jacksona – twórca trylogii „Władca pierścieni” wykorzystał w nim niepublikowane materiały archiwalne z 1969 r. Muzyczną sensacją okazała się też premiera (pod koniec 2023 r.) wspomnianej już „nowej” piosenki Beatlesów. Utwór „Now and Then”, nagrany częściowo (przez Johna Lennona) w 1977 r., został „dokończony” wspólnie za pomocą sztucznej inteligencji. Wyodrębniony z archiwalnego materiału wokół Lennona i jego grę na



Paul Mescal ma zagrać Paula McCartneya



Barry Keoghan ma wcielić się w Ringa Starra



Harris Dickinson ma być Johnem Lennonem



Charlie Rowe ma zagrać George'a Harrisona

pianinie uzupełniono linią melodyczną pozostałych Beatlesów: partiami gitary akustycznej i elektrycznej nagrany przez George'a Harrisona w 1995 r. oraz współczesnymi wykonaniami: Ringa Starra (perkusja, gitara i bas) i Paula McCartneya (pasujące do pianina Lennona nowe partie na ten instrument).

DOM PARU POKOLEŃ

W znacznie obszerniejszym zakresie niż w utworze „Now and Then” – można nawet uznać, że przynosząc kinu kolejny przełom – sztuczna inteligencja została wykorzystana przy realizowaniu najnowszego filmowego projektu Roberta Zemeckisa zatytułowanego „Here” (w Polsce: „Here. Poza czasem”). Powracają w nim na ekran aktorzy oscarowego „Forresta Gump’a” (1994). Odmłodzeni i postarzeni: Tom Hanks oraz Robin Wright.

Współscenarzysta „Here. Poza czasem” Eric Roth przełożył na język

filmowy powieść graficzną Richarda McGuire’a z 2014 r. Jak zapowiadają zwiastuny, miejscem akcji jest amerykański dom, przez który przewijają się przedstawiciele paru pokoleń. Sceny przedstawione na ekranie rozgrywają się na przestrzeni kilku dekad. Widzowie będą mogli towarzyszyć głównym bohaterom: Richardowi i Margaret (Hanks i Wright) od lat licealnych do schyłku ich długiego wspólnego małżeńskiego życia.

CO POD MASKĄ

Robert Zemeckis (który poza „Forrestem Gumpem” ma na koncie m.in. takie obrazy, jak „Cast Away – poza światem”, „Powrót do przyszłości”, „Kontakt”) wykorzystał w filmie – czerpiąc z wizerunków konkretnych osób – rozwiązania możliwe dzięki sztucznej inteligencji, a stosowane m.in. w grach komputerowych czy programach telewizyjnych.

Już podczas nagrywania zdjęć AI tworzyła na bieżąco „maski” odmładzające aktorów. Taki „zabieg liftingujący” był możliwy, ponieważ systemy komputerowe dostały wcześniej do przetworzenia ogromną liczbę zdjęć Toma Hanksa i Robin Wright zrobionych na różnych etapach ich życia.

Realizatorzy nie podają, czy efekt postarzenia to wyłącznie działanie AI. Może jednak i tradycyjnego pionu charakteryzacji? Zapowiadają, że „Here. Poza czasem” jest „uniwersalną opowieścią pełną nadziei i wzruszeń”. Nie wnikają, na ile zastosowana przy tej produkcji technologia wpłynie na kształt kolejnych filmowych projektów. Zwłaszcza tych, w których nie będą grali tak wytrawni i doświadczeni aktorzy, jak Hanks czy Wright, potrafiący dostosować grę do różnych „masek” wykreowanych przez AI.

„Here. Poza czasem” będzie mieć światową premierę 15 listopada. Do polskich kin trafi 27 grudnia.



ROBERT TEKIELI

Wysiłkiem „środowisk naukowych i praktykujących buddyzm, po 18 miesiącach spotkań i dyskusji nad podstawami programowymi i ich realizacją oraz dokonaniu uzgodnień z MEN” startuje w Polsce projekt edukacji buddyjskiej: „jesienią ruszą pierwsze szkolenia edukatorów buddyzmu do szkół”.

Działająca pod honorowym patronatem Jego Świątobliwości XIV Dalajlamy Polska Unia Buddyjska w 2024 r. zawarła umowę z Ministerstwem Edukacji Narodowej dotyczącą „zasad kwalifikacji edukatorów buddyzmu”. Zgodnie z tym porozumieniem Unia Buddyjska będzie ich wyznaczać do poszczególnych placówek szkolnych i potwierdzać ich uprawnienia (w innym miejscu na stronie edukacja-buddyjska.pl czytamy, że porozumienie „jest w trakcie podpisywania”).

Podstawy programowe nauczania buddyzmu w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych przedstawione do wiadomości MEN zawierają cztery działy: Budda, dharma, sangha oraz medytacja – w trakcie lekcji „rozwijane są także umiejętności praktyczne, szczególnie w zakresie medytacji”.

W podstawie programowej mówi się o „bagażu karmicznym” i odradzaniu się „w procesie reinkarnacji”, podstawa zawiera też wprowadzenie do medytacji w szkole zen: „medytacja siedząc (zazen) w szkole soto i w szkole rinzai w Japonii” oraz wprowadzenie do medytacji buddyzmu tybetańskiego.

3 MIŁOŚCI

Buddyzm w naszej szkole

Zapotrzebowanie wyrażone przez co najmniej siedmioro rodziców zobowiązuje szkołę podstawową lub średnią do zorganizowania lekcji buddyzmu. Polskie placówki, w których rodzice wyrażą takie życzenie, będą musiały uwzględnić „w planie lekcji na dany rok szkolny daty trzech głównych świąt buddyjskich (święto wesak [dzień urodzin Buddy Siakjamuniego – dzień pierwszej pełni księżyca w maju], święto bodhi [dzień oświecenia Buddy Siakjamuniego – 8 grudnia], święto parinirwany [dzień śmierci Buddy Siakjamuniego – 15 lutego]), tak aby w danym dniu wypadła lekcja religii”. Jednym z zadań szkoły jest też wyjazd z uczniami „do ośrodka buddyjskiego/świątyni buddyjskiej”.

W Polsce i w pozostałych krajach Zachodu buddyzm jest przedstawiany jako system ateistyczny. W rzeczywistości buddyści czczą boginię słońca Amaterasu, składają ofiary bogini Pattini, oddają cześć bogu bogactwa Kuberze oraz Hajagriwowi, zacieklemu bogu o końskiej twarzy. „Guhyasamāja”, święta księga buddyzmu tantrycznego, zaleca rytualne wykonywanie amuletów mocy ze szczątków ciała wroga.

Oto opis porannego nabożeństwa lamaistycznego przytoczony w książce rosyjskiego etnografa A.M. Pozdniejewa wydanej w 1933 r. przez buddystów w lamaistycznej Kałmucji:

„Ci, którzy przynoszą balin huwaraki przed rozpoczęciem nabożeństwa, najpierw powinni kontemplować Dżamsrana i wyobrazić sobie całą przestrzeń świata pustą. W tej pustej przestrzeni muszą wyobrazić sobie bezgraniczne morze ludzkiej i końskiej krwi ze wzburzonymi falami; pośrodku tych fal – prostokątną miedzianą górę, na jej szczycie słońce z wółką człowieka i zwołki konia, a na nich stoi Dżamsran. Twarz ma czerwoną, w prawej ręce, z której wychodzi ogień, trzyma miedziany miecz oparty o niebo; mieczem tym siecze

życie tych, którzy złamali obietnice. Lewą ręką trzyma nerki i wątrobę wrogów wiary, pod pachą znajduje się wciśnięta skórzana czerwona flaga. Usta są szeroko otwarte, widać cztery białe kły, ma troje oczu i straszliwie zagniewany widok”.

Oficjalną państwową wyrocznią Tybetu jest Neczung. Kolejni mnisi pełniący tę funkcję są medium demona o imieniu Pehar, którego według nauk buddyzmu tybetańskiego w VIII w. podporządkował sobie Guru Rinpocze, tantryczny buddyjski mistrz Wadźry. Mediumizm to odmiana spirytyzmu, toksycznej duchowości, której istotą jest oddanie woli i ciała człowieka w stanie transowej nieświadomości we władanie bezcielesnej inteligencji przemawiającej przez niego. Współcześnie żyjący mnich będący wyrocznią Neczung jest bliskim współpracownikiem dalajlamy.

Natomiast duchową opiekunką dalajlamy, duchowego i politycznego przywódcy Tybetańczyków jest Palden Lhamo, demoniczna istota o trojgu oczu, galopująca na mule w siodle zrobionym ze skóry małego dziecka przez morze krwi, w którym pływają odcięte kończyny i głowy, wyprute oczy i wnętrzności wrogów doktryny buddyjskiej.

„Celem nadrzędnym Programu Po-wszechnej Edukacji Buddyjskiej jest dostarczenie młodej osobie wiedzy i narzędzi opartych na naukach Buddy, pozwalających jej na bardziej świadome, lepsze, pełniejsze i bardziej znaczące życie. Młody człowiek powinien otrzymać inną perspektywę otaczającej rzeczywistości niż narzucane przez dominującą narrację poddanie się jednostki zewnętrznym hierarchiom i autorytetom za cenę zagubienia wrodzonego poczucia zachwytu, ciekawości i solidarności z wszystkimi istotami”.

„Jeśli chcielibyście zostać edukatorami buddyzmu w szkołach publicznych (i niepublicznych) wejdźcie na [naszą] stronę...”



WOJNA CYWILIZACJI

Warte Premierowy „*Kraj świętych i grzeszników*” zapowiada się jak kolejny kryminalny produkcyjniak z Liamem Neesonem. Cierpią niewinne i bliskie mu osoby, więc przechodzący na emeryturę zabójca na zlecenie Finbar Murphy wyrusza na prywatną wojnę z krzywdzicielami. Rzecz dzieje się w 1974 r. w Irlandii, antagonistką Finbara jest przywódczyni bojówki IRA Doireann McCann. Grają ją Kerry Condon z pewnością zasłużyła na otrzymaną kilka lat temu nagrodę BAFTA oraz na nominacje do Złotego Globu i Oscara. Genialną kreację w „Kraju świętych i grzeszników” tworzy Ciarán Hinds, mimo że scenariusz właściwie nie zaferował mu nic do zagrania. Czasami jednak wystarczy, że aktor pokaże nam na ekranie po prostu żywego człowieka. Z mimiką, sposobem mówienia czy gestem, który wielokrotnie widzieliśmy w prawdziwym życiu. Nietuzinkową postać tworzy też Jack Gleeson, znany z roli Joffreya Baratheona w „Grze o tron”. Obsada w ogóle jest atutem tego dramatu.

Historia zaczyna się od tragicznego w konsekwencjach zamachu bombowego, potem giną kolejni ludzie. Ci, na których Finbar ma zlecenie, potem terrorysta za molestowanie dziewczynki z sąsiedztwa, wreszcie nakręca się koło krwawej zemsty, by dojść do wybuchowego finału. Jednak na szczęście Neeson nie gra po raz 15. Neesona z filmów z Neesonem. Jest ciekawiej, szerzej. Tło stanowi niespokojna Irlandia i oszczędnie sportretowana lokalna wspólnota. Mamy nawet subtelny wątek platonicznej miłości. Jest tak jak w życiu. Są rzeczy niespełnione i niepodjęte, są marzenia o Kalifornii i bezimienny kot w roli doniczkowej *Aglaonema stripes* Leona Zawodowca.

Pięknie sfotografowane irlandzkie krajobrazy są głębokimi pauzami w zajmującej opowieści. A tej w dużej mierze udaje się ucieczka przed banaliami i stereotypami kina akcji. Film ma swój klimat, dobrą muzykę i pewną niejednoznaczność. Można spokojnie poświęcić mu kilkadziesiąt minut.

Warte Kolejna wznowiona powieść z serii postapo z pomarańczowym trójkątem na okładkach: survival horror rozgrywający się w uni-

wersum gier komputerowych S.T.A.L.K.E.R., czyli „*Wedle zasług*” Sławomira Nieściura.

Najeżona śmiertelnościami anomaliami Zona, Czarnobylska Strefa Wykluczenia, parada mutantów, zbrodnicze eksperymenty, tajne laboratoria, komputerowe symulacje przekładające się na twardą rzeczywistość, postsowiecka mentalność naukowców i żołnierzy, a na tym tle splecione historie bohaterów – łowczych Jusupowa i Rybina, samotnego wilka por. Waruchina oraz grupy Mietkina, głównego antybohatera. Książka składa się z pięciu części, nie rozdziałów. Część pierwsza „Wilki” zachwyciła mnie. Kompozycja, tempo opowieści, nagły zwrot akcji i płynące z niego piętrowe fabularne konsekwencje. Potem jest gorzej, ale nie, żeby źle. Cały czas jesteśmy ciekawi kolejnych pułapek, które zastawia na człowieka gwałcona promieniotwórczymi emisjami Zona, frapując niejasne, powoli odkrywane przez narratora uwarunkowania i cele zakulisowych kreatorów rzeczywistości.

Postacie bohaterów opowieści są żywe, jednym kibicujemy, drugim wprost przeciwnie. Czego chcieć więcej od literatury rozrywkowej?

Podobnie jest z następnym tomem pomarańczowej serii – powieścią „*Ostatniego zeżrą psy*” Sławomira Nieściura. Z tym że w tej historii jeszcze wyraźniejszy jest motyw uwikłania zwykłych ludzi w zbrodnicze intrygi odległej, mglisto zarysowanej władzy. Ten kryminał, rozgrywający się w stalkerskim świecie anomalii, mutantów i artefaktów, ma bardziej uniwersalne przesłanie niż większość powieści z tego cyklu. Poruszająca jest bowiem uwypuklona tu bezbronność „normalnego życia” wobec bezdusznych mechanizmów, za którymi mogą stać nie tylko interesy, lecz także ignorancja, zbrodnicze intencje i zwykła głupota. Oby konserwatywna strona wojny cywilizacji nie ugrzęzła we własnej mitologii. Ani idealizacje, ani racjonalizacje nie są twardą skałą, na której warto budować wille, dworki i katedry.

Robert Tekieli
Polskie Radio

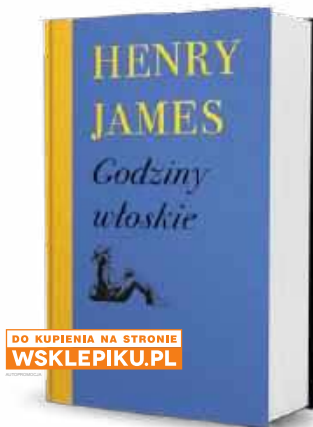


Błogosławione godziny

Wwakacyjny czas możemy spokojnie odnowić znajomość z Italią. Nawet przesiadując na balkonie, parku czy w fotelu ze szklanką orzeźwiającego bity i z wydaniem po raz pierwszy po polsku czymś w rodzaju przewodnika prozą autorstwa Henry'ego Jamesa. Zbiór tych esejów powstał w momencie potężnych zmian, które zaszły we Włoszech na przełomie XIX i XX w. Gdy te porewolucyjne zaczęły gwałtownie wrastać w feudalne, a do miast wkroczyła także turystyka z całą swoją wulgarnością. Już wtedy stały się one celem snobistycznych eskapad, baczem pełnym tandety sąsiadującej z bezcennymi dziełami malarzy i budowniczych. Ale, jak przekonuje Amerykanin, ich własność należy przecież do „nas”, a to „nasze” to ofiara złożona pięknu. Włóczęgi po Rzymie, Rawennie, Florencji i Wenecji uczą bowiem, że Włosi upiększali swoje życie sztuką, spontaniczną i radosną. „Mieszkamy w kretowiskach, a tylko Oni zbudowali prawdziwą cywilizację” – zauważa James. Odurzają go zarówno zapachy ogrodów, jak i gnilny odór weneckich kanałów. Piękne wydają się nawet wyszlizgane cegły, poobijane i brudne marmury czy porozwieszane pranie. Ale przede wszystkim obrazy, setki obrazów, kościołów i klasztorów, willi i pałaców. W Wenecji „próg odczuwanej przyjemności” raz na zawsze zostaje podniesiony na maksymalny poziom. Blask otaczającego splendoru nie znika nawet wtedy, gdy odwracamy się plecami od bazyliki Salute czy Świętego Marka. Przejazdka Canal Grande jest zarazem poobiednią sjęstą i żywą lekcją historii architektury. Każdy z mijanych „eksponatów” zdaje się jednak „znacznie mniej wulgarny niż to, jaki robi się dziś z niego użytek”. Przygasił majestatem przytłaczając także florenckie wille, zamienione na tanie kwatery dla turystów.

Włoskie miasta zdają się być grobowcami przeszłości, a ich kustoszami żebracy i handlarze pobierający „cło od ciekawości”. Najpiękniejsze obrazy butwieją i blakną w zakamarkach bocznych kaplic i zakrystii. Pisarz jest przekonany, że niszczące w zatrwającym tempie dzieła Tintoretta z San Rocco bezpowrotnie zgniją, popadając w zapomnienie.

Wrażliwy Amerykanin dostrzega schizmę między starym a nowym porządkiem. „Odkąd Italia się zjednoczyła, karnawał leży w gruzach” – zauważa. To genialna obserwacja – wszak w czasach wolności i równości karnawał trwa nieustannie i nikt go nie zauważa.



Henry James, „Godziny włoskie”, Próby 2021



Maciej Walaszczyk

Zgodnie z przyjętą zasadą Kárpátia co roku wydaje jakąś płytę. Lider słynnej kapeli János Petrás już kiedyś wyjaśniał, że dzieje się tak, bo zawsze mają ludziom coś do przekazania. Twórczość zespołu jest więc stale odnawiającą się historią, ożywianą narodowymi sentymentami, narodową samoświadomością i panującą wokół polityczną gorączką. Od ponad dwóch dekad rozbudzając silny nurt narodowego rocka na Węgrzech.



Kárpátia, „Legendárium”, 2024

Rockowy legendarz Kárpátii

Kárpátia odnawia wobec tego też swoją przysięgę złożoną na Świętą Koronę Węgierską (Hősök). Płyta „Legendárium”, wydana raptem przed kilkoma tygodniami, to zbiór znanych utworów nagranych na nowo, czasem mocno przearanżowanych, mających wybrzmieć jeszcze raz, także na koncertach, które zespół gra w ostatnim czasie z wielką intensywnością, gromadząc komplety publicz-

ności. Nagrane ponownie piosenki cechuje charakterystyczny, heavy metalowy połysk. W kilku miejscach muzycy ewidentnie puszczaają oko do słuchacza, dyskretnie wplatając

w nie cytaty słynnych metalowych potęg. Ale nie ma obawy, przez kilkadziesiąt minut słuchamy wciąż tej samej, grającej z pasją Kárpátii, a János Petrás zgodnie z zasadami legendarza wyklada tu swe posłanie. Miejmy „ufność w starożytną cnotę” („Bizalmam az ősi erényben”) – cytuje wręcz literalnie węgierskie motto królewskie cesarza Franciszka Józefa. Wierzymy w Boga oraz zmartwychwstanie i walczymy, bo niebawem przyjdą tu po nas „ci, co w milczeniu zajmą nasze miejsce”. Czułe przywołuje też wspomnienie, gdy jego rękę trzymała silna ojcowska dłoń. „Miło byłoby posłuchać jego mądrych słów i zaakceptować wszystko, co chciał przekazać” („Jó lenne”). „Magyarnak születtem” po 17 latach od premiery przybiera nową, mocno brzmiącą formę – powstała bowiem na zlecenie Magyar Harcos Liga w celu promocji zawodników walczących w oktagonie. Kilku z nich nawet słyszymy gdzieś w refrenach. „Csendes a Don” to z kolei hold złożony węgierskim żołnierzom poległym w mroźne dni stycznia 1943 r. (minus 40 stopni) w bitwie w zakolu Donu opodal Woroneża. Sowiecki kontratak rozbił węgierski korpus, zginęło ok. 100 tys. ludzi. „Zaakceptuj to, jakim cię urodziła twoja matka i nie kłóć się z Bogiem!” – napomina w „Barát, vagy ellenség”. Słusznie i miejmy nadzieję, że przemówił do rozumu pogubionym owieczkom.

Antyrewolucyjna antologia

Rewolucja francuska uruchomiła procesy, których konsekwencje wciąż odczuwamy. Jedną z ostatnich będzie brak chętnych do organizacji 300-lecia jej obchodów. Nowych islamskich Francuzów nie będzie to przecież interesowało

W lipcu mija kolejna rocznica wybuchu rewolucji francuskiej. Wydarzenia, które w radykalny sposób naruszyło fundamenty naszej kultury, a jego konsekwencje na poziomie politycznym zdają się być nieodwracalne. Jeden z tekstów zawartych w tym opasłym i niezwykle kompetentnym zbiorze zawiera pytanie: „Czy będziemy świętować 300-lecie rewolucji?”. Stawiający je Jean Sévillia przypomina, że zasadę radykalnego zerwania z poprzednim światem i ambicję stworzenia nowego człowieka kontynuował krwawy eksperyment komunistyczny. Choć poniósł fiasko, dokonał nieodwracalnych przekształceń. Zdaniem autora jeśli przyjdzie nam zmierzyć się z nową falą destrukcji człowieka, jej źródłem będzie ta sama, narastająca negacja godności natury ludzkiej i – przed czym przestrzegał Jan Paweł II – banalizowanie „kultury śmierci”. Wolność, równość, braterstwo to, przywołując myśl Chestertona, „chrześcijańskie ideały doprowadzone do szaleństwa”. Rewolucja wyrosła na chrześcijańskim podglebiu, ale prowadząc do jego zaniku, usuwa również własne źródła i staje się niezrozumiałą dla samej siebie.

Co pozostaje? Pogłębiająca się dekadencja, upadek ducha i woli, zezwolenie na kolonizacyjną imigrację, która – zgodnie z dzisiejszymi szacunkami – w 2089 r. doprowadzi do sytuacji, w której „nowi Francuzi” wyznania muzułmańskiego nie będą chcieli świętować kolejnej rocznicy wydarzeń z 1789 r. Dlaczego? Bo zasadnicze myślenie rewolucyjne jest niezgodne z antropologią islamu. No chyba że nastąpi powrót chrześcijańskiej wiary i jej kultury, ale wtedy również dla tych odrodzonych w duchu Francuzów będą zapewne pilniejsze sprawy niż świętowanie, a nawet kontestowanie takiej rocznicy. Recepcja rewolucji wciąż się zmienia.

Ta antologia, zredagowana przez dominikanina Renauda Escande'ego, gromadzi jej nowe interpretacje, m.in. teksty Stéphane'a Courtois'a, redaktora słynnej „Czarnej księgi komunizmu”. Dotyczą one m.in. legendy o „zdobyciu” Bastylii, zbrodni politycznych, utopijnego technokratyzmu, przeja-



„Czarna księga rewolucji francuskiej”, red. Renaud Escande, Dębogóra 2015

wiającego się choćby w kwestionowanym nawet dziś podziale administracyjnym Francji czy zagładzie skonfiskowanych klasztorów zbiorów bibliotecznych. To także mistyfikacja postaci króla Ludwika XVI jako tyrańca, a faktycznie człowieka słabego. Ten mit miał bowiem uzasadnić pozbawienie go tronu i likwidację systemu stanowego, co doprowadziło do zburzenia politycznej równowagi i zamachu stanu, ustanawiającego prawdziwą tyranję z terrorem i anarchią.

Jak pisze w przedmowie prof. Grzegorz Kucharczyk, piekło totalitaryzmu nie polega na tym, że jako ideologia czy ustrój jest on daleko od człowieka, tylko na tym, że jest bardzo blisko niego i wciąż się nim interesuje. Jego wyrazem jest rewolucja w prawodawstwie, dążąca do rozluźnienia więzi rodzinnych przy jednoczesnym zacieśnieniu ich między jednostkami. Napędza ją antropologiczny zwrot chcący wyjąć dzieci spod władzy rodziny, człowieka z lokalnej wspólnoty i religii. Rewolucja na gruncie prawa prywatnego

i zwyczajowego ma przynieść korzyść polityczną, dlatego piętnuje się nadmiar „osobistych uczuć” tam, gdzie mają go dzielić one w interes publiczny, zaatakowany zostaje autorytet ojca i męża, a rodzina oskarżona o hamowanie „obywatelskiej energii”. Jednak władza republikańska, planując uprościć zwyczajowe kodyfikacje, produkuje tysiące ustaw, prowadząc do inflacji prawa i chaosu. Taranem przejechał się po nim dopiero kodeks napoleoński, narzucający brutalnie „skodyfikowaną wizję rewolucyjnego państwa”.

Druga część książki to szkice zawierające portrety i poglądy przeciwników rewolucji, m.in. Louisa de Bonalda (wielkość władz niszcząca ich jedność), Rivarola (krytyka praw człowieka i fanatyzmu filozoficznego), Léona Bloya („Volter jako przedostatnie wcielenie Molocha i jego ostatni awatar przed Robespierrem”), Hannah Arendt („wyzwalanie” przeciw wolności) czy Charles'a Maurrasa (m.in. krytyka centralizacji niwelującej tradycyjne formy społeczeństwa). Są one aktualne, dowodzą przenikliwości autorów, którzy przewidzieli charakter nadchodzących totalitaryzmów i demokracji. ▀



PAWEŁ KOCZUR

PRZEDSIĘBIORCA

Tysiąc kilometrów do proroka Eliasza

Ruszyliśmy przez Polskę z Krakowa nad Bałtyk, by zebrać pieniądze na film o proroku Eliaszu, którego ma zagrać Kamil. Kilometr po kilometrze zauważaliśmy, że ta droga przybliży nas do filmowego celu, lecz przede wszystkim daje spotkania z drugim człowiekiem. Spotkania, które naprawdę dużo zmieniają w nas i – mam nadzieję – poznanych na tej drodze ludziach.

Wystartowaliśmy 12 czerwca spod katedry na Wawelu. Zjechaliśmy na Rynek, gdzie odbyła się Eucharystia, a potem ruszyliśmy w trasę. Na początku mieliśmy trochę problemów technicznych. Złe ustawiona zbieżność kół w wózku sprawiała, że ciężło nam opony, ale w końcu udało się je odpowiednio ustawić. To było pierwsze doświadczenie życzliwości i chęci

pomocy. W tym przypadku nie tylko wymiany opon, lecz także otwarcia na potrzeby naturalne, np. jedzenie [uśmiech].

W Jaworznie, do którego w końcu dotarliśmy, odbyło się pierwsze spotkanie z 11 zaplanowanych. Pokazujemy podczas nich film dokumentalny „Droga Eliasza”, 52-min. zapis trasy teatru do Laponii, a potem rozmawiamy. Na tym właśnie polega cała idea Teatru Exit – na spotkaniu z drugim człowiekiem, wymianie zdań, myśli i odczuciach po projekcji lub spektaklu.

Mieliśmy do pokonania 1 tys. km. 16 odcinków. Codziennie od 30 do 90 km. Trasa: Wawel–Jaworzno–Katowice–Żarki–Częstochowa–Belchatów–Łódź–Skierniewice–Warszawa–Płońsk–Sierpc–Touń–Grudziądz–Pelplin–Kolnik–Gdańsk–Westerplatte.

Przeżywaliliśmy sporo trudności. Najbardziej dawały się we znaki upały, zwłaszcza Kamilowi, który siedział dość nisko w wózku – od rozgrzanego asfaltu było ciepło, a on miał jeszcze zasuwaną moskitierę, która utrudniała przepływ powietrza. Kiedy zatrzymywaliśmy się na trasie, wzbudzaaliśmy zainteresowanie, ale pozytywne. Dla mnie ta droga była wysiłkiem fizycznym i sprawdzianem wytrzymałości, lecz przede wszystkim możliwością przemyślenia różnych spraw.

Po raz pierwszy spotkałem się z Maciejem Sikorskim (dyrektorem i reżyserem) na premierze filmu „Tobiasz”. To było ok. siedem lat temu. Bardzo mnie poruszył zarówno film, jak i ludzie, którzy go stworzyli. Exit to teatr, w którym główną rolę grają osoby z niepełnosprawnościami. Biorą udział w sztukach i filmach, które powstały na podstawie treści biblijnych, tak bardzo uniwersalnych. Do ponownego spotkania doszło dwa lata temu, na konferencji duszpasterstwa Talent, którego jestem członkiem. Maciej dawał tam świadectwo, potem rozmawialiśmy i znów odżyło we mnie pragnienie włączenia się w działalność prowadzonego przez niego teatru. Jednak dopiero w ub.r., kiedy szedłem ulicą Czapskich w centrum Krakowa i zobaczyłem Macieja stojącego z aktorami przed klubem Buda, gdzie Exit ma swoje próby, przyjąłem zaproszenie na kawę. I tak już zostałem.

Zawodowo zajmuję się budownictwem i nieruchomościami. Działania Teatru Exit wspieram z potrzeby serca i ducha. Kiedy pojawił się pomysł na trasę promocyjną najnowszego projektu – filmu „Eliasza” z Kamilem Padlikowskim w głównej roli (chodziło o zebranie funduszy na realizację, a potrzeba jeszcze ok. 1 mln zł) – na pytanie, czy mógłbym, jadąc na rowerze i ciągnąc wózek-przyczepkę z Kamilem, pokonać trasę od Krakowa do morza – od razu powiedziałem „tak”. Choć nie jestem wytrawnym kolarzem i mam za sobą parę kontuzji. Dla mnie to kolejny cud: że daję radę. Kiedy rozpoczną się zdjęcia do filmu „Eliasza”? Niezwłocznie po zebraniu kwoty potrzebnej na produkcję. Cały czas się do tego przygotowujemy. Jesteśmy w drodze.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna
Filmowy projekt Teatru Exit można wspierać m.in. poprzez ich stronę



SŁODKO-SŁONY

Smakotyki na szlaku

ANNA MONICKA

Snując się po Dolnym Śląsku, ciągle trafiam na nieodkryte lub mało znane perełki. Również te związane z kuchnią. Z regionalną bywa różnie. Niestety zazwyczaj jest tłusta, chociaż nie można jej odmówić smaku. I chociaż ciągnie mnie do flaków czy żurków albo placków ziemniaczanych, po kilku próbach okupionych wizytą w aptece, bo wątroba oprotowała tradycyjny polski obiad, przerzuciliśmy się z córką na sałatki, ewentualnie okraszone pieczonym ziemniakiem, bo przynajmniej „koń, jaki jest, każdy widzi”. Do czasu.

Któregoś dnia wybrałyśmy się do Arboretum w Wojsławicach. Uwielbiamy stare parki i ogrody dendrologiczne, więc nie mogłyśmy sobie odmówić wizyty w tym miejscu, zwłaszcza że akurat zaczęły kwitnąć bajecznie kolorowe lilie – rośnie ich tam ponad 3,5 tys. odmian. Jest to kolekcja narodowa, największa w Polsce i jedna z największych w Europie. Po trzygodzinnej wędrówce w upale po pagórkach wśród kwiatów zachciało nam się jeść. Wprawdzie przy wejściu dostałyśmy reklamówki lokalu, który nieopodal serwuje domowe przysmaki, ale byłyśmy nieufne. Zatrzałyśmy za to do barku w Arboretum, gdzie można przekąsić nie tylko ciastko, lody czy kawę. Nie przypomina eleganckiej restauracji, każdy bierze tacę i sam nakłada na talerz tyle, ile zdoła pochłonąć. Na koniec talerze są ważone i płacimy. Menu jest krótkie – oczywiście mięsożercy mają lepiej, ale i wegetarianie będą zachwyceni. Przepyszne marchewki w słodkim sosie chili, duszone w ziołach cukinie, kartofelki z rozmarynem, surówki – wszystko świeże i pachnące. No i król jadłospisu – dorsz w cytrynowym sosie z pełnoziarnistą musztardą francuską. Palce lizać! Zdecydowanie był to najlepszy wakacyjny obiad i przy okazji dowód na to, że dobry pomysł to podstawa.

Kolejna niespodzianka czekała w Kłodzku. Ponieważ dopadła nas solidna burza, poszukałyśmy schronienia w małej kawiarence przy kościele. Tort bezowy – rewelacja, ale najbardziej zadziwił mnie napar rokitnikowy. Owoc ten, uchodzący za jeden z najzdrowszych, u nas jest kompletnie nieznany i rzadko kto go wykorzystuje. Połączony z imbirem i sokiem z cytrusów smakuje genialnie i stawia na nogi wędrówców, którzy przeszli już kilkanaście kilometrów. Córka wyczytała na afiszu, że Kavosh, czyli ta kawiarenka, zdobyła drugie miejsce na Dolnym Śląsku. Absolutnie zasłużone. ▀



WILCZYM OKIEM

Polski Pantanal

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pantanal to olbrzymia równina w Brazylii, Paragwaju i Boliwii, ma powierzchnię wielkości dwóch trzecich powierzchni Polski. Jej nazwa wywodzi się od portugalskiego słowa pantano, czyli bagno. Co roku jest zalewana przez rzekę Paragwaj – wtedy na pewien czas zmienia się w olbrzymie jezioro kilkumetrowej głębokości i staje się domem ryb oraz innych niezliczonych organizmów wodnych.

Po pewnym czasie woda zaczyna opadać. Wiele ryb wraca wówczas do rzek, jednak spora część zostaje odcięta w zagłębieniach, które szybko stają się coraz mniejszymi jeziorkami, oczkami i w końcu błotnistymi kałużami. Ryby nie mają się gdzie skryć w coraz płytszej wodzie, coraz bardziej brakuje im też tlenu. Dopóki mogą, podpływają do powierzchni, rozpaczliwie próbując uzupełnić jego brak i lękają powietrze atmosferyczne. Nie zdaje się to na wiele i wkrótce leżą na błotnistym, tracącym wilgoć dnie. Na to czekają inne stworzenia.

Pierwsze pojawiają się ptaki. Prym wśród nich wiodą czaple, mogące najpierw brodzić po pływaczach, a później spacerować po suchym już lądzie i wybierać ryby, dopóki są w stanie odpowiednim do zjedzenia. W szybkim napełnieniu żołądka pomaga im zdolność do polykania nawet bardzo dużych sztuk.

Przyroda to różnice. Pantanal i Polska bardzo się różnią pod względem uwarunkowań przyrodniczych i zamieszkujących je zwierząt. Przyroda to jednak też podobieństwa.

Parę lat temu podczas eksplorowania brzegów środkowej Wisły byłem świadkiem sceny, która równie dobrze mogła rozgrywać się w Brazylii, tym bardziej że ten późnowiosenny dzień był bardzo gorący. Wędrując przez gęste ziołorośla, zauważyłem czapłę siwą – z bujnej roślinności wystawała tylko jej głowa. Chociaż obok płynęła rzeka, czapla nie siedziała swoim obyczajem nad jej brzegiem. Chwilę później odkryłem przyczynę nietypowego zachowania. W tym miejscu teren się obniżał, a na dnie zagłębienia widniało lustro wody. Nie było to starorzecze, w którym utrzymuje się ona cały czas, lecz dół zalany jakiś czas temu podczas wezbrania. Półki co woda była dość głęboka, a dno niewidoczne, ale skupienie czapli wskazywało na to, że są tam uwiecznione ryby, które podczas zalewu oddaliły się od koryta rzeki i wkrótce będzie miała tam miejsce scena jak na Pantanal. ▀

Obrotowa głowa SOWY

*Sowy są najmądrzejszymi
ptakami. Literacko na pewno.
Ale czy to prawda?*



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Co było pierwsze – sowa jako symbol mądrości, przynależny w związku z tym bogini odpowiedzialnej za tę dziedzinę, czy przyporządkowanie Atenie, a dopiero później splendor mądrości spłynął na tego nocnego ptaka? W kwestii inteligencji sów są to sprawy bez większego znaczenia. Pozostaje jednak pytanie: czy sowy są mądre?

W kwestii bystrości umysłu na pewno ustępują wielu krukowatym albo papugom. Te ostatnie w niektórych sytuacjach dzięki błyskotliwości intelektu potrafią wodzić za nos ssaki, np. psy, a także ludzi. Byłem kiedyś uczestnikiem sytuacji, w której papuga amazonka, jak się później okazało, żadna zainteresowania, wpadła

z impetem w krzak, potem udawała ranną, dając się karmić nektarodajnymi kwiatami, które dyskretnie wypłwalała, a wkrótce potem dosiadła się do dwójki osób grających na werandzie w szachy (wszystko rozgrywało się w tropikalnym plenerze) i udawała grę, biorąc do łapy figury i oglądając je z pozorowaną rozumą. Jakiś czas później widząc, że przestaje budzić zainteresowanie, straciła figury z szachownicy, dziobnęła boleśnie w nos siedzącego obok psa, hałaśliwie poleciała za róg domu, a kiedy zwierzak popędził za nią, cichutko wróciła do stolika.

POZORY MYŁĄ

Ale wróćmy do sów (ptaków z rzędu *Strigiformes*). Przekonanie o ich mądrości bierze się z pozorów, które stwarzają chociażby wielkie, nieruchome oczy. Brak ruchliwości gałek ocznych, położonych w dodatku nie tak jak u większości ptaków w sposób zapewniający szeroki kąt widzenia po bokach głowy, lecz w płaskiej części twarzowej nazywanej szlarą, re-

kompensują zdolnością obracania głowy o 270 stopni. Dodatkowo, kiedy widzi się ptaka z wielką głową, który nie skacze tu i tam jak sikorka czy wróbel, tylko siedzi dostojnie i cicho, zachowując powagę i obserwując nas z zakamarka strychu lub z wysokiego konara na długo przed tym, nim my go zauważymy, wtedy poczucie, że ma się do czynienia ze stworzeniem mądrym, nasuwa się nieodparcie.

Mimo że to wrażenie jest nieco mylne – bo sowy nie są zwierzętami o mądrości wyraźnie wykraczającej poza zakres spotykany u ptaków – sowom nie można odmówić wielu uzdolnień. Wyczulenie zmysłu wzroku połączone z innym kształtem gałek ocznych, a także niezawodny słuch (niesymetryczne ułożenie otworów usznych pozwala sowie namierzyć gryzonia nawet w kompletnych ciemnościach albo pod warstwą śniegu) to niewątpliwe cechy wyróżniające te ptaki, cechy zmysłów wymagające sprawnie obsługującego je mózgu, zdolnego do analizowania wielu informacji. Jak każdy drapieżnik sowa musi się wykazać bystrością, prze-

wyższą, przynajmniej w niektórych przypadkach, sprawność swoich ofiar, którymi zawsze są inne zwierzęta – od owadów przez pajęczaki, ryby po inne ptaki i ssaki.

Poszukiwania i obserwacje sów są niesamowicie fascynujące. W świecie przyrody mało jest spektakli czy zjawisk wywierających wrażenie równe temu, którego doznaje się, gdy w ciemnym, pozornie śpiącym lesie usłyszysz się gwizd sóweczki albo kiedy niesamowitego repertuaru głosowego sowy uszatej słucha się pośrodku miasta. To jakby nagle znaleźć się w uniwersum Harry'ego Pottera, w którym obowiązują inne prawa i w którym miejsca, uważane przez nas za znajome, są zasiedlone przez osobiwe stworzenia.

DZIESIĘĆ PLUS TRZY

W Polsce mamy aż dziesięć gatunków lęgowych sów oraz dodatkowe trzy, które bywają obserwowane, lecz dotychczas najprawdopodobniej nie zakładały u nas gniazd. Niewiele krajów w Europie może się pochwalić podobną populacją tych ptaków. Polskę premiują położenie w centralnej części kontynentu, łącznie jednocześnie z odleglejszą północą i (trochę utrudniona łańcuchami gór) z południem. Do tego całkiem spore obszary przyrodnicze, które nawet jeżeli nie mają charakteru pierwotnego, to z pierwotności zachowały wiele kluczowych cech.

Najliczniej występującą polską sową jest puszczyk (*Strix aluco*). Występuje w dwóch odmianach barwnych: brązowej i szarej. Jego głos to najbardziej klasyczne pohukiwanie, oprócz tego jak każda sowa ma repertuar wokalny o różnym znaczeniu. Zasiedla nie tylko lasy, lecz także parki, a nawet centra miast. Te ptaki są na tyle liczne, że w zasadzie każdy z nas mieszka w obrębie rewiru jakiegoś puszczyka i prawie na pewno gdzieś obok, w odległości do kilkunastu minut piechotą znajduje się dziupla, strych albo komin, w których gnieźdzą się puszczyki. Niekoniecznie zdajemy sobie z tego sprawę.

Na drugim miejscu pod względem liczebności jest sowa uszata zwana uszatka (*Asio otus*). Jej głowę zdobią „uszy” z piór, podobnie jak u puchacza – uszatka osiąga jednak wielkość gołębia, natomiast puchacz to dziesięciokrotnie cięższy od niej

gigant. Zamiast dziupli i otworów w budynkach uszatki wybierają stare gniazda wron i srok albo wywieszane specjalnie dla nich kosze lęgowe. Poza płomykówką to właśnie uszatka wydaje najbardziej zróżnicowane głosy: od szczekania, którym lubi irytować psy, przez głośnie klaskanie skrzydłami aż po wrzask upiora, wydawany, kiedy z zaskoczenia przelatuje nad głową osoby, która przypadkiem pojawiła się przy jej gnieździe.

SZPONAMI W OCZY

Na południu, zwłaszcza w Karpatach, lokalnie częstszy od puszczyka zwyczajnego może być puszczyk uralski (*Strix uralensis*). Ta spora sowa ma jasne, nieco wyblakłe ubarwienie i często bywa aktywna w ciągu dnia. Jeżeli człowiek próbuje zbliżyć się do gniazda „urala”, ten atakuje z ukrycia, dziobiąc bardzo mocno w tył głowy oraz celując w oczy i twarz szponami zdolnymi do rozerwania niemalych zwierząt.

Od pewnego czasu w Polsce gnieździ się jeszcze jeden gatunek puszczyka – pochodzący pierwotnie z północnej tajgi puszczyk mszarny (*Strix nebulosa*) o wspaniale żółtych oczach, białych niby-wąsach i nadających dzikiego uroku koncentrycznych kręgach na szlarze, czyli sówiej twarzy.

BIAŁA DAMA I SÓWKA WRÓBELEK

Mamy to szczęście, że w naszym kraju możemy spotkać zarówno puchacza (*Bubo bubo*) – olbrzyma o wadze kilku kilogramów i rozpiętości skrzydeł dochodzącej do dwóch metrów, będącego największą sową świata, jak również sóweczkę (*Glaucidium passerinum*), pogwizdującą miniaturkę; drugi człon jej łacińskiej nazwy wskazuje na to, że jest niewiele większa od wróbla – to jedna z najmniejszych sów na Ziemi.

Trochę większa od sóweczki jest włochatka (*Aegolius funereus*), nazywana także względem na pióra porastające jej łapy aż po szpony. Zarówno sóweczka, jak i włochatka to rzadkie mieszkanki gór oraz lasów porastających północny wschód Polski.

Z terenami rolnymi, gdzie rosną ogłowie, próchniejące i dziuplaste wierzby, jest związana pójdzka (*Athene noctua*). To właśnie ta brązowa, biało nakrapiana sówka

ma w swojej nazwie naukowej nawiązanie do starożytnych mitów i bogini Ateny.

Z kolei płomykówka (*Tyto alba*) jest chyba najpiękniejsza wśród sów: jej duże, czarne oczy kontrastują z białą szlarą w kształcie serca. Pozostała część upierzenia prezentuje rozmaite odcienie ochry oraz popielu urozmaicone kropkowanymi wzorami. Ze względu na zamieszkiwanie do gnieźdzenia się w ciemnych zakamarkach strychów, wież kościołów i zamków, wydawane tajemnicze krzyki, jasną sylwetkę odbijającą się od ciemnych budynków i skłonności do straszenia płomykówka jest nazywana białą damą.

Ostatnią z sów lęgowych żyjących na terenie Polski jest sowa uszata, czyli uszatka błotna (*Asio flammeus*). Zgodnie z nazwą gnieździ się pośród bagien (np. na słynnych bagnach biebrzańskich), polując tam przede wszystkim na gryzonie. Jest mocno związana z ich liczebnością – w latach nazywanych mysimi, kiedy populacje gryzoni osiągają szczyt liczebności, sowy błotne odchowują znacznie więcej piskląt, by w kolejnych latach wraz ze spadkiem liczby ofiar wyraźnie ograniczyć liczbę składanych jaj.

SOWA ŚNIEŻNA I INNE EWENEMENTY

W Polsce pojawiają się jeszcze trzy gatunki sów. Niekiedy wskazuje się, że w przeszłości mogło dochodzić do pojedynczych przypadków ich lęgów, lecz brak na to jednoznacznych dowodów.

Z południa przylatuje do nas syczek (*Otus scops*), niewielki nocny drapieżnik potrafiący – wyciągając się przy tym jak przecinek – tak wtopić się we wzór kory drzewa, że staje się praktycznie niewidoczny. Syczki gnieźdzą się np. na Węgrzech, a do nas przylatują sporadycznie. Rok 2024 jest pod tym względem wyjątkowy, ponieważ już teraz mamy potwierdzone obserwacje co najmniej czterech osobników (poprzednie obserwacje pochodzą z 2021 r.).

Czasami, niecorocznie i niemal zawsze na Podlasiu, obserwowane są sowy pochodzące z północy: sowa jarzębata (*Surnia ulula*), latająca w dzień i sylwetką przypominająca jastrzębia, oraz sowa śnieżna (*Bubo scandiacus*), która z powodu rozmiarów i pokrewieństwa jest też nazywana w działający na wyobraźnię sposób śnieżnym puchaczem.

I Bóg stworzył Wyspę Słońca

Dzień dopiero się zaczyna, a upał już daje się we znaki. Popijając cappuccino w portowym zgiełku, przyglądamy się wracającym z połowów kutrom. Tu wszyscy się znają i szanują, nie ma obcych, a czas jakby się zatrzymał. Sycylia żyje swoim rytmem



PIOTR OSTROWSKI

Jest godz. 7.00, a na nabrzeżu zbierają się już grupki mieszkańców miasteczka. Wypatrują rybaków, którzy właśnie cumują swoje sfatygowane, ale kolorowe łodzie. Wszyscy witają się krzykliwie, pozdrawiają, plotkują i wyciągają szyje, aby dojrzeć, co dzisiaj wpadło do sieci. Ktoś zje na obiad grillowaną doradę, kalamarnicę czy krewetki. Bo dobre jedzenie i wino to dla Sycylińczyków świętość.

Od rana słońce praży mocno, ale Castellammare del Golfo, 15-tys. rybackie miasteczko na północno-zachodnim

krańcu wyspy, budzi się powoli. Najpierw otwierają bary i kafejki, w których każdy szanujący się Sycylińczyk rozpoczyna dzień od cappuccino lub espresso. Poranne męskie spotkanie w ulubionej kafeiterii to taki sam rytuał jak mycie zębów. A w porcie wszystko jest najświeższe: ryby, rogaliki, kawa i co najważniejsze – informacje.

Miejscowi chętnie też rozmawiają z turystami. „Come stai?”. „Tutto bene!”. Tylko broń Boże nie zagadujcie o sycylijską mafię. Wiadomo, że Castellammare del Golfo to kolebka słynnej Cosa Nostry. Aż pięć nowojorskich rodzin wywodzi się z tej miejsciny i okolicy. Stąd właśnie pochodzi urodzony w 1905 r. Joseph Bonanno, jeden z największych bossów Ameryki, którego postać była podobno inspiracją dla Francisca Forda Coppoli do filmu „Ojciec chrzestny”. O pochodzącym z tego miasteczka capo di tutti capi opowiada film z 1999 r. „Bonanno:

historia ojca chrzestnego”. Ojciec Josepha „Joe” Bonnano Salvatore był miejscowym ojcem chrzestnym. Po jego śmierci młody Joseph wyjechał do wuja do Ameryki, gdzie dzięki kontaktom z ludźmi z Castellammare i nazwisku Bonnano staje się najmłodszym i najdłużej rządzącym ojcem chrzestnym. Zmarł w Stanach Zjednoczonych w 2002 r., ale jego liczna rodzina do dzisiaj żyje w Castellammare.

SIROCCO PACHNIE RYBAMI I ZIOŁAMI

Siedząc w portowym barze, przyglądam się grupce mężczyzn, którzy przy porannym espresso dyskutują i żywo przy tym gestykulują. Tu zawsze jest gwarno i tłoczno. Rano kwitnie handel, wieczorami zapelniają się nadbrzeżne restauracje. Od setek lat rybacy wyruszają stąd na połowy, głównie sardynek,

dorad, mieczników, labraksów, makreli królewskich, kałamarnic, ośmiornic, krewetek, a nawet płaszczyk, które, jak się okazuje, są prawdziwym rarytasem. Trzeba je jednak umieć wypatroszyć, gdyż w ogonach tych ryb znajduje się trujący jad. Widzimy, jak sprawne ręce starego rybaka za pomocą małego nożyka rozcinają żywą jeszcze rybę. Klient jest zachwycony, bo czeka go wyborna kolacja.

Ryby i owoce morza to ulubione potrawy Sycylijczyków. Gdy znad Afryki zawieje ciepły, ale bardzo silny wiatr sirocco, w całym miasteczku unosi się zapach smażonych ryb oraz świeżych ziół: rozmarynu i oregano, których aromat wydaje się intensywniejszy niż gdziekolwiek. Sycylijczycy zjadają się także pesce di spada, czyli miecznikiem. To prawdziwy morski potwór z nosem długim niczym szpada, którego wielkie cielsko kroi się na grube plastry i grillowane podaje ze świeżymi ziołami oraz cytryną. Rarytasem są oczywiście steki z tuńczyka, którego populacja w ostatnich latach znacznie jednak spadła, m.in. na skutek intensywnych odłowów.

WINNICE PO HORYZONT I SER NA KONIU

Sycylia stanowi ekonomiczny paradoks. To jeden z najbiedniejszych regionów Włoch, a przecież tak bogaty: wody obficie w ryby, złoża marmuru, piękne wybrzeże, zabytki, atrakcje turystyczne. Na urodzajnej sycylijskiej ziemi rosną gaje pomarańczowe, cytrynowe, migdałowe i oliwne, pola melonów, arbużów, papryki i bakłażanów ciągną się po horyzont. W tutejszych pasiekach powstają słynne aromatyczne miody. A sycylijskie specjały zna niemal cały świat. I wreszcie niekończące się winnice. Tamtejsze wina należą do najlepszych w Europie. W tym przekonaniu utwierdza mnie wizyta w winnicy Di Legami położonej między Trapani a Castellammare, do której zabiera nas Roberto, nasz sąsiad z naprzeciwka. Tam wita nas właściciel Giuseppe Di Legami, który prowadzi firmę założoną przez pradziadków. Na prawie 50 ha w rejonie Berlinghieri i Zafarana uprawiają wiele szczepów: od najbardziej znanego w Polsce czerwonego



nero d'avola i syrah przez białe grillo i chardonnay aż po endemiczną inzolię. Perłą winnicy i największą dumą właścicieli jest jednak uprawiany jedynie w pięciu miejscach na Sycylii szczep perricone, z którego wytwarzają wino Berlinghieri Perricone.

W pobliżu odwiedzamy jeszcze winnicę Pispisa. Dawno nie widziałem tak pięknej i malowniczo położonej agroturystyki. Pensjonat, basen i bezkres winnych krzewów. Jedzenie pyszne – pasta alla norma, czyli makaron z bakłażanem, oraz caponata – a jakże – z bakłażanem, selerem naciowym i pomidorami, oliwkami i kaparami. Tym razem wybór padł na merlota. Brakuje nam tylko sera.

Jedziemy zatem do małej lokalnej serowarni w pobliżu winnicy – Spatafora Formaggi. Tutaj grupki mieszkańców czekają na świeże wyroby. Rano na ciepłą jeszcze ricottę, a nieco później na bardziej tłustą specjały: uchodzący za specjalność Sycylii ser z owczego mleka primosale (rodzaj pecorino). Ten sam ser, dojrzewający co najmniej rok, zwany stagionato, jest ostrzejszy i twardszy. Nasz zachwyt wzbudza zrobiony z krowiego mleka caciocavallo. Formowany w kształcie bulw, przewiązany sznurkiem wisi trzy miesiące na drągu. „Cacio” oznacza ser, a „cavallo” to koń. Nazwa wzięła się więc stąd, iż kiedyś był transportowany na koniu w dwóch workach połączonych sznurem i zawieszonych po obu stronach siodła. Tutaj „skończyć jak caciocavallo” oznacza dać się powiesić. Oj, niejeden smakosz dałby się „powiesić” za takie sery.



PRAWIE JAK W DOMU

Po tygodniu znamy niemal pół miasteczka, w którym czas biegnie wolniej, a mieszkańcy, nie spiesząc się, przystają co chwilę, aby uciąć sobie pogawędkę z sąsiadem. Przed naszym ulubionym sklepikiem na ławce zawsze siedzą czterej starsi panowie. Już po kilku dniach wszyscy pozdrawiają nas jak dobrych znajomych. Sprzedawczynie ze sklepu



także, choć zwracają nam uwagę, że makaron kupiony u konkurencji nie jest prawdziwą busiatą – tę można znaleźć tylko u nich! To sycylijskie spaghetti to dość długi i gruby skręcony makron, który najczęściej przyrządza się alla trapanese lub alla norma, czyli z pomidorami, bakłażanami, zmielonymi pistacjami, oliwą i pecorino. Proste a pyszne. Bakłażany, które we włoskiej biedakuchni zastępowały niegdyś mięso, to specjalność Sycylii. Są podstawą zimnej przystawki caponata di melanzane i dodatkiem do wielu gorących potraw.

Postanawiamy sami przyrządzić busiatę z mięsem. Pobliski sklep mięsny, który prowadzi Sebastiano Russo razem z synem, szykował się do zamknięcia. Maszyna do mielenia mięsa już umyta... Jednak uczynny senior wychodzi z zaplecza i mówi, że nie ma sprawy. Wtem wyciąga ostry jak brzytwa tasak i zaczyna ciachać mięso. Sprawnie rozdrabnia nim wołowinę niczym najlepsza maszynka. – Kiedyś tylko tak siekaliśmy mięso – wyjaśnia.

Wieczorem wpadamy na prosecco i grappę do baru Quemado w Castellammare, który prowadzi Rosario Di Gregorio wraz z córkami i synem. Po kolejnym zamówionym kieliszku Rosario odwdzięcza się talerzem darmowych przekąsek. Stajemy przy stole z piłkarzykami i wkrótce rozpoczynamy turniej z lokalsami. Gromadzą się ludzie i nagle grze kibicuje cała jego rodzina i goście baru: Polonia kontra Italia! Pijemy kolejne wina, a familijna atmosfera zachęca nas, aby zapytać Rosario o rodzinę Bonnano. O dziwo, mówi nam, że doskonale ich zna i od lat się z nimi przyjaźni, a nawet ma wujka o tym nazwisku. – Ale jaka mafia? U nas nie ma żadnej mafii – uśmiecha się szeroko. – Szukajcie ich w wielkich centrach finansowych świata i korporacjach, gdzie są „białe kołnierzyki”. Nie na Sycylii, o nie! U nas jest dobre wino i radość życia. Taką Wyspę Słońca stworzył Bóg! – z uśmiechem podsumował Rosario. A mecz finałowy w piłkarzyki z jego córkami przegraliśmy, rewanż także – na wszelki wypadek.

VUCCIRIA, CZYLI SERCE PALERMO

Jest godz. 10.00, wysiadamy z busa Roberto na starym mieście w Palermo. Trochę tu nerwowo: karabinierzy, żoł-



nierze z długą bronią, policja i opancerzone wozy. I sporo biedy, zmęczonych twarzy, drobnych doliniarzy i żebraków. „Nie jest to Florencja ani Rzym” – myślę. Aby uspokoić emocje, siadamy w przytulnej kafeerii w wąskiej uliczce naprzeciw Teatro Massimo, gdzie już kłębią się turyści. Piję kieliszek grillo i chowam głębiej portfel. Po winie i kawie robi się trochę „bezpieczniej”, więc wyruszamy, by zwiedzić to legendarne miasto.

W swej surowości i niedbałości mimo wszystko jest piękne, a ludzie mili. Młody Włoch naganiacz od razu proponuje mojej żonie wieczorną randkę, wino, zwiedzanie, przejażdżkę dorożką. Czyli wszystko jest OK.

Nasz znajomy Sycylijczyk Roberto powiedział, że koniecznie musimy odwiedzić słynne Vucciria. Ów targ powstał już w XIII w., a że wówczas sprzedawano tu głównie mięso, pojawiła się nazwa z francuskiego – „boucherie”, zmieniona przez Sycylijczyków na „vucciria”, co w potocznej mowie oznacza „chaos”. Dziś pachnie tu rybami, a tutejsze powiedzenie, że „jak wyschnie Vucciria” – czyli nigdy – oznacza, że zawsze jest tu mokro i wilgotno. Faktycznie, targ ciągnie się wąskimi uliczkami, a polewane wodą ryby i warzywa tworzą klimat tego miejsca.

W tłumie przechodniów i kupujących zatrzymałem się na chwilę przed ogromnym kamiennym kołem do ostrzenia i witryną z nożami. Wtem jakiś facet mocno chwycił mnie pod pachę i wciągnął na próg sklepu, zaś drugi napierał od tyłu bym wszedł do środka.

– Co jest grane! – mówię poirytowany i spostrzegam, że osaczyło mnie dwóch niezbyt roslých i uśmiechniętych starszków w rzemieślniczych fartuchach...

Prawie 100 lat temu Salvatore Cambria otworzył tu niepozorny punkt ostrzenia noży, potem sklep, a wreszcie słynny na całe Włochy, a może i świat warsztat. Starszy pan, który mnie trochę przemocą zaprosił do sklepu, to dzisiejszy właściciel Gaetano

Cambria. Od razu spytał, skąd przyjechałem, a gdy odpowiedziałem, że z Gdańska, rzekł rozentuzjzmowany: – Jesteś pierwszym kupcem z tego miasta, a mamy tu stałych klientów z Warszawy i Krakowa. Bez noża stąd nie wyjdiesz! I wraz ze swym równie sympatycznym współpracownikiem ciągną mnie schodami na dół do piwnicy, skąd docierają odgłosy szlifierek i okrzyków. „Cholera – myślę – tu nie znajdzie mnie nawet żona, którą przed chwilą zgubiłem w targowym tłumie”. – Nie bój się – przekrzykuje hałas Gaetano. – Pokażemy ci, jak powstają nasze noże.

Ipokazał. Niesamowity warsztat, gdzie ostrzą, oprawiają w rękojeść i pochwy ostrza z własnej manufaktury. – Ten mój musi być nieduży i niedrogi – zastrzegam. Obaj starszackowie zaśmiali się. – Mężczyzna dobiera nóż wedle potrzeb, nie ceny i rozmiaru – mówi Gaetano. – Nie sprzedam ci takiego z długim ostrzem, chyba że zamierzasz komuś zrobić krzywdę. – Uśmiecha się szelmowsko. – Potrzebowałbym taki składany, do kieszeni, jeśli już – odrzekłem. – Ostrze przykładasz do ręki. Jeśli jest dłuższe niż szerokość twojej dłoni, możesz nim obrać jabłko, ale też zabić, pamiętaj – rzekł już całkiem poważnie. – Mam tu dla ciebie nóż z rękojeścią z drewna oliwnego. Zobacz, jaki piękny, składany. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, otworzył nóż i rzucił ze znakiem zapytania: – 50 euro? – Hmm, raczej chciałem kupić za 20–30, taki bardziej szczyryk do podróży... – Dobra, niech będzie 40! – rzekł i wyciągnął dłoń. I tak stałem się pierwszym gdańszczaninem, który kupił nóż u słynnej rodziny Cambria na targu Vucciria w Palermo. Podobno każdy mafioso ma kosę z takiego warsztatu. Ale o tym już przeczytałem w internecie.

Starszek śmieje się głośno i rzuca na pożegnanie: – Pamiętaj o nas. Jeśli dobry nóż, to tylko od Gaetano Cambria! Nie kłamał. To najlepszy nóż, jaki w życiu kupilem.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gauleiter musi

Wszycie stalinizmu w Polsce robotnicy na Śląsku powtarzali sobie pewien wierszyk: „Truman, Truman, spuść ta bania, bo tu nie do wytrzymania”. Bania to bomba atomowa, którą prezydent Harry Truman nakazał rzucić na japońskie miasta. Upatrywano w tym także demonstrację siły wobec ZSRR. Zaczęła się tzw. zimna wojna. Po ogłoszeniu stanu wojennego przez Wojciecha Jaruzelskiego 13 grudnia 1981 r. powszechnie znany był inny wierszyk: „Edziu wracaj, lepszy złodziej niż bandyta”. Rzeczywiście, Edzio, czyli Edward Gierek, także dla propagandy internowany, jawił się jako pozytywnie w porównaniu do używającego brutalnej siły Jaruzelskiego.

Koalicja Donalda Tuska zaprzyszczona 13 grudnia 2023 r. coraz bardziej przypomina mroczne lata stalinowskie i bezprawny stan wojenny. Sprawia, że sytuacja staje się „nie do wytrzymania”. Nie ma dnia bez doniesień o kolejnych przykładach łamania prawa przez ekipę premiera z ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem na czele, który wraz ze swoimi dyspozycyjnymi prokuratorami i sędziami otrzymał już ksywkę „bodnarowcy”.

Odnotujmy też wejście prokuratora Piotra Myszkowca w asyście policji do pomieszczeń zajmowanych przez Krajową Radę Sądownictwa po dokumenty dotyczące spraw dyscyplinarnych sędziów, wobec których rzecznik dyscypliny sędziów sądów powszechnych Piotr Schab wszczął postępowania dyscyplinarne. Pisząc o tym, niemiecki portal Onet.pl użył określenia, „których rzecznik dyscypliny ścigał”. A kogo miał „ścigać”? Oczywiście wielce zasłużonych w walce o praworządność w Polsce pod dyktando PiS, czyli m.in. sędziów Piotra Gaciarkę, Waldemara Żurka, Igora Tuleję, Pawła Juszczyszyna. Oni muszą być oczyszczeni z zarzutów, tak samo jak byli marszałek Senatu Tomasz Grodzki, wobec którego prokuratura

Bodnara wycofała wniosek o uchylenie immunitetu. Czytając w „Wyborczej” o tym, że zeznania obciążające Grodzkiego wyszły od osób, które tylko „słyszały”, że brał on łapówki, to decyzję prokuratury można uznać za szczególnie humanitarną.

Przed prokuraturą Bodnara jeszcze kilka podobnych humanitarnych aktów, w tym szczególnie oczekiwany, bo chodzi o pupila Tuska – Sławomira Nowaka. Choć od dawna jest on na wolności, ale z prokuratorskimi zarzutami, trzeba dać mu szansę przyłączenia się do starej ekipy „naprawiającej” dziś Polskę. Zapewne pomocna będzie też Ludmiła Kozłowska wraz ze swoim mężem Bartoszem Kramkiem. Bardzo aktywnie wspomogą oni „koalicję zemsty”. Kozłowska już zapowiedziała zwrócenie się do władz o odszkodowanie za straty, które spowodował „reżim PiS”, zakazując jej na lata wjazdu do Polski. I pewnie wygra w sądzie, wszak musi mieć pieniądze na dalszą walkę o demokrację w Polsce, a powiązania tej pary z Rosją nie są dla obecnego rządu żadną przeszkodą.

Nie ma dziedziny życia, której nie dotknęłaby dziś koalicja 13 grudnia. Kto by się spodziewał, że tak w sumie krytyczna w stosunku do poprzednich rządów Polska Akademia Nauk także poczuła się zagrożona. W nowych przemyśleniach legislacyjnych kierownictwo PAN dostrzega próbę zamachu na struktury i własność Akademii. Jej szefa nie będzie już powoływał i odwoływał premier, ale minister. On też będzie decydował o stanie majątku PAN, której nieruchomości są bardzo zachęcające do sprzedaży, oczywiście „zasłużonym inwestorom”. Bo przecież wystarczy podnieść argument o niegospodarności Akademii, aby musiała się rozstać z częścią swojego wielkiego majątku. Czy zagrożeni pracownicy i kierownictwo PAN wyjdą na ulice z transparentami: „Konstytucja”, „Demokracja”?

www.wojciechreszczyński.pl

Najbardziej jednak niepokoi to, co Tusk planuje zrobić z jeszcze większym majątkiem firmy Orlen. Najwyraźniej chce pomniejszyć potencjał produkcyjny i handlowy firmy. Niemcom chodzi bowiem o zwiększenie przez gdański Naftoport zaopatrzenia w ropę rafinerii PCK Schwedt, w której 54 proc. udziałów (obecnie w niemieckim zarządzie powierniczym) ma rosyjski Rosneft. Była szansa kupienia tych udziałów przez Orlen, ale Niemcy wolą dogadywać się z Rosjanami. Tymczasem nasza rafineria, która już zaopatruje PCK Schwedt, musi też dostarczać ropę do rafinerii w Płocku. Dla Niemców konieczne staje się zatem zwiększenie dostaw ropy z Kazachstanu rurociągiem Przyjaźni. Z protokołów niemiecko-polskich konsultacji wynika, że „w przypadku zakłócenia przepływów tranzytowych przez Rosję, Polska i Niemcy będą działać w ścisłej koordynacji w celu utrzymania stabilnych dostaw ropy naftowej do rafinerii PCK w Schwedt”. Czy to oznacza, że gdański Naftoport będzie utrzymywał rafinerie w Schwedt i Total w Leunie? A co z polskim rynkiem paliwowym i jego ropopochodnymi produktami? Czy kazachska ropa nie okaże się ropą rosyjską, tańszą od naszych produktów?

Zdenerwowany były prezes Orlenu Daniel Obajtek podsumowuje: „Z walki o wykupienie rafinerii Schwedt i dostarczyciela ropy z naszego Naftoportu przeszliśmy na zabezpieczanie dostaw ropy z Rosji do Schwedt”.

Droga do odtworzenia Nord Stream I i II coraz bliższa.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Leprozorium

Wszystko, czego się dotknie Donald Tusk albo jego funkcjonariusze, zaczyna śmierdzieć i zmieniać się w ropiejącą ranę, która się paprze i nie chce zagoić. To nie przypadek. Chodzi wszak o to, aby cała Polska, w każdym jej zakamarku i dziedzinie życia, była pokryta cuchnącymi wrzodami trądu. Nasz kraj ma być niegojącą się raną, wieczne zainfekowanym państwem, w którym nic nie ma prawa funkcjonować prawidłowo i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. W całej Europie i na całym świecie nie ma drugiego takiego rządu, który by tak nienawidził Polaków, jak rząd Tuska. Jakie pokłady podłości musi w sobie skrywać ten człowiek, aby kłamać, sztydzić, oszukiwać naród, który wyniósł go do władzy w demokratycznych wyborach?

Ropiejącą raną są przejęte pałą media publiczne, które długo się nie podniosą z tej zapaści. Wymiar sprawiedliwości toczy Bodnarowska gangrena, a jej cuchnąca maź wlewa się do województw, powiatów i gmin. W resorcie kultury obowiązuje zasada „teraz k...a my!”. Widać to gołym okiem i swąd czuć na odległość. W edukacji grasuje niedouczona diwa z PO, która niszczy to, co jeszcze było sensowne w szkole. Smród niesie się przez oświatę i szybko nie minie. W nauce rządzi nikomu nieznanym magister, któremu wmówiono, że może być ministrem. Ta nominacja to Tuskowa drwina z polskiej nauki, uniwersytetów, Polskiej Akademii Nauk i instytutów badawczych. W wojsku rządzi pozbawiony cojones wicepremier, który zachowuje się tak, jakby przed chwilą narobił w pampersa. Tenże minister to czysty ekstrakt nijakości i definicja miernoty.

Boleję nad dotkniętą zarazą polską kulturą, której stan jest taki, jak wartość wydalonej przez Holland „Zielonej granicy”. Ta niegdyś wybitna artystka osiągnęła spektakularne dno w stylu bolszewickiej „propagitki”. Na innym biegunie mamy głupawe kabarety zaprezentowane w Opolu i Zenona Laskowika, który sobie nie uświadamia, że trzeba kiedyś zejść ze sceny. Tenże artysta, który niegdyś bawił samym wejściem na scenę, każdym gestem i półsłówkiem, dzisiaj jest żalonym cieniem siebie. Bez klasy i pomysłów. Sam się wyprał ze swojej legendy. Obrażaniem prezydenta wzbudzał bardziej litość niż śmiech widzów. Szkoda.



**Aleksander
Nalaskowski**

*Tuskowa gangrena dotknęła
Muzeum II Wojny Światowej.
Trądem zarażono szkołę i kanon
lektur. Wyjątkowe owrzodzenie
pokrywa nasze uniwersytety*

Tuskowa gangrena dotknęła także Muzeum II Wojny Światowej. Nie mogło być inaczej. Ta placówka jest solą w oku proniemieckiej władzy. Nic dziwnego, że usunięto św. Maksymiliana Kolbe, bł. Ulmów czy rtm. Pileckiego. Po co drażnić Niemców zwiedzających ten przybytek, przekonanych, że II wojna to sprawa nazistów z Marsa? Zdumienie budzą komentarze funkcjonariuszy Tuska – ofiary niemieckich zbrodni porównano do Myszkii Miki. Infekcja poszła bardzo głęboko.

Dumą zarażono też Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. Odwołanie Piotra Bernatowicza, znakomitego znawcy sztuki współczesnej i kuratora wielu wystaw, jest skandaliczną decyzją pałkarza Sienkiewicza. Trędowata zemsta dotarła więc i do artystów plastyków.

Trądem zarażono szkołę i kanon lektur, które powinien znać każdy Polak. Z „Pana Tadeusza” pozostawiono fragmenty, wyrzucono „W pustyni i w puszczy”, „Legendę o św. Aleksym”, okrojono bądź wyrzucono utwory Żeromskiego, Reymonta, Rymkiewicza, Dukaja. Jasne, po co uczniowie mają znać polską klasykę? Musi im wystarczyć Tokarczuk i film Holland. Czujecie

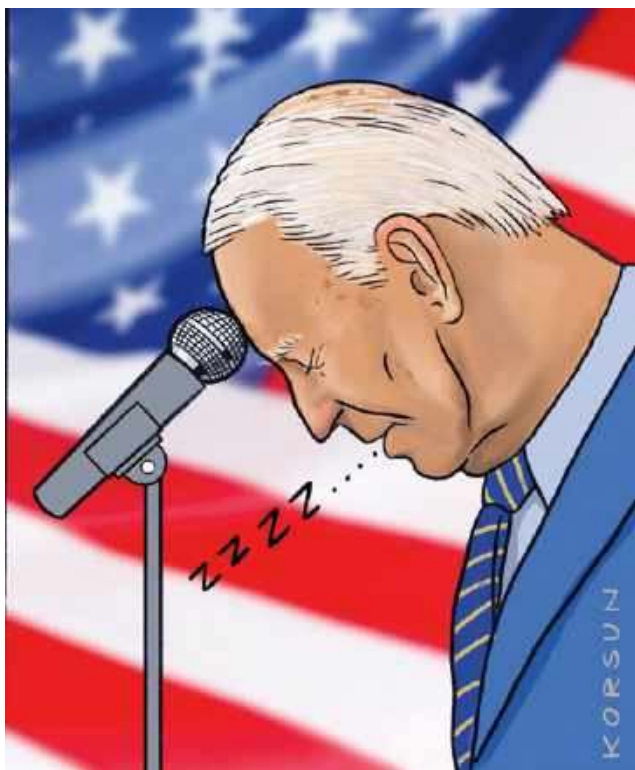
ten smród zgnilizny? To rozkłada się dotknięta zarazą tożsamość narodowa w szkole. Za chwilę, po zmianie podstawy programowej, będzie ona jednym wielkim wrzodem. Małpie dano brzytwę.

Wyjątkowe owrzodzenie pokrywa nasze uniwersytety. Dajliby, nie wiem, czy na tym organizmie jest jeszcze chociaż kawałek zdrowej tkanki. To materiał na osobny opis.

To, jak służba więzienna potraktowała ks. Michała Olaszewskiego, jest kolejnym objawem ostrego stanu zapalnego w Polsce. Zropienie dotknęło sferę zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Mityczny król Midas zamieniał w złoto wszystko, czego dotknął. Takim talentem, na jego własne życzenie, obdarował go Dionizos. Niestety głupi władca nie przewidział, że w złoto zamienia się także chleb oraz wino, i o mały włos umarłby z głodu. Donald Tusk, spełniający najbardziej wyśrubowane normy, aby być kreaturą, czego nie dotknie, zamienia w ropiejące wrzody. W jego planach Polska ma być jednym wielkim leprozorium, nad którym unosi się odor gnijących instytucji.

Michał Korsun prezentuje:
Po wygranej prezydent Joe Biden się wyspi



Wycinki z przeszłości

Dziś cofamy się do lata 1981 r. i zaglądamy do programu telewizyjnego (straszne nudy!) oraz repertuaru warszawskich kin:

ATLANTIC – „Jak budowaliśmy socjalizm” (pol.); KKF NON-STOP – „Ojciec Św. Jan Paweł II w Polsce” (pol.); BAJKA – „Gwiezdne wojny” (USA), „Gorączka sobotniej nocy” (USA); SKARPA – „Żandarm na emeryturze” (fr.); WIEDZA PKiN – „Taksówkarz” (USA, od l. 18); WARS – „Imperium namiętności” (jap., od l. 18); CZAJKA – „Król wicz i gwiazda wieczorna” (CSRS), „Parszywa dwunastka” (USA, od l. 18); FEMINA, MOSKWA – „Saturn 3” (ang., od l. 12); STOLICA – „Lot nad kulczym gniazdem” (USA, od l. 18); OCHOTA – „Król Maciuś I” (pol.), „Miś” (pol., od l. 15); W-Z – „Gangsterzy szos”; TĘCZA – „Pirat” (meks.); ALBATROS – „Kochaj albo rzuć” (pol.), „Sami swoi” (pol.), „Strach nad miastem” (fr., od l. 18), „Zemsta różowej pantery” (ang., od l. 12).

Przyznają państwo, że zaskakujące jest to, jak wiele z tych tytułów do dzisiaj ogląda się z zainteresowaniem.

(mk)

TELEWIZJA

PROGRAM I

9.00 – Telewizja Telewizja Uniwersal
Chłopcy „Stawiamy ci pytanie”
10.15 – „Dobry wieczór”
10.25 – NUKI Pedagogia – Światło
spółdzielni
10.35 – Program dla
11.00 – Dzieńni
11.30 – „Ciepłe poranki i piasek” –
Dziś – (ostatni odcinek serialu)
11.40 – Dobranoc
11.50 – „Echa Słodzenia”
12.30 – Dzieńni telewizyjny
13.00 – Relacje rozmowy
14.10 – Tęcza Telewizja A. Suchow-
Kobylin – „Smierć Surołina” – pro-
klat – B. Korzeniowski rel. – W. Wa-
dzki wył. – I. Przegrodziński, Z. Leach,
Z. Białecki i inni (Wrocław)
15.15 – „Rekompensata” – program
autobusowy

Z WOLEJA

Polityczne gesty z piłką w tle

Euro 2024 w Niemczech bez udziału Białe-Czerwonych budzi we mnie o wiele mniejsze emocje. Oczywiście jak to kibic, w meczach o wyjście z grupy albo o ćwierćfinał kibicowałem tym czy tamtym, ale ogólnie jest to dla mnie jak droga drugiej kolejności odsnieżania w okresie zimy. Jednak niezmiennie śledzę całą polityczną otoczkę piłkarskich mistrzostw Europy.

UEFA obserwuje i ocenia gesty czy transparenty, które jej zdaniem mają charakter polityczny. Efekt tego monitoringu to karanie poszczególnych krajów. No i UEFA ma pełne ręce roboty.

Mecz Chorwacji z Albanią przeszedł do historii futbolu. Oto kibice obu krajów nie walczyli ze sobą, tylko wspólnie skandowali hasła przeciwko Serbii. Można nieco złośliwie powiedzieć: „Football connect people”. Rzeczywiście, czasem łączy, ale częściej dzieli. Merih Demiral, zdobywca dwóch bramek dla Turcji w meczu o ćwierćfinał z Austrią, po strzeleniu drugiego gola wykonał tzw. wilczy salut, kojarzony z prawicową organizacją Szare Wilki, uważany za „wielkoturecki” i antysemityczny. Piłkarz tłumaczył się, że zaprezentował gest dumy z tego, iż jest Turkiem. Dodał, że widział, jak ten sam gest wykonują kibice jego drużyny.

UEFA wszczyna też postępowania za gesty natury obyczajowej. Prawdę mówiąc, łapanie się za krocze przez piłkarzy uważam za wyjątkowo przasne, choć wbrew temu, co sądzą niektórzy, nie jest ono przynależne wyłącznie do kultury latynoamerykańskiej. Udowodnił to reprezentant Anglii Jude Bellingham, który w ostatnich sekundach meczu o ćwierćfinał ze Słowacją strzelił wyrównującego gola, i to przewrotną, a następnie złapał się za określoną część swoich spodenek. Potem tłumaczył się, że szanuje Słowaków, a gest był przeznaczony dla kilku jego przyjaciół, którzy zasiedli na trybunach.

Anglik, który na co dzień gra w Realu Madryt, może przeziąknął tamtejszą kulturą nasyconą wpływami z Ameryki Łacińskiej, bo to właśnie Latynosi, a zwłaszcza Argentyńcy, słyną z tego, że po strzeleniu gola pokazują, że mają cojones. Taki właśnie gest wykonał bramkarz zwycięskiej reprezentacji Argentyny Emiliano Martínez po finale mundialu w Katarze z Francją. Dostał statuetkę dla najlepszego golkipera i podczas dekoracji zdenerwowały go gwizdy francuskich kibiców. Pokazał to, co wielu przed nim i zapewne wielu po nim, ale wyjątkowo, bo użył do tego swojej nagrody.

Ich gesty nie były polityczne. Jednak taką wymowę miał ten, który wykonał obecny trener reprezentacji Holandii Ronald Koeman jeszcze jako zawodnik po tym, jak Pomarańczowi ograli Niemców w półfinale mistrzostw Europy w 1988 r. Najpierw wymienił się koszulką z niemieckim piłkarzem, a potem demonstracyjnie wytarł nią sobie siedzenie. Tak, futbol jest pełen politycznych podtekstów.

Ryszard Czarnecki

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Dwie wyobraźnie

Niedawno w nasze ręce wpadła wydana po polsku w 2021 r. książka Susan Schneider „Świadome maszyny: Sztuczna inteligencja i projektowanie umysłów”. Autorka pisze, że jej praca to wstępna eksploracja „przestrzeni projektowania umysłu”. Na samym początku swych rozważań oferuje taki scenariusz:

„Jest rok 2045. Wybierasz się na zakupy. Twoim pierwszym celem jest Centrum Projektowania Umysłu. Po tym, jak przekraczasz próg, pojawia się przed tobą bogate menu, w którym znajdziesz ulepszenia mózgu opatrzone wymyślnymi nazwami. »Umysł roju« to implant oferujący dostęp do najszybszych myśli twoich najbliższych. »Ogród zen« to mikrochip umożliwiający wejście w stany medytacyjne dostępne wcześniej tylko mistrzom zen. »Ludzki kalkulator« zapewni zdolności matematyczne na poziomie sawanta. Na co się zdecydujesz? Na udoskonalenie uwagi? Zdolności muzyczne na poziomie Mozarta? Możesz wybrać jedno ulepszenie albo zestaw kilku”.

WYOBRAŹNIA TECHNOLOGICZNA

Od razu zwróciliśmy na to uwagę jako na coś znamiennego. Na rodzaj wyobraźni, jaki jest tu zastosowany. Naszym zdaniem dość typowy dla wielu entuzjastów technologicznego udoskonalania człowieka, czasem określających się jako transhumaniści (zresztą Schneider kończy swą książkę przytoczeniem „Deklaracji transhumanistycznej”).

To jest wyobraźnia technologiczna, może z małym dodatkiem psychologicznej. Nie widzimy natomiast ani śladu wyobraźni socjologicznej, czyli takiej, która obejmuje nowe konteksty, struktury i konsekwencje społeczne wyłaniające się w wyniku współoddziaływania tego, co techniczne, z tym, co społeczne.



*Niemądre jest zachęcanie
do pośpiesznego podążania
w przyszłość za pomocą
oferowania ludziom
map przedstawiających
nieprawdziwe terytorium*

SZERSZY HORYZONT SPOŁECZNY

Naszym zdaniem poważna analiza rozwoju technologii – poważna, czyli taka, która wykracza poza ramy ideologizowania – powinna szkicować kontekst szerszy, czyli w istocie cywilizacyjny.

W praktyce jest bowiem tak, że każda dowolna innowacja, np. ów „ludzki kalkulator” mający dawać nadzwyczajne zdolności matematyczne, wchodzi w interakcje z tkanką społeczną. To aktualne właściwości tej tkanki współwyznaczają dalsze losy tej innowacji, w tym to, jakie grupy społeczne i w jakiej kolejności będą beneficjentami owej innowacji. Albo jej ofiarami. Bo przecież fentanyl, lek zabójca, to nic innego jak innowacja technologiczna, nieprawdaż? Przecież nie w każdym społeczeństwie używanie fentanylu ma tak przykre skutki jak w USA. O nich decyduje kondycja tkanki społecznej.

JEDNI MAJĄ O WIELE WIĘCEJ NIŻ INNI

Tak, to skala nierówności społecznych m.in. określa kondycję owej tkanki.

Co z tego, że ktoś ma supermatematyczny umysł, jeśli nie wie, co z tym „narzędziem” począć. Wtedy ktoś go wynajmie, by dla niego pracował. Z nierównościami wiąże się konkurencja i konflikty. A wiemy, że konflikty społeczne mogą się nasilać aż do poziomu wojny.

A jeśli ktoś, aby rozstrzygnąć jakiś konflikt na swą korzyść, skorzysta ze zhakowanego implantu „umysłu roju”, by czytać myśli swoich konkurentów? Wizja błogiego, nieuwikłanego w gry ambicji, konfliktów czy manipulacji świata społecznego, w którym beztrosko będziemy się cieszyć jakimiś implantami, jest skrajnie nierealistyczna, a przez to nieodpowiedzialna.

POSTĘPOWA LITERATURA

W tekstach na temat technologicznego rozwoju jest mnóstwo scenariuszy jak ten nakreślony przez Schneider. Wzmacniają one technologiczny *hype* – modę powodującą stadną pogoń za czymś nowym.

Naszym zdaniem bardzo niemądre jest zachęcanie do pośpiesznego podążania w przyszłość za pomocą oferowania ludziom map przedstawiających nieprawdziwe terytorium – z drogami pozbawionymi prawdziwych przeszkód.

Co znaczy mieć matematyczne superzdolności, gdy będą dostępne dla każdego? Czym się wtedy wyróżnisz od innych? A może dzięki transhumanistycznej genetycznej manipulacji nie będziemy już mieć potrzeby wyróżniania się? To byłoby dobrze czy źle? Czy ktoś postępowy już to przemyślał? Co jest typowe dla takich olśniewających scenariuszy? Nie ma tam problemów z sensem życia, nie ma religii i religijnych konfliktów. Bez wyobraźni socjologicznej są oszukańcze.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



SPAKUJ SUBSKRYPCJĘ wPolityce.pl i **SIECI** NA WAKACJE!

ulubieni autorzy • ważne teksty • wygoda czytania

Gdziekolwiek wyjedziesz, możesz czytać na swoim telefonie:

- wszystkie zamknięte artykuły na **wPolityce.pl**, również te w sekcji Premium+ (to ok. 1 300 tekstów rocznie)
- pełne e-wydanie tygodnika **SIECI** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 (to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie)
- w prezencie świetne ebooki Sieci Extra udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów **50% TANIEJ** na: www.siec.wpolityce.pl/oferta

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy



OGŁĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
orange **32**

NA POZYCJI
vectra **825**

NA POZYCJACH
PLAY **339**
dawniej UPC dekoder Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 3f60207696